

ANDRZEJ PILIPIUK

KUZYNKI

2003

TMN

Motto:

Rozdziel materię suchą od mokrej. Rozdziel to, co znajdziesz na górze od tego co na dole. Rozdziel to, co pochodzi ze wschodu od tego, co narodziło się na zachodzie. A gdy tego dokonasz posiędziesz tajemnicę wody, która nie moczy rąk, a postępując tak dalej cierpliwie, dokonasz wielkiego dzieła.

Anonimowy tekst alchemiczny

Złota polska jesień... Mała kawalerka w starej, stuletniej kamienicy. Trzydzieści cztery metry kwadratowe, dwa pokoiki, parkiet pamiętający jeszcze monarchię austro-węgierską. Sztukateria, a raczej jej resztki, na suficie. Mosiężne klamki. Drzwi pomalowano w przeszłości kilka razy olejną farbą, ale udało się je odskrobać. Niewielkie mieszkanko, w sam raz dla młodej dziewczyny.

Stuletnią walizkę — wołowa skóra na palisandrowym szkielecie — wrzuciła na pawlacz. Nad drzwiami zawiesiła srebrny krzyżyk przywieziony z Aksum. Stolik, po poprzednich właścicielach, nakryła koronkową, XIX-wieczną serwetą. Z antykwariatu przydźwigała mosiężny samowar, wyprodukowany w syberyjskim mieście Tuła, pochodzący z tego samego okresu co serweta. Umieściła go na szerokim parapecie. Na ścianie skrzyżowała wydobyte ze skrytki szable. Przeleżały w ziemi pół wieku, zawinięte w nasączone parafiną szmaty. Jednak, podobnie jak ciężki, rosyjski nagan, zniosły tę próbę zaskakująco dobrze. Rewolwer został na wszelki wypadek przestrzelany, a teraz leży na swoim miejscu, w torebce. Ciemnozielone zasłonki i wąskie łóżko z twardym materacem dopełniły wystroju wnętrza. Skórę renifera, grubą jak mech, przywiozła z Warszawy.

Lustro w wąskiej, drewnianej ramie odbija obraz dziewczyny leżącej na skórze. Spoczywa na brzuchu, machając niefrasobliwie stopami. Przegląda w zadumie repertuary teatrów. Nazwiska wykonawców niewiele jej mówią. Ale przecież ma mnóstwo czasu, by nadrobić zaległości... Pod łóżkiem stoi wieża grundiga i dwie kolumny. Głos Fiodora Szalapina, odtworzony ze starej płyty, oczyszczono komputerowo z szumów i trzasków. Ech, carska Rosja. Tam były teatry...

* * *

Kolumna pojazdów wojskowych nie jest przesadnie długa. Z przodu gazik, za nim dwa transportery opancerzone. Teren w zasadzie bezpieczny. Nudny, rutynowy patrol. Polski batalion KFOR przybył tu rozdzielać walczące strony i dopilnować wynegocjowanych warunków przerwania ognia. Nieoficjalnie polscy żołnierze mieli pilnować, by zwycięscy Albańczycy nie wy-

różnieli do reszty pokonanych Serbów. Jednak gdy wojskowi przybyli w te strony, zobaczyli iż haniebnie się spóźnili. Teren, którego mieli pilnować, okazał się zupełnie jednolity etnicznie. Tylko dziesiątki zwłok w masowych grobach świadczą, że kiedyś było inaczej... Ustalenie sprawców w zasadzie nie powinno być trudne. Szkoda tylko, że świadkowie nie żyją...

Kapitan Gołębiowski, siedząc w jeepie, wodził wzrokiem po okolicy. Ostry podjazd i przełęcz. W dolinie leżała wioska.

— Coś się dzieje — rzucił w interkom.

Pojazdy przyspieszyły. Na pagórku koło wsi zebrali się chyba wszyscy mieszkańcy osady. Otaczali kręgiem kogoś. Gołębiowski chwycił lornetkę i zlustrował zbiegowisko.

— Malinowski, ubezpieczenie — wydał rozkaz.

— Tak jest — potwierdził porucznik. — Przestępstwo w toku. Interweniujemy — podał instrukcje. — Zaraz zarzną tam jakąś dziewczynkę. Rawicz!

— Tak jest.

— Wkraczamy.

Pojazdy zatrzymały się na pylistej, wiejskiej drodze, wzniesając tumany kurzu.

— Kompania, naprzód — Gołębiowski wydał polecenie. — I nie żałować kolb.

Wrogi tłum rozstąpił się niechętnie. Malinowski oparł dłonie na uchwyty karabinu. W razie czego gotów był natychmiast pokryć zbiegowisko ogniem. Tylko kilku pasterzy uzbrojonych w kije usiłowało zatrzymać Polaków. Poszły w ruch kolby. Gołębiowski oparł kałasznikowa o biodro i wypruł krótką serię w niebo.

Wiecej nikt nie próbował stanąć im na drodze. Czterech groźnie wyglądających typów nadal szarpało drobną blondyneczkę. Jeden najwyraźniej szykował się, by udusić ją kawałkiem łańcucha krowiaka... Rawicz odepchnął starego mężczyznę. Coś błysnęło, upadając na ziemię. Gruba, srebrna moneta? Kapitan złapał za ramię omdlewającą dziewczynkę.

Tubylcy otaczali ich zwartą masą. Rawicz pociągnął serią po ziemi. Pociski zatańczyły centymetry od butów i bosych stóp wieśniaków. Rykoszety zagwizdały im między nogami. Nie poruszyli się ani o krok.

— Rozejść się! — huknął kapitan po albańsku.

Nikt nie zareagował. Jeden z transporterów zawył silnikiem i wjechał wprost w tłum.

— Spalimy wieś — odezwał się Malinowski przez megafon.

Porucznik uchodził w batalionie za niezłego świra. Teraz jego szaleństwo mogło się wreszcie przydać... Znowu nikt się nie poruszył. Spokojnie przeładował rosyjski granatnik i posłał pocisk w stronę najbliższej chałupy. Wybuch zmiotł całą ścianę. Pasterze rozstąpili się powoli i niechętnie. Transporter podjechał do grupy. Kapitan wniósł nieprzytomną dziewczynkę do środka, za nim wskoczyli żołnierze. Kolumna ruszyła. Malinowski, siedząc na dachu, lustrował teren. Wieśniacy stali, milcząc wrogo. Wreszcie, widząc że łup wymknął się definitywnie, upuścili na ziemię ściskane w dłoniach kamienie.

— Zastrani mordercy — parsknął kapitan.

W ciasnym wnętrzu pojazdu ciężko było znaleźć choćby odrobinę miejsca. Położył dziewczynę na ławce. Obmacał pospiesznie jej ramiona i zebra, szukając złamań kości lub ran. Ktoś podał mu nóż szturmowy. Rozciął ostrożnie sznur krępujący jej dłonie w nadgarstkach. Wiązali naprawdę mocno, bydlaki, skóra była przecięta w kilku miejscach. Zadrapanie na czole, krwawiące stłuczenie od kamienia na skroni...

Wyglądało na to, że zdrowo ją sponiewierali, ale nie odniosła poważniejszych obrażeń. Rawicz podał mu gąbkę namoczoną w wodzie. Kapitan ostrożnie spróbował zmyć krew. Dziewczynka otworzyła oczy. W jednej chwili wróciła jej świadomość. Odetchnęła z ulgą.

— Kurde, ale księżniczka — mruknął któryś z żołnierzy.

Kapitan dopiero teraz mógł spojrzeć, kogo uratowali.

Miała może szesnaście lat. Piękne blond włosy, posklejane potem i krwią, opadały jej falą na ramiona. Cudownie niebieskie oczy połyskiwały pod grubymi brwiami, tylko o ton ciemniejszymi niż grzywka. Delikatne wargi były rozbite, dłonie pokryte siniakami i zadrapaniami. Podarta bluzka odsłaniała drobne, dziewczęce piersi. Ponad nimi zielonym tuszem wytatuowano herb oraz jakiś napis. Kapitan okrył ją delikatnie, zdjętym z półki kocem przeciwwstrząsowym. Mruknęła kilka razy.

— Dziękuję za ratunek — odezwała się cicho po angielsku.

Uśmiechnęła się do nich wszystkich. Żołnierze byli zdumieni ciepłą barwą melodyjnego głosu dziewczyny. Spróbowała usiąść, ale kapitan popchnął ją łagodnie na posłanie.

— Jak się nazywasz? — zapytał.

Na sekundę jakby się zawahała.

— Monika Stiepankovic.

— Musisz odpocząć — rzekł. — Zabieramy cię na razie do bazy, tam będziesz bezpieczna.

— Na tej ziemi, kapitanie, nigdy nie będę bezpieczna — w głosie dziewczyny dało się wy czuć smutek i rezygnację.

Zamknęła oczy. Okrył ją dokładniej kocem. Spojrzał na swoich żołnierzy.

— Dziękuję wam — powiedział poważnie. — Może nie była to akcja bojowa, za którą dają order, ale uratowaliśmy cielaczka...

* * *

— A więc tu trzymacie to, na co poszło sześć milionów złotych z naszej dziury budżetowej — mruknął prezydent patrząc na solidne, stalowe drzwi.

— I jeszcze pójdzie — dodał generał. — System ciągle jest na etapie testowania. Ale gdy wreszcie go odpalimy... — jego oczy rozbłysły marzycielsko.

Na szarych płytach, pociągniętych farbą antykorozyjną, naklejono, odrobinę krzywo, kartkę papieru. Spis osób, które miały prawo przekroczyć ten próg. Lista nie była długa, tylko dwa nazwiska. Prezydent przeleciał ją wzrokiem.

— Jakoś mnie tu nie umieszczono — powiedział w zadumie.

— Cóż, dla pana, i tylko dla pana, zrobimy wyjątek — uśmiechnął się generał.

Wsunął kartę mikrochipową w szczelinę czytnika, a potem przez dłuższą chwilę wprowadzał kod. Drzwi otwarły się z cichym sykiem. Wokół obwiedzione były czarną, gumową uszczelką. Prezydent zwrócił na to uwagę.

— W razie czego przewidujemy zalanie korytarza wodą — wyjaśnił generał. — Albo wypełnienie go gazami bojowymi najnowszej generacji. To stal samohartująca, drzwi nie da się przeciąć nawet szlifierką kątową...

— Stal samohartująca? — zdziwił się gość.

— To specjalny stop. Atomy węgla ułożone są w nim tak, że w miarę cięcia wzrasta opór. Po wgryzieniu się na kilka milimetrów metal osiąga twardość diamentu. Odpowiednie wstawki ceramiczne uniemożliwiają sforsowanie palnikiem acetylenowym. Ściany też są zbrojone — uprzedził kolejne pytanie. — Można próbować dynamitem, ale potrzebne byłoby co najmniej ćwierć tony...

Weszli do służby. Drzwi z cmoknięciami zamknęły się za nimi. Generał wprowadził kolejny kod, po czym wkroczyli do rozległego pomieszczenia. Nisko zawieszony sufit z betonu nosił jeszcze ślady desek szalunków. Było mroczno i pachniało ozonem. Naprzeciw stały potężne, stalowe szafy pokryte wskaźnikami.

— Banki pamięci? — zaciekawił się prezydent.

— Owszem. Ich pojemność liczy się w terabajtach... Proszę niczego nie dotykać, wszystko jest zabezpieczone ładunkami wybuchowymi.

— Widzę, że dobrze chronicie wasze odkrycie...

Ruszyli wąskim przejściem.

— Widzi pan, to władza... Nie wspominając o tym, że samo oprogramowanie jest ściśle tajne.

Przeszli pomiędzy blokami. Z sufitu obserwowały ich kamery. Wreszcie dotarli do samego środka sali. Niewysoka blondynka z grubym warkoczem siedziała na obrotowym krześle przy komputerze. Na dźwięk ich kroków odwróciła się. Na jednym policzku miała delikatną, jasną bliznę.

— Panie prezydencie, to panna Katarzyna Kruszewska — mózg naszego przedsięwzięcia.

— Miło mi poznać — podał jej dłoń.

Dziewczyna miała może dwadzieścia lat. Uścisk jej ręki okazał się niespodziewanie mocny. Zachęciła ich, by spoczęli na krzesłach, sama też usiadła.

— System w gotowości — zameldowała. — Jak do tej pory osiągnęliśmy poziom zgodności rzędu 93%.

— To dużo czy mało? — prezydent spojrzał pytająco na generała.

— Żeby kogoś skazać, nie wystarczy. Ale żeby się dokładniej ptaszkom przyjrzeć, w zupełności — uśmiechnął się szef CBS.

— W ciągu kolejnych sześciu miesięcy osiągniemy pewnie 95, może 97% — wyjaśniła panna Kruszevska.

— Kwestia wyeliminowania błędów w programach...

— Czy da się to zrobić?

— To systemy samouczące oparte na sieciach neuronowych. Mają potężną moc obliczeniową. Poważną barierą jest tu współpraca z człowiekiem. Dane z baz komputerowych już wchłonęły i przetworzyły, ale jest ich ciągle za mało...

— Rozumiem — powiedział prezydent, choć nic nie rozumiał.

Generał wyczuł to bezbłędnie.

— Może dokonamy małej prezentacji możliwości systemu? — zaproponował.

Dziewczyna kiwnęła głową.

— Jestem gotowa.

Na kilku klawiaturach wprowadziła kolejne kody. Ekran rozbłysnął zielenią.

— System otwarty — poinformowała.

— Dobrze. IPN szuka jednego człowieka... — generał wyjął z teczek starą fotografię.

Podał ją prezydentowi. Zdjęcie przedstawiało mężczyznę w hitlerowskim mundurze. Prezydent wskazał na dziewczynę. Położyła wizerunek na płycie skanera. Po chwili twarz, powiększona i wykadrowana, pokazała się na ekranie.

— Najpierw system przestrzennego odwzorowania punktów — kliknęła ikonkę.

Fotografia stała się trójwymiarowa. Twarz lekko obróciła się w prawo i w lewo.

— To ekstrapolacja — ciągnęła. — Możliwość błędu wynosi, niestety, około 10%... ale gdybyśmy dysponowali trzema zdjęciami, mielibyśmy całkowitą pewność... Dobrze, teraz postarzenie... — jak na przyspieszonym filmie twarz zaczęła się zmieniać.

— Jeśli żyje, ma około osiemdziesiątki i wygląda mniej więcej tak — pokazała gestem ekran. Spoglądał na nich zasuszony staruszek. Ciągle można było dopatrzeć się dalekiego podobieństwa.

— Uruchamiam bazę — kliknęła kolejną ikonkę.

Wyświetlił się wykres kołowy.

— Jest identyfikacja — zaraportowała. — Kapo obozowy z Oświęcimia, używał nazwiska Hans Schwinke. Urodzony w 1922 roku we Wrocławiu... Teraz, niestety, trzeba poczekać...

Nastawiła w elektrycznym czajniku wodę na herbatę. Prezydent rozglądał się wokoło, choć nie było tu wiele do zobaczenia. Wszystkie stalowe szafy, doskonale identyczne, różniły tylko numery seryjne. Lampki kontrolne paliły się jasnym, równym światłem. Nic nie migotało, z kabli nie strzelały pęki iskier.

System cicho pisnął i wyświetlił urywek filmu. Wielki tłum, kilkanaście tysięcy osób na stadionie. Jedna z twarzy obwiedziona była czerwonym kółkiem. Po chwili, wykadrowana, pojawiła się obok. Podobieństwo było uderzające.

— Prawdopodobieństwo identyfikacji 73% — podała.

— Co to za film?

— Nazistowska kronika. Wiec NSDAP we Wrocławiu w 1939 roku...

Na ekranie ukazało się kilka kolejnych fotografii wykonanych w obozach koncentracyjnych.

— Najciekawsze zaraz się zacznij — powiedziała. — System podaje wyniki chronologicznie... Mamy go.

Zdjęcie było odrobinę niewyraźne, raster wskazywał, że pochodzi z gazety.

— Zasłużony dyrektor pegeeru w Rowach koło Elku. Fotografia z „Trybuny”. Artykuł opisywał jego dokonania w dziedzinie chowu tuczników, początek lat sześćdziesiątych...

Po chwili zaczęły pojawiać się dokumenty.

— Teraz system szuka wszelkich jego śladów w archiwaliach pochodzących z tej okolicy. Jednocześnie wstecz i w przód.

— Czy da się ustalić jego nazwisko?

— Oczywiście. To już zrobione. Teraz komputer przeczesuje dane równocześnie według personaliów i fotografii.

Zdjęcia pojawiały się teraz częściej. Mniej więcej co minutę. Jednocześnie system wyświetlał jakieś dokumenty.

— Nie żyje — westchnęła. — Zmarł dwa miesiące temu w miejscowym domu starców.

— Cholera, wymknął się — mruknął prezydent zawiedziony. — Co jeszcze potrafi ta maszyna?

— Identyfikować odciski palców, ślady zapachowe, próbki DNA. Na przykład, jeśli mamy fotografię zagranicznego dyplomaty, który okazał się szpiegiem, możemy odnaleźć wszystkie opublikowane w Polsce zdjęcia, na których się pojawia, i zidentyfikować ludzi stojących obok.

Prezydent wyglądał na odrobinę zmieszanego.

— Pamięta pan ostatnie nasze uderzenie w gang porwaczy z Kampinosu? — zapytał generał.

— Owszem.

— To też baza — uśmiechnęła się Katarzyna. — Mieliśmy podejrzenia co do jednego człowieka. CBŚ zdobyło jego zdjęcia z podstawówki i liceum. Zidentyfikowaliśmy wszystkich stojących obok niego kumpli, przeszliśmy komputerową bazę ksiąg wieczystych, dowiedzieliśmy się gdzie znajdują się nieruchomości należące do nich i ich rodzin. Na podstawie bazy danych sądowych wyszukaliśmy ich kolegów spod celi, szybko narysowaliśmy przypuszczalny schemat siatki. Biznesmena porwano w Warszawie. Na szczęście nad ulicą, którą jechał, była kamera. Baza czytała wszystkie numery rejestracyjne samochodów, potem ustaliliśmy ich właścicieli.

— Rany, to musiało być...

— Około jedenastu tysięcy pojazdów. Baza czesze taką ilość danych w dwadzieścia dwie sekundy. Potem porównaliśmy listy właścicieli z personaliami członków hipotetycznej siatki. Wytypowaliśmy dziewięć adresów, w tym dwa mogły pasować. Jednostki antyterrorystyczne

uderzyły symultanicznie i, jak się okazało, w jednym z budynków przetrzymywano porwanego mężczyznę. Niestety, ryzyko błędu wynosiło aż 28%... ale stopniowo to niwelujemy. Baza uczy się na własnych błędach i ciągle doskonalili metody wyszukiwania oraz porównywania danych.

— Ciągłe mamy problemy — westchnął generał. — Na przykład większość urzędów stanu cywilnego nie udostępniła jeszcze swoich ksiąg w postaci elektronicznej... Wydział zdobywania fotografii pracuje pełną parą skanując zdjęcia klasowe z kronik szkolnych w całym kraju. Mamy ich, niestety, tylko 2%... Przeszukanie archiwów „Gazety Wyborczej” i „Trybuny” nie było problemem, lecz starsze roczniki gazet trzeba czytywać z mikrofilmów. Wprawdzie biblioteki bardzo chętnie współpracują z nami, ale za udostępnianie danych wypadałoby wreszcie coś im zapłacić...

Prezydent powiódł wzrokiem po stalowych szafach.

— Generale, pani Katarzyno, obiecuję że zrobię wszystko, by zapewnić środki finansowe na dalszą rozbudowę systemu... Będą kłopoty, skoro to ściśle tajne, ale na początek przekażę wam trzy miliony złotych z rezerwy specjalnej. Pani należy zapewnić ochronę...

— Najlepszą ochroną jest tajemnica — rzekł z uśmiechem generał. — Tożsamość panny Kruszewskiej znają obecnie tylko trzy osoby. Wszystkie trzy siedzą w tym pomieszczeniu. O istnieniu Bazy wie nieco większa liczba specjalistów, ale prawdziwe możliwości systemu znają tylko bardzo nieliczni. A możliwości ciągle rosną... Nikt nie wie, jaki pułap osiągną...

Prezydent kiwnął głową.

— I proszę dopilnować, żeby tak pozostało — powiedział poważnie.

Pożegnali się i wyszli. Dziewczyna została sama. Wyciągnęła spod biurka kartonowe pudło z mikrofilmami i umieściła pierwszą rolkę w specjalnym czytniku. W sąsiedni włożyła kolejną. Generał, gdyby widział co robi jego pracownica, zdziwiłby się zapewne niepomierne. Dane, które wprowadzała, roczniki „Kurier Warszawski” z początków XIX wieku, w żaden sposób nie mogły być wykorzystane w bieżącej pracy jego resortu.

Czy mógł przypuścić, że jego najbardziej zaufana pracownica po godzinach wykorzystuje system do realizacji swoich prywatnych celów? A jednak, domyślał się...

* * *

Stary kustosz powoli wędrował amfiladą sal. Gmach Muzeum Narodowego w Warszawie był o tej porze niemal pusty. O szyby bił ciężki, jesienny deszcz. Do godziny zamknięcia ekspozycji brakowało jeszcze kwadransa. Wkroczył do galerii sztuki starożytnej. Wątpliwe, aby ktokolwiek miał się tu jeszcze dziś pojawić. Przeszedł wzdłuż gablot, ciesząc oczy nagromadzonymi skarbami pokoleń, które odeszły w zapomnienie. Sprawdził na czujnikach wilgotność powietrza. Pilotem uruchomił system alarmowy, zatrzasnął ciężkie drzwi. Przeciągnął sznurek przez kółko ze stalowego drutu i wgniółszy go w plastelinę, odcisnął swoją pieczęć.

Za oknami zapadł już wilgotny, wrześnieowy wieczór. Uszy muzealnika wychwyciły szum drzew szarpanych wiatrem. Wszedł na piętro. Sale z obrazami flamandzkich mistrzów... Wreszcie część poświęcona sztuce polskiej. Ze ścian patrzyły na niego portrety ludzi, którzy umarli dawno temu. Lubił czasem przystanąć, by popatrzeć im w oczy. Nie musiał czytać podpisów pod obrazami. Znał je wszystkie na pamięć. Zbliżał się do ostatniej sali, gdy nieoczekiwanie usłyszał fragment gniewnego monologu. Ktoś, mimo późnej pory, nadal zwiedzał muzeum. Kustosz uniósł ze zdumieniem krzaczaste brwi. Popatrzył na zegarek. Nie sądził, że jeszcze się na kogoś natknie. Do zamknięcia pozostał kwadrans.

Zatrzymał się na progu. Młoda dziewczyna, stojąca koło wiszącego na ścianie obrazu, usłyszała jego kroki i obejrzała się zaskoczona. Widząc pracownika muzeum, uspokojona, powróciła do kontemplowania dzieła.

Kustosz uśmiechnął się lekko.

— Widzę, że podoba się pani ten portret? — zagadnął przyjaźnie.

Odwrociła się. Jasny warkocz załśnił jak złota smuga.

— Przychodzę tu, by czerpać inspirację — powiedziała.

— Wie pani, kogo przedstawia ten obraz? — zainteresował się.

Opis umieszczony był przy wejściu do sali...

— To Stanisława Kruszevska — powiedziała spokojnie. — Moja daleka praprababka, można powiedzieć. A raczej kuzynka — zamyśliła się. — Cioteczna praprababka? Trudno to wyrazić słowami, gdy dzieli nas różnica piętnastu, może osiemnastu pokoleń... Jestem Katarzyna Kruszevska.

On też się przedstawił.

— Może to przypadkowa zbieżność nazwisk? — zasugerował.

— Zgadza się nazwa wsi i herb, którym pieczętowali się moi przodkowie — wyjaśniła. — Habdank, tak samo jak ona... Owszem, Kruszevskich jest kilka rodzin, ale tylko jedna tego herbu... Z katalogu wynika, że portret namalowano w roku 1678.

— Owszem — kiwnął głową. — Artysta niestety nieznany, choć mamy kilka podejrzeń.

Dziewczyna na portrecie była ciemnowłosa, a lekko wystające kości policzkowe nadawały jej odrobinę orientalny wygląd. Na piersi miała niewielki, srebrny krzyżyk, wysadzany rubinami.

— Skąd wiadomo, kiedy powstał ten obraz? — zapytała. — Znalazłam informację, że Stanisława Kruszevska była poszukiwana w związku z zabójstwem swojego męża w roku 1609. Zdaje się szlachetny małżonek sprzedawał ją pewnemu przedstawicielowi mniejszości narodowej, który parał się intratnym zajęciem dostarczania młodych dziewcząt do tureckich haremów...

— Po kilku latach jakimś cudem wróciła z niewoli i zarżnęła go jak wieprzka — uzupełnił z uśmiechem. — Przypuszczam, że to zbieżność imion. Skoro w 1609 miała, powiedzmy, około dwudziestu lat, to w chwili powstania obrazu musiałaby mieć koło dziewięćdziesiątki. A co do

datowania — z tyłu jest rok powstania, namalowany identyczną farbą jak przód... Poza tym krój stroju wskazuje na lata siedemdziesiąte XVII stulecia. Może to jej wnuczka? Albo ktoś z innej linii rodu? Herb się zgadza...

Kiwnęła w roztargnieniu głową. Tę możliwość sprawdziła dokładnie w kilku różnych herbarzach. Istnienie następnej Stanisławy Kruszewskiej odnotowano dopiero w XVIII wieku...

— No cóż, pora już chyba zamykać galerię — spojrzała na zegarek.

— Faktycznie — zreflektował się.

— Przepraszam, zajęłam czas...

— Drobiazg, cała przyjemność po mojej stronie.

Pożegnali się, odeszła. Kustosz podszedł do portretu. Wyłączył pilotem alarm i odchylił obraz od ściany. Wszystko się zgadzało. Data znajdowała się na swoim miejscu.

— Ciekawe — mruknął sam do siebie.

* * *

Głęboka kupiecka piwnica przy krakowskim Rynku Głównym. Mury pamiętają XVI stulecie. Na pociemniałych ceglach ciągle widać odciski palców ludzi, którzy je lepili. Ściany trwają, podczas gdy ślady ich budowniczych dawno pokryły piaski czasu. W piwnicy urządzono pub. Tego sobotniego wieczora wypełnili go raczej niezwykli goście. Gdzieś tam na mieście dogasa konwent miłośników fantastyki.

W lochu królują żupany, kontusze i delie. Futrzane czapy lecą pod sufit. Połyskują guzy, zza słuckich pasów sterczą malowniczo króćce. Szlachta pije. Szlachta się bawi. Szlachta ścina szablami świece... U szczytu stołu siedli Król Polski, pisarz — imię Jacek Komuda, oraz jego wydawca w mundurze szwedzkiego oficera. Piją, strzelają z króćce, warcholą. Panuje radość.

Było też kilku zwykłych klientów, ale na widok takiej bandy „niebezpiecznych i uzbrojonych” świrów wymknęli się do sąsiedniej piwnicy. Szerokiej drogi, zakichani socjaliści, pubów ci u nas dostatek...

Tylko jeden gość pozostał na swoim miejscu przy małym stoliku pod ścianą. Siedzi sącząc piwo z trzylitrowego dzbana. Na blacie położył zeszyt zapisany notatkami i wzorami chemicznymi. Nieliczni na świecie eksperci, gdyby rzucili na nie okiem, niewątpliwie na długie chwile pogrążyliby się w głębokiej konsternacji. Mężczyzna jest ubrany w długi, brązowy płaszcz. Pod szyją nosi kryż z marszczonego jedwabiu. Posiwiła broda opada aż na piersi.

Teraz odłożył wieczne pióro parkera i z ukontentowaniem przygląda się bawiącej się zgrai. Szlachta zahacza go wzrokiem. Nie jest jednym z nich, a mimo to pasuje strojem do toczącej się w lochu zabawy. Ciekawe dlaczego. Może też lubi, w starym królewskim mieście, przywdziać, choć na parę godzin, tradycyjny polski strój? Nie będą mu przeszkadzać, jeśli zechce bawić się z nimi, sam podejdzie...

Cieszy oczy. Odwykł od takich widoków. Skinieniem wąskiej dłoni przywołuje kelnera.

— Piwo dla wszystkich — wydaje dyspozycję podając mu szeleszczący banknot.

Dwornym ukłonem dziękuje za toast na swoją cześć. A potem znowu popada w pogodną zadumę...

* * *

Przyjemnie wałęsać się po krakowskich Plantach w mglisty, jesienny poranek. Drobna, ciemnowłosa dziewczyna szła omijając liczne kałuże. Po wczorajszej ulewie bardzo się ochłodziło. Owinęła się szczelniej długim, jasnobrązowym płaszczem z wielbłądziej wełny. Marzła, ale po latach spędzonych pod rozpalonym słońcem Afryki była to miła odmiana. Kraków powoli zmieniał się na lepsze. Nie był już taki ciemny i ponury, jak zapamiętała ze swojego ostatniego pobytu. Przyjemnie było zajrzeć w stare kąty, choć — jak się okazało — nie wszystkie przetrwały. Wyburzenia oraz remonty bardzo odmieniły oblicze miasta.

Drzewa gubiły liście. Minęła Barbakan. Przymknęła na chwilę oczy. Bez trudu wyobraziła sobie mury obronne z czerwonej cegły i szarego wapienia. Zapragnęła popatrzeć na Bramę Floriańską od środka.

Na ławce opodal siedział mężczyzna, ubrany w drogi garnitur. Na przegubie jego dłoni lśnił złoty, szwajcarski zegarek. Facet pił przez całą noc, teraz z wolna dochodził do siebie.

— Hej, moja śliczna, co tak samotnie wędrujesz? — zagadnął niczym doświadczony podrywacz.

Coś w zachrypłym głosie przykuło jej uwagę. Odwróciła się i popatrzyła uważnie. Chytra, jakby szczurza twarz; trochę utył, ale rozpoznała go.

— Dymitr — mruknęła. — Nie sądziłam, że jeszcze żyjesz...

Teraz on drgnął i spojrzał na nią przekrwionymi oczkami.

— Pani — wychrypiał. — Jestem szczęśliwy mogąc powitać...

Chciał wstać ale grawitacja przeważyla i nic zdołał podnieść się z ławki. Na jego fizjonomii odmalował się chytry, służalczy uśmieszek.

— Widziałeś naszego mistrza? — zapytała.

W jego wzroku pojawiło się zrozumienie.

— Nie masz już dość? — uniósł brew.

Pokręciła głową.

— Dlatego jestem tutaj... — wyjaśniła. — Wróciłam, by go odnaleźć...

— Mieszkasz w Krakowie? — kiwnęła niechętnie głową. — Nie widziałem starego. Od tamtego dnia.

Bez pożegnania ruszyła dalej. Popatrzył w ślad za nią. W spojrzeniu Dymitra pojawiło się dziwne pożądanie.

Przy ulicy św. Tomasza, koło budynku Akademii Muzycznej, natknęła się na urzędującego w tej okolicy ekshibicjonistę, ale widocznie rozpoznał ją z daleka, bo szczerzej otulił się płaszczem przeciwdeszczowym i czmychnął w zaułek. Cóż, niektórzy ludzie nie lubią, gdy się do nich strzela... Spojrzała na zegarek. Ciągle jeszcze miała sporo czasu, ale przyspieszyła kroku.

Szósty zmysł podpowiadał jej, że niebawem coś się wydarzy...

* * *

Biblioteka Narodowa projektowana była jeszcze w czasach realnego socjalizmu. Nic więc dziwnego, że w jej zakamarkach przewidziano istnienie kilku nieprzydatnych w obecnych czasach pomieszczeń. Oczywiście postarano się je wykorzystać. W schronie przeciwatomowym, po wyburzeniu ścianek działowych, znalazły się najcenniejsze starodruki. System kamer, zamontowany przez SB w celu podglądania czytelników, posłużył ochronie do monitorowania czytelní. Dział prohibítów, gdzie, w zamyśle architekta, pracownicy tajnych służb PRL-u mieli przeglądać zakazane książki produkcji kapitalistycznej, zaadaptowano na czytelnię mikrofilmów...

Blondynka z warkoczem ulokowała się w ściśle tajnym, opancerzonym pomieszczeniu, pierwotnie spalarni książek, których w żadnym wypadku nie należało przechowywać. Pracownicy biblioteki od razu zwrócili uwagę, że to słodkie dziewczę, nie mogące liczyć sobie więcej niż dwadzieścia lat, nie jest normalnym gościem. Pojawiła się zupełnie niespodziewanie pewnego jesiennego poranka. Z nieoznakowanej półciężarówkí wyładowała sześć metalowych, zaplombowanych kontenerów. Weszła do biblioteki jak do własnego domu. Dysponowała kartą magnetyczną, która otwierała wszystkie zamki. Skrzynki kazała wstawić do nieużywanej spalarni. Na drzwiach zawiesiła tabliczkę z napisem „Wstęp wzbroniony”. Z czytelni zaiwaniła sobie pudełko rewersów.

Nie wszystkie książki zostały wprowadzone do centralnego rejestru komputerowego, więc zaczęła pojawiać się dość regularnie w katalogach. Grzebała w fiszkach, wypisując ogromne ilości zamówień. Co dwie, trzy godziny zachodziła do stołówki. Już na trzeci dzień znano jej zwyczaje na tyle, że gdy tylko pojawiała się w drzwiach, kucharka zaraz zalewała wrzątkiem herbatę. Trzy łyżeczki liściastej „Yunan” na kubek. Dziewczyna pospiesznie wypijała prawie wrzący napój i wracała do swoich zajęć.

Pracownicy magazynów też pośrednio zetknęli się z tajemniczym gościem. Nieużywana nigdy winda techniczna, prowadząca do spalarni, pewnego dnia ożyła i od razu wypłuła z siebie osiemdziesiąt blankietów zamówienia. Na każdym widniała zielona pieczętka, oznaczająca bezwzględny priorytet. Teoretycznie takim stempelkiem mógł posługiwać się wyłącznie wąski krąg najwyższych rangą pracowników naukowych biblioteki, ale gdy ci z magazynów zwrócili się z zapytaniem do dyrekcji, uzyskali potwierdzenie. Pouczono ich także, że jakiegokolwiek opóźnienia w wykonywaniu poleceń nieznajomej zaowocują wydaleniem z pracy. Poinformowano ich również, by nie zadawali żadnych pytań.

Pracownicy działu reprografii zdziwili się niewąsko, gdy któregoś dnia pojawiła się na progu pracowni. Położyła na biurku zamówienie na wykonanie mikrofilmów ośmiuset roczników starych gazet. Jednak gdy tylko wspomnieli o horrendalnych kosztach, bez słowa wyciągnęła książeczkę czekową.

Strażnicy na portierni przy wejściu służbowym szybko przestali się dziwić. Dziewczyna przychodziła do pracy o siódmej rano. Wychodziła zazwyczaj około dziesiątej wieczorem. Parę razy zdarzyło się jej zostać na noc. Było to sprzeczne z przepisami, więc ochrona zaprotestowała u dyrektora. On jednak skwitował ich wątpliwości bezradnym rozłożeniem rąk.

Pewnego dnia zagadkowa blondynka wytaskała ze spalarni sześć zaplombowanych kontenerów, odesłała ostatnie książki do magazynu, po czym, pogwizdując pod nosem, opuściła bibliotekę. Skrzynki dwaj milczący ludzie o nieruchomych twarzach zapakowali do nieoznakowanej furgonetki i tajemnicze dziewczę znikło definitywnie.

Wydział reprografii jeszcze przez trzy tygodnie regularnie wysyłał rolki mikrofilmów do starej spalarni. Drzwi były otwarte, technik kładł szpule po prostu na stole. Co trzy dni cały zapas znikał, choć nikt nie umiał powiedzieć, kto je odbiera ani dokąd wysyła. Po kilku dniach wracały i od razu włączano je do zbiorów czytelni mikrofilmów.

Męska część pracowników, od kiedy zagadkowa dziewczyna przestała pojawiać się w katalogach i na korytarzach, znowu nabrała chęci do pracy... Oczywiście plotkowano na jej temat, jednak nikt nie wiedział nawet jak miała na imię. Powszechnie sądzono, że to córka kogoś bardzo ważnego pisała pracę naukową. Dyrekcja, swoim zwyczajem, uchyliła się od wszelkich odpowiedzi...

* * *

Małe, przytulne mieszkanie. Trochę pieniędzy na koncie w zagranicznym banku, gdzie nikt nie zadaje niepotrzebnych pytań a lepkie palce ministra finansów nie mają szans sięgnąć. Czego jeszcze można chcieć od życia? Przydałaby się praca zaspokajająca ambicje, i przynosząca radość i dająca poczucie obcowania z ludźmi. Na przykład posada w szkole.

Dyrektor prywatnego liceum oderwał wzrok od biurka.

— Czym mogę służyć? — zapytał.

Usiadła na krześle. Skóra wysmagana etiopskim wiatrem trochę ją postarzała, ale nie na tyle ile by chciała.

— W sprawie ogłoszenia — wyjaśniła. — Szuka pan lektorki języka francuskiego i angielskiego...

— Ma pani kwalifikacje?

Położyła na stole dyplomy poświadczające zdanie egzaminów państwowych. Ostatni wystawiono zaledwie wczoraj.

— Znam biegle angielski, francuski, niemiecki, fusha, amharski, gyyz, mandaryński... — długo jeszcze mogłaby wymieniać, ale wołała nie odkrywać się aż tak bardzo.

Dyrektor spojrzał znad okularów. Jego wzrok długo badał twarz rozmówczyni zachowującą jeszcze ciągle ciepły kolor pustyni. Twarde mięśnie, prosta sylwetka świadcząca o sile i kondycji. Zamyślił się.

— Ile pani ma lat? — zapytał.

— Dwadzieścia jeden.

— Najstarsze uczennice będą tylko o dwa lata młodsze od pani — powiedział bardziej do siebie niż do niej.

— Dyrektorze, gdy prowadziłam interesy na południu Sudanu, umiałam sobie radzić z przemytnikami wielbłądów, więc ufam, że i z dziewczętami wychowanymi w cieplarnianych warunkach nie będę miała problemów.

Uśmiech przemknął mu przez twarz. Co mógł sobie wyobrazić?

— Potrzebujemy osób z udokumentowanym przygotowaniem pedagogicznym — uściślił. — I najchętniej z praktyką w zawodzie. Kształcenie młodzieży to odpowiedzialne zadanie... I w pewnym sensie trudniejsze niż praca z wielbłędami.

— Mam uprawnienia nauczycielskie — wyjaśniła. — A także dysponuję listem rekomendacyjnym od dyrekcji szkoły w Aksum, gdzie pracowałam.

Położyła mu na biurku dwa dokumenty. Spojrzał w zadumie na robaczki obcego pisma.

— Pani przybywa z...

— Z Etiopii. Mam pozwolenie na stały pobyt oraz podjęcie pracy. Wystąpiłam o naturalizację.

— Kuratorium nie będzie zachwycone — z frasunkiem patrzył na papiery. — To po etiopsku?

— W języku amharskim. Po drugiej stronie jest tłumaczenie przysięgłe na gyyz i francuski.

— Zaryzykujemy — podjął decyzję. — Na razie na trzymiesięczny okres próbny. Jeśli sobie pani nie poradzi...

Dziewczyny z wszystkich epok są w zasadzie podobne do siebie, tylko z pokolenia na pokolenie coraz bardziej dziecinne. Nie będzie żadnych problemów.

— Jakie są pani zainteresowania? — dyrektor wyjął z szuflady ankietę personalną.

— Turystyka, literatura, teatr...

— Teatr — podchwytuje dyrektor. — W najbliższym czasie organizujemy dwa wypadu do Warszawy na przedstawienia.

— „Córka źle strzeżona” i „Jezioro łabędzie” lub „Gizelle” — odgaduje bez wahania.

Jego uśmiech oznacza, że odgadła prawidłowo. Uśmiech ten niesie też inną treść. Nowa nauczycielka zaczyna się dyrektorowi podobać. Trochę za młoda, ale będzie z pewnością znakomitą uzupełnieniem grona pedagogicznego.

* * *

Jak można wykorzystać dostęp do bazy danych obejmującej miliony obywateli naszego kraju? Można poszukać znajomych z podstawówki, rozpoznać osoby sfotografowane przypadkowo na wakacjach. Można uprzykrzyć politykom życie identyfikując ludzi, w towarzystwie których zostali uwiecznieni. Można też realizować pomysły zgoła idiotyczne.

Generał dysponował, oczywiście, systemami kontroli, pozwalającymi mu dyskretnie badać, czym zajmuje się jego podwładna. Szybko zorientował się, że nocami komputer używany jest do wyjątkowo dziwnych celów. Nic z tego, co robiła, nie było jednak nielegalne... Po głębszym namyśle zdecydował, że nie będzie interweniował. Póki wykonywała swoją pracę wzorowo i z zaangażowaniem, mógł przemykać oczy na drobne dziwactwa. Tego wieczora znowu została na noc w pracy...

Katarzyna Kruszevska zasiada do komputera. Wypija łyk mocnej herbaty. Wstukuje długie i skomplikowane polecenie. Odnaleźć ludzi, którzy zostali sfotografowani w odstępie co najmniej dwudziestu lat, a nadal wyglądają tak samo...

Zadanie nie wydaje się specjalnie trudne, jednak w pamięci bazy znajduje się przeszło miliard różnych fotografii. Znaczny odsetek to zdjęcia zbiorowe... Dziewczyna wstaje. Poprawia warkocz. Loguje się z drugiego stanowiska. Na płytę skanera kładzie fotografie portretu Stanisławy Kruszevskiej kupione w kasie muzeum. Polecenie podobne. Odnaleźć wszystkie zdjęcia. Ignorować daty ich powstania.

Za blokami pamięci stoi łóżko polowe. Można się trochę zdrzemnąć. Komputer jest naprawdę szybki, ale wykonanie takiej pracy zająć musi minimum osiem godzin. Przyniesiona z domu poduszka, szary służbowy koc. Można spać... Aż do rana...

Jest tak zmęczona, że nawet herbata nie przeszkadza jej zapaść w głęboki sen.

* * *

Dwa tygodnie od powrotu do Polski. Cały regał wypełniają książki. Podniszczone i nowe, wygrzebane w antykwariatach i kupione w księgarniach. Niektóre to jej starzy przyjaciele. Inne dopiero musi poznać. Na razie osiemset pozycji. Wydanie „Marii” Malczewskiego z 1882 roku ma w środku jej ekslibris. Strony pożółkły, płócienna, złożona okładka uległa wyszmelcowaniu, ale przyjemnie jest trzymać to w ręce. Nie przywiązywała nigdy specjalnej wagi do otaczających ją przedmiotów. Wyjątek stanowiły tylko szable — pamiątka... Na główni jednej z nich ciągle jeszcze widać rdzawy zaciek. Nie lubiła wracać myślą do tamtych spraw.

Teraz z książeczką w dłoni siedzi na szerokim parapecie. Odczytuje na głos ulubione ustępy. Jej myśli leniwie krążą wokół wszystkich księgozbiorów które kiedyś zgromadziła. Gładzi w zadumie wytarty grzbiet książki. Za trzy, może cztery lata trzeba będzie znowu opuścić Kraków. Już czuje smutek przed rozstaniem. Lubi to miasto. Ale nie może zostać. Książka... Może zabierze ją ze sobą?

Blady świt nad Warszawą. Agenci CBS atakują, niepozorną willę na Mokotowie. Gospodarz nawet nie próbuje stawiać oporu. Jest kompletnie zdezorientowany. Kuja mu ręce kajdankami. Analiza trzystu fotografii operacyjnych oraz badania zdjęć zawartych w blokach pamięci bazy, pozwoliły zidentyfikować go jako nieformalnego przywódcę polskich grup przestępczych. Do-
tąd pozostawał poza wszelkimi podejrzeniami... Agenci obszukali go, ale nie ma przy sobie
broni ani trucizny. Pakują do nieoznakowanej furgonetki... Sejfy w piwnicy kryją półtorej tony
złota, trzydzieści milionów dolarów oraz bardzo ciekawą dokumentację. Nawet jeśli dobry ad-
wokat zdoła go wybronić w sądzie, to zgromadzona fortuna zaciąży kamieniem u szyi. Sąd
można przekupić lub wywieść w pole. Urzędu Skarbowego — nie. Za kierowanie mafią grozi
pięć lat. Za oszukiwanie fiskusa — piętnaście.

Daleko stamtąd, na składanym łóżku budzi się Katarzyna. Pakowany do nyski gangster nie
podejrzuje nawet, że to ona napisała programy komputerowe, które umożliwiły jego identyfi-
kację...

Dziewczyna przeciąga się, podchodzi do komputera. Zadanie zostało wykonane. Osiemdzie-
siąt fotografii. Na sześćdziesięciu widnieje jej kuzynka. Na pozostałych wysoki, dobrze zbud-
owany mężczyzna. Kuzynki system nie zdołał zidentyfikować, ale jego rozpoznał. Fotografie
można pogrupować w kilka zbiorów. Najstarsze pochodzą z okresu zaborów. Miał kilka zawo-
dów: był oficerem, potem pracownikiem straży bankowej, następnie znowu wojskowym i straż-
nikiem przemysłowym w Muzeum Narodowym. A obecnie... Obecnie pracuje jako ochroniarz
na Zamku Królewskim w Warszawie. Każde nowe wcielenie starannie dobrane; nigdzie nie
zagrzał miejsca na dłużej niż osiem — dziesięć lat. Zmieniał miasta i środowiska. Zacierał
ślad. Ale baza odnajdzie każdego i wszędzie..

Mała służbowa łazienka, gruby ręcznik frotte, trzeba się trochę odświeżyć przed wyrusze-
niem na spotkanie z człowiekiem, który oszukuje czas... Ma co najmniej sto sześćdziesiąt lat,
a ciągle wygląda na niespełna czterdzieści.

Jak zareaguje? Trudno powiedzieć. Czy młoda dziewczyna ma szansę w starciu z kimś, kto
tak długo pracuje w zawodach wymagających wzmożonej czujności?

Krytycznie ocenia swoje możliwości. Krótki, masywny nóż przykleja plastrem do łydki.
Cienkie, trzydziestocentymetrowe ostrze dobrze mieści się w grubym warkoczu. Kaburę z pi-
stoletem zakrywa brązowa, skórzana kurtka. W zewnętrznej kieszeni Katarzyna chowa jeszcze
dwunastostrzałowy rewolwer na naboje jak do kbks. Kiedyś należał do czeczeńskiego powstań-
ca. Wygląda niepozornie, ale robi w człowieku dziury, które trudno byłoby nakryć kapeluszem...

Ogląda się krytycznie w lustrze. Poprawia fortepianową strunę do duszenia, aby nie wysta-
wała ze szwu spodni. Jest gotowa. Powinna poprosić o ochronę, lecz pójdzie na spotkanie prze-
znaczenia samotnie. Jak zawsze.

* * *

Czym jest szczęście? Trudno powiedzieć. Ma ono wiele twarzy. Żołnierze z polskiego batalionu KFOR czerpią je z faktu, że w ich bazie znalazła bezpieczne schronienie młodzieńka, złotowłosa Serbka. Mają z dziewczyny masę pożytku. Opłacało się zaryzykować życie, żeby ją ratować. Okazało się, iż świetnie gotuje. Od kiedy zaczęła pomagać w kuchni, posiłki nagle odzyskały smak. Malinowski uczy ją mówić po polsku, więc po służbie jest z kim pogadać...

Dużo czyta, szlifuje język. Wypytuje ich o treść książek, których nie mają w bibliotece. Służba tutaj jest zupełnie rutynowa. Mijają dni, podobne do siebie jak krople ponurego, wrześniowego, bałkańskiego deszczu... Obecność dziewczynki sprawia, iż nie jest nudno.

Można powiedzieć, że okręciła sobie kompanie wokół palca. Chce w zamian tylko jednego. Wyjechać z Jugosławii. Na zawsze. Nie pytali nigdy, dlaczego Albańczycy chcieli ją zamordować. Monika Stiepankovic też nie porusza tego tematu. Kapitan sprawdza możliwości. Dziewczyna nie ma tu żadnej rodziny. Należy do mniejszości narodowej zagrożonej prześladowaniami. Nie chce jechać do Serbii, jest w połowie Bośniaczką. Boi się. Wszyscy żołnierze pragną poprzeć jej wniosek o azyl w Polsce.

* * *

Szkoda, że nie ma już żeńskich szkół. Choć właściwie są, ale jest ich tak niewiele... Szkolnictwo koedukacyjne to jednak nie to samo. A jej się poszczęściło. Została lektorką w prywatnym żeńskim liceum.

Upięła włosy w wysoką, chińską fryzurę, poprzetykaną szpilami. Inne nauczycielki gapią się na nią, ale żadna nie pokusiła się o komentarz. Stanisława przymyka oczy i przypomina sobie te wszystkie poprzednie razy. Zawsze to samo. Współpracownicy podświadomie wyczuwają w niej coś obcego. Może to kwestia wieku, może sposobu bycia... Może nienaganny strój i ekstrawaganckie, w ich pojęciu, uczesanie w jakiś sposób budzą niechęć? Czy zawsze już tak będzie: sympatia uczennic i rezerwa nauczycieli? Dziewczęta skończyły pisać zadanie z gramatyki. A zatem pora popracować.

Starannie akcentując czyta fragment tekstu dotyczącego przepychu dworu ostatnich Ludwików. Ćwiczenia z rozumienia na słuch. Cholernie ważne. Dobrze, że zaczęła o Francję i osłuchiwała się przez kilka miesięcy z nowym słownictwem i akcentem. Bo raczej nie zdałaby państwowego egzaminu mówiąc osiemnastowiecznym dialektem, choćby był to dialekt paryski...

Tak, dwór ostatnich władców Francji... Totalne bagno moralne i obyczajowe. Rozpustnicy i brudasy, załatwiali się w zakamarkach pod schodami, sikali w krużgankach i myli się jak najrzadziej... Pamięta smród panujący w Luwrze. O tym w czytance nie napisano. Ani o gwałceniu służby. Dobrze, że się szybko stamtąd wyrwała. Osiemnasty wiek, oby szczeł... W tej epoce mieli około czterystu słów dla określenia pewnego szczegółu kobiecej anatomii.

Przerywa czytanie i uśmiecha się do swoich myśli. W domu spróbuje je sobie wszystkie przypomnieć. Ciekawie będzie sprawdzić, czy zapamiętała więcej niż połowę... A może napisać słownik archaicznych wulgaryzmów? Tylko komu to potrzebne? Obok wspomnień mogących uchodzić za zabawne, jak cierń tkwi także inne. Noc w gospodzie na prowincji, drzwi wyłamane przez rozjuszony tłum. Pół setki ludzi pijanych strachem. Nabrzmiąle nienawiścią twarze, dłonie trzymające krzyże, pochodnie i osikowe kołki... Nielatwo dwudziestolatce przełęcać sobie drogę szablą przez rozjuszoną tłuszcę...

W klasie panuje cisza. Uczennice widzą, że nauczycielka pogrążona jest w zamyśleniu, ale nie mają jej tego za złe. W ciągu tej pierwszej godziny nauki zorientowały się, że pod każdym względem przewyższa swoją poprzedniczkę. Poczuły jej talent i prostotę, z jaką tłumaczyła im zawiłane zagadnienia francuskiej gramatyki. Lektorka jest tak cudownie inna, swobodna w swojej naturalnej elegancji. Jej wypowiedzi pozwalają wyczuć żywą i błyskotliwą inteligencję, a także poczucie humoru. Nie wątpią, że będzie surowa i wymagająca, ale już ją polubiły... Skąpe pochwały będą dla nich najwyższą nagrodą.

Patrzy na dziewczęta spokojnym spojrzeniem doświadczonego owczarka pilnującego stada owiec. Umie narzucić swoją władzę masie. Bez tego nie przeżyłaby prawie połowy milenium...

* * *

Zamek Królewski w Warszawie kryje liczne skarby i pamiątki narodowe. Jest dobrze pilnowany. Od zewnątrz monitoruje go prywatna agencja ochrony mienia, w środku czuwa jego własna straż. Można oczywiście kupić bilet i wędrować sobie po salach ekspozycyjnych, ale aby wejść na zaplecze, trzeba być nie byle kim. Od strony Wisły, w dawnych zamkowych ogrodach, pracują archeolodzy. Remont Arkady Kubickiego i prace ziemne pozwoliły zajrzeć głęboko w przeszłość...

Katarzyna Kruszevska idzie spokojnym, miarowym krokiem, mijając studentów. Wykopalskami kieruje doktor Tomasz Olszakowski, znany w środowisku jako dobry fachowiec, niestety sadysta i psychopata, który uważa, że jeśli on jest w stanie machać łopatą szesnaście godzin na dobę, to i studenci dadzą radę...

Badania mają charakter ratunkowy i właściwie już się kończą. Idzie jesień, jest zbyt chłodno, by grzebać w ziemi. Potem będzie zima, wszystko skuje mróz... Wiosną ruszą prace budowlane. Skarpę należy podeprzeć, bo zamek zjedzie do Wisły... Trzeba kończyć. Archeolodzy przerywają na chwilę robotę i odprowadzają spojrzeniem blondynkę z grubym warkoczem, która mija ich idąc brzegiem wykopu. Z czyichś ust wyrывa się ciche westchnienie. Nieczęsto uroda tak doskonale współgra z życzliwym i przyjaznym wyrazem twarzy.

Zamkowy ochroniarz, pilnujący wykopalisk, siedzi na kamiennej płycie, leżącej na stosie wykopanej ziemi. Dziewczyna czuje treść. Na szczęście, podczas szkoleń w CBS nauczono ją, jak sobie z tym radzić. Najlepiej przełamywać od razu.

— Pan Jan Skórzewski?

Odrywa spojrzenie od wykopów.

— Czym mogę służyć?

Mięśnie grają pod opaloną skórą. Jest silny. I domyślny. Wyczuwa bezbłędnie niebezpieczeństwo.

— Katarzyna Kruszevska, Centralne Biuro Śledcze — przedstawia się okazując identyfikator.

Jego brwi wędrują do góry. Zdziwienie. I lekki strach. To normalne u ludzi, którzy posługują się fałszywą tożsamością.

— Mam kilka pytań odnośnie pańskiej poprzedniej pracy.

Lekko kiwa głową.

— Której pracy?

— W czwartym warszawskim wydziale ochrony. Inwigilował pan niejakiego Feliksa Dzierżyńskiego...

Czasem przestępca, który ukrywa się przez dłuższy czas, przy aresztowaniu odczuwa natychmiastową ulgę i rozluźnienie. Spada z niego napięcie. Uczyla się o tym.

— Nie ma pani pojęcia, co to było za ścierwo — uśmiechnął się. — Naprawdę chce pani o tym porozmawiać? — gestem zachęcił ją, by usiadła.

— W zasadzie nie — odparła. — W pańskim życiu są zapewne ciekawsze epizody. Na przykład ewakuacja depozytów NBP do Rumunii w 1939 roku...

Kiwnął głową.

— Jak głęboko pani dotarła? — zapytał.

— Do lat siedemdziesiątych XIX wieku.

— Ten tam — wskazał gestem Olszakowskiego, który właśnie tłumaczył coś studentom odbywającym praktyki — za nic w świecie nie chce uwierzyć, że jeszcze metr, a dogrzebią się do zawalonych pomieszczeń oficyny saskiej. To był taki niski budynek, w którym mieszkała zamkowa służba. Podczas budowy arkad zerwano tylko dachy, a pomieszczenia napełniono ziemią, traktując je jak dodatkowy mur oporowy chroniący przed naciskiem skarpy — wyjaśnił.

— Arkady Kubickiego? Przecież to był nadworny architekt Stanisława Augusta Poniatowskiego.

— Owszem, jak więc pani widzi, praca w carskiej ochronie nie była moim pierwszym zajęciem. Wie pani, jaki popełniłem błąd? Powinienem być zostać archeologiem. Może kiedyś... — spojrzał na nią badawczo. — Jak mnie zidentyfikowaliście?

— Mamy system komputerowy, pozwalający rozpoznawać twarze i porównywać fotografie — odpowiedziała. — W naprawdę dużych ilościach. Około miliona sztuk na sekundę.

— I tak pani na mnie trafiła — domyślił się. — Co planujecie dalej?

— Nie wiem. Życie z kilkoma stuleciami na karku nie jest przestępstwem... Nie możemy też pociągnąć pana za pracę dla carskiej ochrony, bo to się przedawniło jakieś pięćdziesiąt lat temu. Zresztą zwalczanie socjalizmu traktować można jako zasługę. Podziemia niepodległościowego

pan nie prześladował, więc dajmy temu spokój... Posługiwanie się fałszywymi dokumentami to poważne wykroczenie, ale jest mi obojętne. Ani razu nie trafił pan do kartotek policyjnych, co moim zdaniem świadczy o tym, że nie ma pan przestępczych skłonności... Raczej wręcz przeciwnie, wybiera pan zawody, w których może chronić ludzkie życie i mienie.

Myślał przez chwilę.

— Pani nie wpadła tak tylko porozmawiać — powiedział. — Kierują panią inne cele... I nie jest tu pani służbowo.

— Szukam kogoś. W którym roku się pan urodził?

— Dokładnej daty nie powiem. Wtedy trochę mniejszą przy wiązywano do tego wagę. Przypuszczam, że mógł to być rok 1576, może 1578... Pamiętam dobrze epidemię dżumy z 1589, miałem wtedy jakieś dziesięć, może jedenaście lat. Piłem eliksir w 1606, a biologicznie miałem około trzydziestki.

— Elixir — podchwyciła.

— Z czerwonej tynktury, którą powszechnie zwie się kamieniem filozoficznym — wyjaśnił spokojnie. — Byłem czeladnikiem u mistrza Sędziwoja z Sanoka.

— Ilu was jest, nieśmiertelnych?

— Nie przesadzajmy z tą nieśmiertelnością — skrzywił się. — To tylko przedłużenie życia. A ilu jest? Nie mam pojęcia. Było nas sześcioro. Pani krewna, Stanisława Kruszevska, była najmłodsza.

Spojrzała na niego zdumiona.

— A kogo innego mogłaby pani szukać? — uśmiechnął się kącikami ust. — Pamiętam ją. Miła osóbką, tylko zupełnie nie pasowała do swojej epoki. Najlepiej czuła się chyba w XIX wieku...

— Spotkał ją pan?

— Kilka razy. Wpadliśmy na siebie podczas balangi z okazji koronacji Poniatowskiego. Później była damą dworu u księcia namiestnika Konstantego. Wiem, że mieszkała w Krakowie w latach osiemdziesiątych XIX wieku. Pracowała jako nauczycielka w prywatnym gimnazjum dla panien...

— Chcę ją odszukać.

Milczał wpatrując się w dno wykopu. Archeolodzy właśnie odsłaniali koronę ceglanego muru.

— Nie umiem pani pomóc — powiedział wreszcie. — Nie widziałem się z nią od przeszło stu lat. Nie wiem nawet, czy żyje... Życie nie jest tak proste jak film... Nie umiemy się rozpoznać, nie latamy też z mieczami, by obcinać sobie głowy... Po prostu odrobinę udało nam się nagiąć pewne prawa natury. I coraz bardziej grzęzniemy w biurokracji. Sto lat temu zdobycie fałszywej tożsamości nie stanowiło problemu... Dziś staje się powoli niemożliwe.

— Ona nie popełniła żadnego błędu. Znalazłam jedynie garść drobiazgów, prawie nic.

— Ale może pomoże pani to, że jest obsesyjnie przywiązana do swojego nazwiska. Zawsze do niego wracała, gdy tylko wymarli ludzie, którzy mogli ją pamiętać... Przy odrobinie szczęścia nosi je także dzisiaj...

— Nasze bazy danych jej nie odnotowały pokręciła głową. — Musiała zmienić...

Z torby wyjęła garść czarno-białych wydruków komputerowych.

— To jest z lat dwudziestych — pokazała powiększony kadr. — Stała w tłumie z wiązką kwiatów podczas obchodów rocznicy odzyskania niepodległości... A to z lat sześćdziesiątych — jubileusz Teatru Wielkiego. Tu uchwycił ją fotograf w kolejce po mięso, czasy okupacji...

— Lubiła teatr — przypomniał sobie. — Obsesyjnie... Może nadal uczęszcza na przedstawienia?

— No, trudno — wstała. — Proszę spać spokojnie. Nikomu nie zamierzam zdradzić pańskiej tożsamości.

— Bazy danych, analiza zdjęć, coraz trudniej będzie się wymknąć... — westchnął. — Za jakieś dwadzieścia lat sieć wokół mnie zgęstnieje do tego stopnia, że będę musiał chyba ukryć się gdzieś, gdzie nie sięga cywilizacja... Niezbyt kusząca perspektywa. Odprowadzę panią.

Przeszli koło wykopu. Archeolodzy plantowali powierzchnię i teraz na podłożu wyraźnie rysował się zarys kilku niedużych pomieszczeń oraz korytarza biegnącego wzdłuż skarpy.

— Drugi pokój od lewej — szepnął jej na ucho. — Może gdzieś w gruzie leży jeszcze moja ulubiona fajka...

Odprowadził ją do bramy.

— Proszę wpaść jeszcze kiedyś — zaprosił. — Miło było panią poznać.

* * *

Praca w szkole mile wypełnia czas. W wolnych chwilach Stanisława siedzi w Bibliotece Jagiellońskiej. Lata dziewięćdziesiąte to prawdziwy wysyp pisemek dla rozmaitych wariatów. Teorie Danikena, horoskopy, artykuły o sektach religijnych... Totalny miszmasz. Kolejne roczniki „Czwartego Wymiaru”, „Nieznanego Świata”, „Nie z tej ziemi”, „Magii”... Szuka informacji. Trzy lata temu duch alchemika Sędziwoja grasował w Nowym Sączu. Ubrany w strój z epoki wałęsał się w podcieniach przy Rynku. Widziało go kilkanaście osób. Co skłoniło go do paradowania w ubiorze z XVII wieku? O ile oczywiście to Mistrz, a nie jakiś miejscowy dopicniś. Zwariował, czy może wręcz przeciwnie? Mógł obliczyć, że zapas tynktury skończył im się i daje znać, gdzie go szukać...

* * *

Cicho bucą pompy tłoczące ciekły azot przez instalacje banków pamięci. Korkowa tablica z przypiętą garścią zdjęć dziewczyny, która od prawie czterystu lat wędruje po świecie. Obok spis zawodów: nauczycielka, dama do towarzystwa. Zainteresowania: teatr. Niewiele tego... Za mało danych. Sportretował ją Witkacy, ale ta wiedza wynika wyłącznie z podpisu pod obrazem — podobieństwo tak odległe, że komputer go nie wychwycił...

Katarzyna Kruszevska wsłuchuje się w delikatny szum. Ciekły azot... sto dziewięćdziesiąt stopni poniżej zera... Na samą myśl o tym robi jej się chłodno.

Pracuje. Fotografia ze szkoły podstawowej w Pruszkowie z lat siedemdziesiątych. W tylnym rzędzie wysoki, jasnowłosy chłopak. Kto mógł przypuścić, że trzydzieści lat później będzie jednym z najbardziej poszukiwanych bandziorów? Teraz jednak należy zidentyfikować tych obok niego. Kumple na fotografiach zbiorowych zazwyczaj stają obok siebie. Więzy przyjaźni zadzierzgnięte w podstawówce są szczególnie silne... W strzelaninie brali udział jeszcze dwaj osobnicy. Program generuje postarzone wizerunki uczniów. Trzeba pokazać je świadkom. Może przypadkiem uda się trafić na drani? Jasnowłosy ukrywa się w Poznaniu. Dwa dni temu jego twarz zarejestrowano na filmie z dworca kolejowego w tym mieście. Tamtejsza policja dostała portrety pamięciowe. Wszystkie agencje pośredniczące w wynajmie nieruchomości zostały ostrzeżone... Wpadnie. To kwestia czasu.

Robota wykonana, można się pobawić. Fotografia tłumu podczas obchodów piątej rocznicy odzyskania niepodległości. Zasada ta sama: kto stoi obok? Cztery niezidentyfikowane postaci. Jakieś dziewczynki, młoda kobieta tuż za Stanisławą Kruszevską. To Helena Rzeszotarska — właścicielka prywatnej żeńskiej szkoły na warszawskiej Pradze. Z tej szkoły pochodzi kilka fotografii znajdujących się w bazie danych. Porównanie szczegółowe. Dwie dziewczynki obok siebie, niedaleko od nauczycielki. Zdjęcie klasowe, późniejsze o trzy lata, ale i tu stoją razem. Program niezbyt radzi sobie z rozpoznawaniem tak młodych osób, ale system sygnalizuje, że wykonane zostało z prawdopodobieństwem sięgającym 63%... Fakt, że trzymają się za ręce, zamienia prawdopodobieństwo w pewność. Kolejna fotografia. Uczennice w trakcie ćwiczeń gimnastycznych. Trzeba przyznać, że szkoła miała bardzo nowoczesną, jak na tę epokę, salę. Nauczycielka stoi bokiem. System spróbował ją rozpoznać. Prawdopodobieństwo około 30%.

Palce Katarzyny przebiegają nad klawiaturą. Szybko trafia na barierę. Brak danych. Ale zna miejsce, gdzie może to sprawdzić. Niechętnie opuszcza swój bunkier...

* * *

Jesień to taki paskudny okres, gdy uczniowie muszą chodzić do szkoły. Ale w tym przypadku to dobrze. Szkoły w lecie bardzo dziwnie pracują. A ona potrzebuje pogadać z pewnym dyrektorem...

Energicznie zapukała do drzwi i weszła do środka. Mężczyzna w średnim wieku, wąsaty, wbity w bordowy garnitur, oderwał wzrok od rozłożonych papierów. Z jego miny wydedukowała, że nie ucieszył się z niezapowiedzianej wizyty. W bezpośrednim kontakcie z przeciwnikiem ważne jest uprzedzenie ciosu. Mówiąc naukowo, przejęcie inicjatywy strategicznej.

— Katarzyna Kruszevska, Centralne Biuro Śledcze — okazała identyfikator.

— Moi uczniowie znowu coś zmalowali? — zasmucił się człowiek za biurkiem.

Ważne, by nie odpowiadać wprost. Utrzymać wroga w niepewności, aż do zadania ostatecznego ciosu...

— Mam kilka pytań.
— Proszę — gestem zachęcił, aby usiadła.
— Wedle moich informacji, liceum pańskie kontynuuje tradycję prywatnej szkoły żeńskiej, będącej własnością Heleny Rzeszotarskiej...
— Owszem — skinął dostojnie głową, a na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.
— Potrzebuję dzienników klasowych z 1923 roku i, powiedzmy, z pięciu kolejnych lat.
Zdumienie pogłębiło się.
— Ścigacie jakąś dziewięćdziesięcioletnią staruszkę?
Na pytania niewygodne można odpowiedzieć, odpowiedzieć wymijająco, albo wcale nie odpowiedzieć. Można też rzucić coś, co zniechęci zbyt dociekliwego rozmówcę do dalszych pytań.
— Tajemnica państwowa — oświadczyła spokojnym, chłodnym, rzeczowym tonem.
— Proszę do archiwum. Zobaczymy, czy mam coś z tego okresu.
Dzienniki zaraz się znalazły. Były mocno pożółkłe i, mimo zamknięcia w szafie, nieco zakurzone. Rozłożyła je na stole w gabinecie i zaczęła kartkować. Piękny, kaligraficzny podpis Stanisławy Kruszewskiej pojawiał się niemal na każdej stronie.
Uczyła historii i wychowania fizycznego. Jej nazwisko odnotowano przy okazji wspólnych wyjść do kina i teatru.
Teraz lista uczennic. W sumie niezbyt długa. Kilkadziesiąt nazwisk. Wpisała je do laptopa.
— Dziękuję — oddała pożółkłe zeszyty dyrektorowi.
Kiwnął głową, wyraźnie powstrzymując pytanie cisnące mu się na usta...

* * *

Osiem lat spędzonych w Afryce to sporo. Do wielu rzeczy człowiek może się przyzwyczaić. Na przykład do ostrego słońca i dużej wilgotności powietrza. Ze słońcem będzie problem. Z wilgotnością żadnego. Stasia przywykła, by mieć pod ręką wachlarz. Tu nie jest jej do niczego potrzebny, ale nawyk nieśmiało daje o sobie znać.

Krakowskie antykwariaty są nieźle zaopatrzone. Na przykład w tym malutkim, nieopodal rynku, mają sporo ciekawych drobiazgów. Wachlarze również. Międzywojenny, stylizowany na egipski, z kilkoma strusimi piórami, koronkowy z lat sześćdziesiątych, zrobiony na potrzeby jakiegoś przedstawienia teatralnego, jeden sprzed pierwszej wojny światowej, z grubego papieru, ręcznie malowany. Raptem trzysta złotych, ale nie podoba jej się.

— Trudno panią zadowolić — mruczy staruszek za ladą. — Proszę opowiedzieć, czego pani szuka.

— Wachlarz średniej wielkości, najchętniej chiński, z jedwabiu, na bambusowej albo kościanej konstrukcji, oczywiście składany... Powiedzmy pierwsza połowa XIX wieku.

Antykwariusz człapie na zaplecze i po chwili wraca z ładnym pudełkiem. Jest oszklone, ma kształt ćwiartki koła.

— Trzymałem to dla specjalnej klienteli.

W pudełku, przyszpilony do aksamitu, spoczywa wachlarz. Wygląda trochę jak motyl w gablotce.

— Chiny, koniec XVIII wieku, wykonany w Kantonie — wyjaśnia staruszek.

Stanisława Kruszevska wpatruje się zaskoczona w gablotkę. Zna ten wachlarz. Przywiozła go sobie z pierwszej wyprawy na Formozę czy też, jak to teraz nazywają, Tajwan... Co się z nim stało? Ach tak, został w szufladzie komódki... To było wtedy, gdy musiała uciekać.

— Ładna rzecz — mówi obojętnie, by zamaskować zainteresowanie. — Z grubsza o taki właśnie mi chodzi. Ile kosztuje?

Staruszek uśmiecha się chytrze.

— Sześć tysięcy złotych chyba nie będzie sumą zbyt wygórowaną?

Popełniła błąd. Zapomniała jak należy się targować.

— Dwa żeberka są klejone — mówi spokojnie. — Materiał sprawia wrażenie zetlałego. Cztery tysiące — rzuca niespodziewanie.

Dziadek mruży oczy i zapada milczenie. Za chwilę poda nową cenę. Jeszcze nie ostateczną, ale powoli zbliżającą się do rzeczywistej wartości tego drobiazgu...

W czasie gdy antykwariusz się zastanawia, dziewczyna przegląda zawartość gabloty. Przepiękne chińskie szpilki do włosów, zakończone kuleczkami z kości słoniowej i szylkretowy grzebień. Stanisława lubi takie drobiazgi. Ceny nieco mrozą krew w żyłach. Ale może gdyby zaakceptowała kwotę, którą za chwilę usłyszy, dałoby się wytargować jakąś zniżkę?

* * *

Dziewczęta wychodząc za mąż niestety zmieniają nazwiska... Większość uczennic zrobiła to jeszcze przed wojną. Dane z tego okresu są bardzo niekompletne. Na szczęście niektóre kobiety po śmierci męża wracają do nazwisk panieńskich...

Staruszką miała nieco ponad dziewięćdziesiąt lat, ale jak na swój wiek trzymała się zaskakująco dobrze. Umówiły się kawiarni w Łazienkach.

— Stanisława Kruszevska? — przypomniała sobie babcia. — O, to była kobietka — uśmiechnęła się do swoich wspomnień. — Uczyła nas historii.

— I wychowania fizycznego — uzupełniła Katarzyna kładąc na ławce wydruk ze zdjęcia odnalezionego w zasobach bazy.

— Oj, tak — westchnęła staruszka. — Wysportowana była jak cyrkówka. Uczyła nas też muzyki. Nigdy o tym nie mówiła, ale sądzę, że przeszła przez szkołę baletową. Trochę utykała na jedną nogę. Nie pytałyśmy o to, ale może musiała zrezygnować z kariery w teatrze z racji jakiejś kontuzji? Choć, z drugiej strony, niezbyt ją sobie wyobrażam w balecie... — zmarszczyła siwe brwi. — Ona była inna...

Popatrzyła w zadumie na kaczki płynące po stawie i łyknęła kawy z filiżanki.

— To były czasy takie, że nauczycielki były poważne, a ona sprawiała wrażenie nieco roztrzępanej... no i była młoda. Miała jakieś dwadzieścia — dwadzieścia parę lat. Opowiadała o wydarzeniach historycznych inaczej, niż napisano w książkach... tak żywo jakby... to śmieszne, jakby przy tym była. Sypała nazwiskami ludzi, o których dawno zapomniano... Lubiła teatr i namiętnie czytała książki. Chodziła też do kina na wszystkie nowości i do fotoplastikonu. Czasem, gdy była w szczególnie dobrym humorze, to nosiła taką wysoką fryzurę, no taką chińską...

— Chińską? — podchwyciła Katarzyna.

— Upiętą szpilkami. To się bardzo nie podobało innym nauczycielkom. Wiesz, one były takie jakby sztywne, a ona żywa, ale elegancka. Miała coś w sobie, jakiś czar... Wszystkie dziewczęta ją kochały.

— Sądzi pani, że była kiedyś w Chinach?

— Tak. Na pewno. Przed wojną na Pradze mieszkało trochę Chińczyków. Raz na wycieczkę widziałam, jak w parku gadała z takim jednym, który sprzedawał na straganie tkaniny. Na pewno rozmawiali po chińsku. Chyba, że to był Japończyk — uśmiechnęła się lekko. — To wtedy po japońsku.

— A może to był Koreańczyk? — podsunęła Katarzyna.

— A, też niewykluczone. Kto by ich tam żółtków rozróżnił... Potem wyszła ta afery z wariatami.

Panna Kruszevska spojrzała z zaciekawioną.

Staruszka zmarszczyła brwi.

— To było coś okropnego. Wpadli do szkoły. Sześciu albo siedmiu. Pobili woźnego i związali, potem zamknęli drzwi od środka. W szkole były same kobiety, no i oczywiście uczennice... Na czele bandy biegł młody ksiądz. Szaleniec kompletny. Trzymał w ręce, niech sobie pani wyobrazi, osikowy kołek i młotek. I wrzeszczał, że trzeba załatwić wampirzycę... On tak mówił o naszej ulubionej nauczycielce! — jeszcze tyle lat po tamtych wydarzeniach na twarzy staruszki pojawiły się rumieńce oburzenia. — Akurat miała historię w starszej klasie. Sprawdzali po kolei wszystkie pomieszczenia, aż trafili tam. Ten ksiądz z kołkiem wrzasnął coś w rodzaju: „Dopadliśmy cię wiedźmo, teraz się już nie wywiniesz!”.

— I co zrobiła?

— To właśnie było najlepsze. Zawsze gdy prowadziła lekcję miała na biurku torebkę. Sięgnęła do niej, wyciągnęła rewolwer. Strzeliła im pod nogi i poddali się. Wstyd przyznać, wszyscy uciekali ze szkoły skacząc z okien na parterze. Ja biegłam w stronę drzwi i wtedy z piętra dobiegł huk wystrzału... I usłyszałam jej głos: prosiła, żeby natychmiast zadzwonić po policję. W gabinecie pani dyrektor był telefon. Ktoś zadzwonił i wszyscy zostali aresztowani. Policja chciała ją przesłuchać w sprawie tego rewolweru i w ogóle zajścia: jakie miała powiązania z nimi, dlaczego chcieli ją zabić. Ale uciekła i już nigdy nie wróciła do szkoły. Strasznie nam było żal. Bałyśmy się, że może ją jednak ktoś dopadł, potem na Boże Narodzenie przysłała pocztówka od niej. Przysłała ją aż z Etiopii...

* * *

Ósma rano. Na dworzec Pekaesu wtacza się autobus ze Lwowa. Stasia stoi w umówionym miejscu. Z wnętrza wysypują się podróżni. Dźwigają torby wyładowane rozmaitym przeszmuglowanym dobrem. Stara kobieta o chytrym spojrzeniu na jej widok szczerzy w uśmiechu komplet złotych zębów. Szary karton po magnetofonie kryje w sobie sześć butelek gruzińskiego wina. Kosztowało po 60 hrywien za flaszkę. Jak na warunki ukraińskie było więc obezwładniająco drogie. No, ale na zamówienie można kupić... Stasia ogląda po kolei wszystkie butle, odczytując nazwy zapisane gruzińskimi literkami. Cztery sporo jej mówią. Dwu pozostałych nie zna. Gdy odzywa się, mówi po ukraińsku bez wahania i bez śladu obcego akcentu w głosie.

— Bardzo dobrze. Ile się należy?

Kobieta podaje cenę. Dziewczyna bez słowa odlicza banknoty... Z kartonem pod pachą spieszy do szkoły. Niedługo pierwsza lekcja. Po drodze przechodzi koło sklepu monopolowego. Wzdycha. Kapitalizm w Polsce rozwinął się nad podziw, ale gruzińskich win i armeńskich koniaków ze świecą by szukać...

Ma już wino. W antykwariacie wygrzebała starą gruzińską książkę kucharską. Pora przypomnieć sobie kilka sprawdzonych przepisów. Na dnie pudełka tkwią jeszcze dwa słoiczki marynowanych pędów czosnku. Ukraińska kuchnia też jest ciekawa.

Gdy przekracza próg szkoły, z jej ust wyrывa się ciche westchnienie. To żadna przyjemność jeść w samotności. Przydałaby się jakaś bratnia dusza. Przyjaciółka. Niestety, albo uczennice są nieprawdopodobnie ograniczone, albo ona zbyt inteligentna... Chciałaby z kimś pogadać, a tymczasem nikogo takiego nie znajduje...

* * *

Akta policyjne z okresu międzywojennego są bardzo niekompletne. Część zniszczono po dwudziestu pięciu latach, sporo przepadło podczas wojny. Ale i tym razem sprzyjało jej szczęście. Archiwista w komendzie głównej policji był młodym, wesołym człowiekiem. Jedną rękę miał częściowo niesprawną, podczas akcji trafiła go kula przestępcy. Musiał odejść z czynnej służby, ale ponieważ nadal chciał pracować w policji, wyładował w archiwum.

— Akta sprawy siedmiu szaleńców, którzy osiemdziesiąt lat temu wdarli się do żeńskiej szkoły? — uniósł brwi. — Co wy w tym CBS macie, jakieś archiwum X?!

Obdarzyła go lekkim uśmiechem.

— Tajemnica państwowa — oświadczyła.

Chichotał dłuższą chwilę.

— A niech cię — powiedział wreszcie. — Jaka jest sygnatura?

Powędrował do magazynu i po chwili przyniósł opasłą teczkę wypełnioną pożółkłymi papierzyskami sprzed osiemdziesięciu lat.

— Czytał pan to kiedyś? — zapytała, rozkładając kartki.

— Jak chyba wszyscy w naszym archiwum. Najbardziej jajcarska historia dwudziestego wieku...

Zaczęła przeglądać dokumenty. Patrol, który przybył na wezwanie szkoły, musiał wyłamać drzwi zamknięte od środka przez napastników. W sali na pierwszym piętrze natknęto się na siedmiu przestępców leżących na podłodze. Jeden ubrany w sutannę, jak się potem okazało, nie był wcale księdzem. Nauczycielka szachowała ich rosyjskim rewolwerem marki Nagan. Z relacji wynikało, że wdarli się do szkoły z zamiarem zamordowania jej, choć nie potrafiła podać ich motywów. Wezwana na przesłuchanie nigdy nie dotarła na komendę. Następnego dnia okazało się, że porzuciła pracę.

Teczka zawierała stenogram przesłuchania domniemanego księdza. Jak się okazało, był przywódcą niewielkiej grupki typu sekciarskiego, którą nazwał Zakonem Obrońców Ludzkości. Stowarzyszenie to postawiło sobie ambitny cel poszukiwania i likwidacji wampirów. Od odpowiedzi, dlaczego uznał, że właśnie ta spokojna nauczycielka historii jest wampirzycą, uchylił się. Wykopaliska przeprowadzone w piwnicy jego domu w Krakowie pozwoliły odnaleźć ciała dwu mężczyzn. Zabito ich przebijając serca osikowymi kołkami. Daty zbrodni nie ustalono, ale szkielety miały po co najmniej kilkanaście lat.

— Bardzo ciekawe — mruknęła Katarzyna oddając teczkę archiwście.

— CBS też będzie szukało wampirów wśród nauczycieli? — zainteresował się. — Bo jeśli można doradzić, miałem w podstawówce taką rusycystkę, którą należałoby sprawdzić... Jak sądzicie, dużo mamy w kraju tych wysysaczy krwi?

— Tajemnica państwowa — mrugnęła do niego.

Idąc do autobusu przypomniła sobie minę, którą zrobił usłyszawszy te słowa i zachichotała.

* * *

Archeolodzy wgryźli się solidnie w skarpe. Odślonili co najmniej dziesięć pomieszczeń oficyny saskiej. Ochroniarz, oparty o barierkę, podziwiał szereg pokoików wypełnionych ciągle jeszcze gruzem i ziemią. Z wysokości tarasu zamkowego studenci grzebiący w ziemi wydawali się niewielcy. Instynkt podpowiedział mu, że ktoś stoi za jego plecami.

— I jak poszukiwania kuzynki? — zapytał.

— Mam parę tropów — odparła Katarzyna.

— Interesujących?

— Owszem. Chyba nie posługuje się obecnie swoim nazwiskiem. Pracuje w szkole w Krakowie, prawdopodobnie w liceum. W zeszłym tygodniu wychwyciły ją kamery na Dworcu Centralnym. Przywiozła grupkę dzieciaków na wycieczkę. Parę minut wcześniej przyjechał pociąg z Krakowa.

— Jest pani pewna, że to ona?

Z torby wyjęła laptopa i puściła film. Niska, ciemnowłosa, drobnokoścista dziewczyna nie wyglądała na swoje cztery stulecia...

— Faktycznie, ona — uśmiechnął się ochroniarz. — Miło zobaczyć. Wcale się nie zmieniła... Zwróciła pani uwagę na jej strój?

— Owszem — skinęła głową. — Nawet zidentyfikowałam garsonkę za pomocą internetowych katalogów firm odzieżowych. Ubiera się z wyszukaną elegancją. Poza pracą w szkole musi mieć także inne dochody.

— Zawsze umiała sobie radzić — potwierdził. — Jak pani myśli, dokąd poszli?

Puściła film z drugiej kamery.

— Zapakowali się do autobusu linii 192. Sprawdziłam. Dwie godziny później w Teatrze Wielkim zaczął się spektakl.

Milczał przez chwilę patrząc w zadumie w wykop.

— To zabawne, ale są przyzwyczajenia, których nic nie zmieni — powiedział wreszcie. — Sądzi pani, że to państwowa szkoła?

— Raczej nie. Społeczna albo prywatna. Przywiozła uczennice na przedstawienie, potem zanocowali w Warszawie. W tej chwili sprawdzam hotele. Może uda mi się ustalić, pod jakim nazwiskiem się zameldowała.

— Co pani robi, gdy ją dopadnie?

— Nie wiem. Na pewno trochę z nią pogadam...

Ochroniarz zmrużył lekko oczy, ale nic nie powiedział. Archeolodzy grzebali w ziemi.

— Znalazł pan swoją fajkę? — zagadnęła.

— Niestety nie. Nie było jej w przesianym gruzie. Zresztą po dwustu latach szansę były znikome... Zastanawiała się pani, gdzie ona może mieszkać?

— Szczerze mówiąc tak. Przypuszczam, że wynajmuje lub kupiła mieszkanie w Krakowie.

— Stasia nigdy nie przywiązywała wagi do własnego bezpieczeństwa... — westchnął. — Zresztą ja też zawsze wybierałem zawody niosące z sobą pewne ryzyko... Może to skutek uboczny? Jakby natura dążyła do eliminacji takich jak my...

* * *

Fotoplastikony, specjalne urządzenia pozwalające oglądać trójwymiarowe fotografie, były bardzo popularne na przełomie XIX i XX wieku. Katarzyna ma bardzo ułatwione zadanie. U progu XXI stulecia w tej części Europy działa już tylko jeden. Mieści się przy Alejach Jerozolimskich w Warszawie. O rzut kamieniem od skrzyżowania z Marszałkowską. Brama jest mroczna, ale cyfrowy aparat fotograficzny może robić zdjęcia nawet w zupełnej ciemności. Technik z CBŚ ustawia pod ścianą lekką, aluminiową drabinę. Cztery metry w górę — wysokie sklepienie. Wystarczy kilka ruchów, by pod sufitem zawisło sztuczne gniazdo jaskółki. Dziewczyna zeskaakuje na ziemię i uruchamia laptopa. Gotowe. Czujnik ruchu, fotokomórka, każdy człowiek przechodzący bramą zostanie sfotografowany.

* * *

Ciepłe jesienne popołudnie, trochę wiatru. Tramwaj ze zgrzytem staje na przystanku. Mężczyzna w brązowym płaszczu zeskakuje na trotuar. Dziś zamiast kryzy założył jedwabny krawat, brodę wyczesał starannie. Wierzchnie okrycie jest rozpięte, odsłania ciemny garnitur z angielskiej wełny. Miękkie, zamszowe półbuty bezgłośnie stykają się z brukiem.

Przed nim cel jego podróży — kościół i klasztor dominikanów. Wchodzi w mroczną sień, na lewo od głównego wejścia świątyni. O tej porze wewnętrzny krużganek jest udostępniany zwiedzającym. Jeden z braci idzie korytarzem. Kolor płaszcza myli go, przez chwilę sądzi, że ma przed sobą mnicha z innego zgromadzenia, ale zaraz spostrzega pomyłkę...

Nieznajomy kroczy w zadumie po kamiennej posadzce. W ściany wpuszczono epitafia oraz ich fragmenty. Niektóre pamiętają średniowiecze, inne wmurowano tu dopiero w latach dwudziestych, gdy przebudowa ulicy Dominikańskiej zniszczyła przylegający do kościoła stary cmentarz. Łącznie trzy tysiące płyt lub ich fragmentów. Mężczyzna w płaszczu dociera do drzwi prowadzących w głąb klasztoru. Są oczywiście zamknięte na głucho. Klauzura — tam nie wpuszcza się świeckich. Ale wie, że znalazłby tam jeszcze jedno podwórze i kolejne setki płyt... Zakręca i liczy kroki. Wreszcie zatrzymuje się. Na ścianie niewielkie epitafium z marmuru. Przez długie lata leżało wpuszczone w posadzkę, tysiące stóp obutych w sandały wypolerowały powierzchnię. Nadal jednak można się dopatrzeć zatartych liter:

Alexander Setonius vulgo Cosmopolita

Mężczyzna spod płaszcza wyciąga tubus z pleksi. Wewnątrz spoczywa jedna czerwona hydroponiczna róża z supermarketu. Wyjmuje ją, kładzie pod ścianą. Przykłęka, odmawia modlitwę. Wstaje i na chwilę przykładą dłoń do kamiennej ściany.

— Spoczywaj w pokoju, przyjacielu — szeptem.

* * *

Noc. Deszcz zacina w szyby. Na pobliskich Plantach szumią drzewa. Chiński wachlarz wisi na ścianie. Dwa stosiki książek, przeczytane i do przeczytania. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat polska literatura upadła ostatecznie. Wszystko trąci upiorną, obojętną nudą. Powielane schematy, papierowi bohaterowie, szczątkowa akcja... Tylko fantastyka jeszcze nadaje się do czytania, głównie te starsze pozycje, z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Nowsze, zwłaszcza te nachalnie reklamowane, nie dają się strawić.

Odkłada kolejną książkę na stos przeczytanych. Co mogło się stać? Czy to zatrucie socjalizmem sprawiło, że wszystko tak zeszło na psy? A może zbyt dawno nie było wojny? Może to efekt zniewieścienia społeczeństwa? Czasy upadku. Literatura, sztuka... Trzy razy była w teatrze na nowych przedstawieniach. Trzy razy wyszła po pierwszych dwudziestu minutach.

A przecież tak rwała się do Polski... Wyjmuje z walizki tomik etiopskiej poezji. Musi odpocząć...

*Na brzegach jeziora Tana
Stoją na wzgórzach drewniane nagrobki
Czas orania radłem przemija
Felasze odeszli po trzech tysiącach lat
Wrócili na ziemią przodków
Nam też pora wracać do domu
Nad Nilem i Tekezje pozostaną tylko ruiny lepianek*

Twarde słowa, wypowiedane półgłosem po amharsku, dźwięczą w powietrzu. A może popełniła błąd? Nie mogła zostać w Aksum ani Gonder, ale przecież jest wiele krajów których dawno nie odwiedzała. Pociąga ją Ameryka Południowa. Wielkie, puste przestrzenie, ludzie żyjący jak przed wiekami ich przodkowie... Może warto odpocząć tam kilka lat. Keczua nie powinien być trudniejszy od mandaryńskiego czy gyyz... A może warto wpaść na jakiś czas do Gruzji? Tak dawno nie próbowała marynowanych zielonych włoskich orzechów...

Tu, na ziemi przodków, czuje się dziwnie obco. I jeszcze coś. Po czterech stuleciach nauczyła się ufać przeczuciom. Ktoś zanadto interesuje się jej osobą. Czuje wokół siebie zagęszczanie się atmosfery. Co zwiastuje? Zapewne kolejnego wariata z osikowym kołkiem... Wszystkiemu winna ta debilna telewizja. Filmy o wampirach, filmy o nieśmiertelnych świrach obcinających sobie głowy... Jakby mało kłopotów przysporzyła jej literatura brukowa...

Nie kupiła sobie telewizora. Trudno jej znieść przerywające filmy spoty reklamowe. Nie zatrzyma się tu długo. Dwa, może trzy lata. Odszuka alchemika i wyjedzie. Gruzja może poczekać. Peru lub Boliwia... Raczej Boliwia. W Peru jest stanowczo zbyt wysoka przestępczość. Wprawdzie umie sobie radzić, ale nie mogła nigdy przywyknąć do zabijania... A czasem niestety nie da się tego uniknąć. W Boliwii jest spokojniej. Wprawdzie, zdaje się, aktualnie mają tam rewolucję, ale tam to normalne... Kupi sobie hacjendę wysoko w górach... Ziemia w Andach nie powinna być droga...

A zatem postanowione. Jest tylko jeden problem. Nie potrafi odszukać mistrza. I co najgorsze, zupełnie nie wie jak się za to zabrać.

* * *

Noc. W Warszawie też pada deszcz. Nieoznakowane furgonetki CBŚ pędzą przez uśpione miasto. Tym razem uderzenie w mafię będzie naprawdę dotkliwe. Szesnastu biznesmenów mieszkających w różnych częściach Warszawy śpi spokojnie. Nie wiedzą, że ich twarze zarejestrowały przed laty kamery przemysłowe w kilku bankach. Nie wiedzą, że superkomputery bazy rozpoznały ich, zidentyfikowały ich szkolnych kumpli, a analitycy ustalili powiązania z grupami przestępczymi. CBŚ rozszyfrowało wszystko. Tajemnica bankowa utrudnia zbadanie stanów ich kont, ale dane z rynku nieruchomości zostały dokładnie sprawdzone. Zrabowane pieniądze inwestowali w ziemię. Kupowali grunty od państwa. Przepływ gotówki niełatwo śledzić, ale czasem się udaje.

Odrapana półciężarówka, oznakowana jako własność Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji, zatrzymuje się przed willą byłego wicepremiera. Polityk śpi słodko, nawet nie wiedząc, że za godzinę, skuty kajdankami, wyląduje w celi aresztu — śledczego pod zarzutem przyjmowania łapówek od członków mafii. A przecież system komputerowy znajduje się ciągle w fazie testów... Potrzeba jeszcze wielu miesięcy, by osiągnął pełną sprawność. A wtedy będzie można zdejmować bydlaków warstwa po warstwie. Na razie bandziorki śpią jak aniołki. Do czasu...

Synchronizacja jest bezbłędna. Wszystkie furgonetki zatrzymują się przed domami podejrzanych z dokładnością do piętnastu sekund. Przenośne generatory zagłuszają sygnał telefonów komórkowych. Drzwi wykonane zostały z różnego materiału. Czasem wystarczy pocisk ze strzelby gładkolufowej, czasem trzeba przebijać się przez nie ładunkiem kumulacyjnym...

Sprawczyni zamieszania leży na polowym łóżku. Rozpuściła włosy, naelektryzowały się i otaczają jej głowę jak złocista chmura. Nie śpi. Rozmyśla. Jak przeszukać wszystkie prywatne szkoły w Krakowie? Oczywiście jest na to metoda. Wystarczy do każdej placówki wysłać oficjalny list sygnowany przez CBS i zapytać, czy wśród kadry nauczycielskiej nie ukrywa się przypadkiem kobieta, której fotografię załączamy... Można zrobić z niej wielokrotną morderczynię, lesbijkę — sadystkę rzucającą uczennice piłą łańcuchową... Istnieje niestety ryzyko, że dyrekcja uzna, iż zna swojego pracownika lepiej i ostrzeże. Na jaki okres może się przyczaić dziewczyna nosząca na karku cztery wieki? Na czterdzieści lat? Z jej punktu widzenia czas to coś zupełnie innego...

Nikt nie może żyć w próżni, nie zostawiając po sobie śladów w urzędowych papierach. Łóżko, na którym leży Katarzyna, znajduje się za szumiącym cicho bankiem pamięci. Obcowanie na co dzień z ciekłym azotem sprawia, że jej myśli stają się chłodne i rzeczowe.

Stanisława Kruszewska musiała do perfekcji opracować system tworzenia tożsamości. Można wprawdzie kupić dowód osobisty na bazarze, ale będzie on miał tyle wad, że dokładna kontrola z pewnością pozwoli odkryć fałszerstwo. A zatem jak oszukać system? Musi w jakiś sposób zdobyć autentyczne dokumenty. Żelazne, niepodważalne. Nie mogą to być na przykład papiery kogoś, kto nie żyje. Kontrola w urzędach stanu cywilnego pozwoliłaby wykryć oszustwo. Z drugiej strony, nie da się tego tak zupełnie wykluczyć.

Zaraz, co powiedziała staruszka? Stanisława Kruszewska opowiadała im o Etiopii. To nie takie głupie. Przybyć do Polski z etiopskimi dokumentami i wystąpić o naturalizację w kraju przodków. Zdobyć polskiego obywatelstwa nie powinno być specjalnie trudne... Zwłaszcza jeśli udowodni, że należy do naszej nacji...

Tak czy inaczej, prawdopodobnie przebywała za granicą. W kilku lub kilkunastu krajach. Czekala tam, aż wymrą ci, którzy mogliby ją rozpoznać...

Katarzyna niechętnie wstaje z łóżka i podchodzi do komputera połączanego z rządową siecią. (Terminal ten nie ma, z obawy przed włamaniem, żadnego połączenia z bazą). Wstukuje kilka komend. Komputer posiada sporą moc obliczeniową, ale w zasadzie nie jest to koniecz-

ne... Kartoteka imigrantów. Ustawia parametry. Kobieta, wiek 20-25 lat. Narodowość polska, kraj pochodzenia nieznany. Szkoda, że nie można ustawić rasy, cała masa Chinek zarejestrowała się jako Polki z Mandżurii...

Katarzyna siedzi przed komputerem i w milczeniu zastanawia się nad swoją kuzynką. Lubi uczyć. Oczywiście pracuje w szkole nie po to, żeby wysysać z uczniów krew... Prawdopodobnie w ten sposób kompensuje fakt, że sama nie może mieć potomstwa. Skutek uboczny działania eliksiru? Nie da się wykluczyć. Z drugiej strony, każdy mąż po najdalej sześćdziesięciu latach wyciągnie nogi. Podobnie dzieci. Jeśli nie jest w stanie zapewnić im trwania, to może lepiej nie mieć ich wcale?

Ma biologicznie około dwudziestu lat. Aby pracować w ulubionym zawodzie powinna mieć wyższe wykształcenie. Przynajmniej w obecnych czasach. Dawniej nie było to aż tak istotne... Jak ominie przepisy? Prawdopodobnie zda egzamin państwowy z obcego języka i zatrudni się jako lektorka. Żyjąc tak długo, pewnie poznała wiele narzeczy... Katarzyna przesiada się do kolejnego terminala. Sprawdzimy wszystkich ludzi mających uprawnienia do nauki jednocześnie angielskiego, francuskiego i niemieckiego. Z pewnością przynajmniej część czasu spędziła na Dalekim Wschodzie. Staruszka wspominała, że ich nauczycielka upinała czasem włosy w chińską fryzurę... A zatem spis tłumaczy języków chińskiego, japońskiego, koreańskiego, wietnamskiego...

Brzęczyk sygnalizuje zakończenie pracy. Listy są długie. Dziewczyn w odpowiednim wieku chce się osiedlić w Polsce sześć tysięcy. Co najmniej dziesięć razy tyle już u nas mieszka. Wykaz osób, które przeszły państwowe egzaminy z trzech języków obcych też rozmiarami przypomina książkę telefoniczną. Pracowity nasz naród... Tłumaczy z chińskiego również mamy sporo.

Teraz wystarczy porównać listy. Pozostaje jedno nazwisko Stanisława Kruszewska. A jednak. Czemu nie wyłapał jej system? Jest w Polsce od niedawna. Jeszcze nie dostała numeru PESEL... Zna sześć języków europejskich, do tego amharski, gyyz, turecki, chiński i japoński. Pewnie włada też innymi, ale z tych tylko zdała egzaminy państwowe.

A więc znowu pojawia się Etiopia. Kuzynce musiało się tam wyjątkowo spodobać. Ciekawe gdzie i kiedy uczyła się chińskiego? Przecież nie w czasach rewolucji kulturowej? Może przed dojściem do władzy komunistów, a może na Tajwanie lub w Hong Kongu? Warto sprawdzić...

Teraz wystarczy użyć superkomputera bazy. Adres, adres szkoły... Przyjechała aż z Etiopii. Ciekawe. Zapewne dlatego, żeby nie można było zbyt szybko sprawdzić jej tożsamości, w tym kraju niewiele jest komputerów... A zatem nieśmiertelna kuzynka istnieje realnie. Można wpaść do niej w odwiedziny. Można zejść do niej do pracy. Można ją złapać, skuć kajdankami i wpakować do piwnicy pod kwaterą główną CBŚ. Można — tylko po co?

Do tej pory Katarzyna koncentrowała się na jej odnalezieniu. Teraz pora wymyślić motywy... Co robić dalej? Zadzwonić, umówić się na herbatę? Zaczaić i strzelić jej między oczy? W zasadzie... Pogadać sobie o przodkach, których istnienie odnotowały herbarze? To mogłoby być ciekawe.

A na razie trzeba iść spać. Trzecia nad ranem... A jutro znowu czeka ją szesnaście godzin dłubania w komputerach. Gdzieś tam istnieje siatka wywiadu pewnego teoretycznie zaprzyjaźnionego mocarstwa... Uśmiecha się pod nosem. Czy po wykonaniu analizy upadnie kolejny rząd? Generał i prezydent mieli świętą rację. Baza to władza. Władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje absolutnie. Jeśli się jej pożąda.

Zasypia nakryta kocem. Jej ostatnie myśli krążą wokół tych spraw. Jeśli upadnie rząd, kontrolę nad bazą przejmą nowi ludzie. Może okazać się, że jej stanowisko przypadnie komu innemu. A jeśli chce się zrobić coś porządnego, trzeba to zrobić samemu. Aż do końca. W zasadzie nie wie nic. Jest tylko technikiem. Wprawdzie istnienie systemu utrzymywane będzie w tajemnicy, ale ona nie stanowi zagrożenia dla nowej ekipy. A więc przeżyje. Na wszelki wypadek naniosła pewne poprawki do oprogramowania. Gdyby trzeba było się ukryć, nie znajdą jej. Baza nie obróci się przeciw swojej twórczyni...

Gdyby ją dorwali, ma zabezpieczone materiały na kilka potencjalnych ekip rządzących. Dawno już podejrzewała, że polityka to brudne zajęcie, ale nie sądziła, że aż tak. Członkowie partii koalicyjnych i opozycyjnych to dziwna banda. Szpiegzy, tajni agenci, przedstawiciele mafii i masonerii, oszuści, morderca, jest nawet pedofil i dwu bigamistów...

Trzeba będzie tu trochę posprzątać. Przecież nie można tolerować sytuacji, w której minister jest wtyczką urugwajskiego wywiadu. Swoją drogą to kompletny idiotyzm. Rozumiałaby, gdyby pracował dla obcych mocarstw, ale dla Urugwaju?! Po co ten maleńki, biedny kraik utrzymuje swoją siatkę u nas? Sprawdzenie tego będzie bardzo interesujące. Ale na razie Katarzyna musi przyskrzynić swoją kuzynkę... To już pojutrze.

* * *

Obsługa pubu przy Rynku szybko zapamiętała nietypowego klienta. Przychodzi zawsze w czwartki. Zawsze zajmuje to samo miejsce. Siedzi zawsze samotnie, wypija zwykle trzy litry dobrego piwa. Sący je powoli z własnego kamionkowego kubka. Przegląda jakieś papiery, czasem robi notatki. Nikt go nie zagaduje, nikt się do niego nie dosiada. Ludzie przy sąsiednich stolikach ściszą rozmowy, żeby mu nie przeszkadzać. Ale jednocześnie nikt nie czuje się nieswojo w jego obecności. Nieruchoma postać w brązowym płaszczu stała się po prostu elementem wystroju wnętrza...

Po trzech, czasem sześciu godzinach zagadkowej pracy, nieznajomy oddaje dzban po piwie, reguluje rachunek i znika. Trunek nie wywiera na niego żadnego widocznego wpływu... Co ten człowiek robi w pozostałe sześć dni tygodnia?

* * *

Wieczór w teatrze... „Jezioro łabędzie”. Dawno nie była na balecie. Chyba ze trzy, może cztery lata... Sala nabita po brzegi. Zbiorowa rezerwacja krakowskiego liceum. Jedno miejsce wykupione przez CBS. Informatyczka załatwiła je sobie przez Centralę.

Z balkonu czwartego piętra doskonale widać baletnice pływające w takt muzyki. Jednak Katarzyna wybrała kiepskie miejsce, prawie pod samą ścianą po lewej stronie. Scena widoczna jest stąd pod kątem, który nieco przeszkadza w odbiorze całości. Za to świetnie widać środkowe partie widowni. Jest ciemno, ale od czego najnowszy gadżet ze zbrojowni CBS: lornetka zaopatrzona w przetworniki termowizyjne? Balkon trzeciego piętra. Dwanaście wystrojonych uczniów. Widać chłopcy nie dali się namówić, a racja, to szkoła żeńska... Pomiędzy dziewczętami kobieta około dwudziestu, może dwudziestu dwu lat. Nie wygląda na dużo starszą od swoich podopiecznych. Ubiera się skromnie, ale elegancko. Patrzy na popisy tancerek chłodno i spokojnie. Ile razy mogła widzieć ten balet? Dwadzieścia? Osiemdziesiąt? Kiedy ostatnio była na nim w teatrze? Przed pięciu laty, czy przed wiekiem? W zasadzie można by zapytać... Koniec aktu. Kurtyna opada. Twarz kuzynki traci swój rozmarzony wyraz. Licealistki wyglądają na nieco znudzone. Swoją drogą, co za debilny pomysł, szukać sobie roboty, która wymaga użerania się ze smarkaterią stulecie za stuleciem? A przecież nie wygląda na masochistkę.

Katarzyna wymyka się, pędzi korytarzem, zbiega po schodach. Odprowadzają ją zgorszone spojrzenia ludzi dostojnie kroczących foyer. Kuzynka w otoczeniu swoich uczennic wychodzi do głównego holu. Nie wie, że jest obserwowana.

Agenci CBS przechodzą drobiazgowo i skomplikowane szkolenie. Technicy pracujący dla biura też mają swój cykl treningowy, choć znacznie mniej rozbudowany. Katarzyna posuwa się spokojnym krokiem w ślad za grupką dziewcząt. Obserwuje nauczycielkę. Prosta sukienka, torebka wyprodukowana prawdopodobnie w Chinach. W torebce rewolwer. Ciekawe, czy ten sam nagan, którym przed osiemdziesięciu laty broniła się w szkole? Nie da się wykluczyć, to niezawodna broń o kalibrze, który położy nawet słonia. Do tego prawdopodobnie nóż w pochwie przytroczonej na udzie lub łydce. Jak widać, kuzynka miała ciężkie życie i nauczyła się dbać o siebie...

W wywiadzie szkoli się agentów, jak zawierać znajomości bez budzenia podejrzeń inwigilowanego. Katarzynę ominęła ta część cyklu treningowego. Ale byka najlepiej brać za rogi. A zatem...

Przyspieszyła kroku. Kryjąc się za rzędem filarów doszła prawie do końca holu, zakręciła i ruszyła na spotkanie przeznaczenia szybkim, lekkim krokiem.

— Witaj kuzynko.

Na twarzy Stanisławy odmalowało się na moment zaskoczenie... W oczach błysnął strach. Ludzie, którzy się boją, zdolni są do czynów nieprzewidywalnych.. Historia notuje kilka głośnych zabójstw dokonywanych w teatrach. Lincoln, Stołypin...

— Moment — Stanisława dotknęła palcami skroni jakby usiłowała sobie przypomnieć.

Gra przed swoimi uczennicami. Nie spławiła jej natychmiast, a to oznacza, że czegoś się domyśla. Podjęła wyzwanie. Współpracuje. A zatem trzeba jej pomóc...

— Katarzyna Kruszevska — odpowiedziała.

— Ach, kuzynka Kasia — twarz nauczycielki rozpromieniła się, choć jej oczy nadal pozostały chłodne. — Nie poznałam cię w pierwszej chwili.

Co robić dalej? Można postraszyć.

— No, nie widziałyśmy się całe wieki — zaakcentowała lekko ostatni wyraz.

Nie za mocno postraszyła? Chyba tak.

— Idźcie na miejsca, zaraz koniec antraktu — Stanisława zwróciła się do uczennic. — Dołączę za chwilę...

Dziewczęta zmyły się. Twarz nauczycielki spoważniała.

— Kim jesteś? — zapytała cicho.

— Naprawdę jestem twoją kuzynką — uśmiechnęła się Katarzyna. — Z Kruszeńskich herbu Habdank.

Stanisława podeszła do barierki schodów i patrzyła przez dłuższą chwilę na spacerujących nimi ludzi.

— Jak mnie odnalazłaś? — spytała wreszcie.

— W mojej, a właściwie naszej, rodzinie istniała legenda przechodząca z pokolenia na pokolenie. Legenda o prababce, która nigdy się nie zestarzała...

— Na podstawie samej legendy nie zdołałabyś mnie zidentyfikować — głos był chłodny, ale zabrzmiało w nim zaciekawienie. Nie była nastawiona wrogo.

— Widziałam portret w Muzeum Narodowym... Pracuję w CBS przy komputerowych systemach identyfikacji przestępców...

Na twarzy Stanisławy pojawił się lekki uśmiech.

— I jakież to przestępstwo popełniłam? — przechyliła lekko głowę.

— Posługiwanie się fałszywymi dokumentami — odpaliła jej kuzynka. — Oraz, jak sądzę, zażywanie preparatów medycznych nie dopuszczonych do użycia przez ministerstwo zdrowia...

— Wykorzystując khm... rodzinną solidarność zapytam w tym miejscu, czy przeciw mnie toczy się oficjalne śledztwo?

— Nie. Po prostu nadużyłam zaufania zwierzchników by cię odnaleźć... Przy okazji trafiłam też na jednego twojego przyjaciela...

— Domyślam się o kogo chodzi. Jak wygląda, nazwijmy to, kondycja rodu Kraszeńskich?

Katarzyna dotknęła ramienia Stanisławy i pokazała dwa palce.

— W zasadzie wcale nie wygląda — powiedziała.

Dzwonek zabrzmiał w holu. Zaraz zacznie się kolejny akt... Spojrzały na siebie. „Obwąchały” się nawzajem i odczuwają radość, jaką może dać odnalezienie kogoś, kto myśli podobnie do nas...

— Odwiedź mnie — zaproponowała Stanisława. — Znasz adres?

— Oczywiście. Co powiesz na przyszłą sobotę?

Kiwnęła głową.

— Dobrze. To może o szesnastej? Miło było poznać.

Drugi dzwonek.

— Który to już raz? — nie wytrzymała.

— „Jezioro łabędzie”? — kuzynka natychmiast domyśliła się sensu pytania. — Szczerze powiedziawszy, nie liczyłam. Może trzydziesty... A ty?

— Pierwszy — spuściła głowę.

Uśmiech. Spokojny, przyjazny.

— To goń, bo spóźnisz się na początek aktu... A szkoda by było.

Rozstały się.

* * *

Z zewnątrz mieszkanie nie wyglądało podejrzanie. Stara, przedwojenna kamienica, solidne, dębowe drzwi. Dzwonek... Katarzyna wcisnęła mosiężny guzik. Wewnątrz odezwał się melodyjny gong. Przeciągająca się chwila niepewności. Kuzynka po zdemaskowaniu mogła uciec. A jednak nie. Chrobot klucza w zamku. Drzwi otworzyły się.

Stanisława założyła lekką, płócienną sukienkę. Srebrny krzyżyk wysadzany rubinami, ten sam, który tak ładnie odwzorowano na portrecie, wisiał na jej szyi. Miała miękkie pantofle na stopach. Nie była uzbrojona. Chyba że spróbuje zadźgać ją długą szpilką ze swojej chińskiej fryzury. Jeśli koniec nasączyła odpowiednią trucizną...

— Witaj — gospodyni pocałowała ją w policzek. — Zapraszam dalej.

Czyli jednak nie zadźga. Przeszły do niewielkiego saloniku. Meble wygrzebane w antykwaracie. Na ścianie słucki pas od kontusza. Dwie skrzyżowane szable. Stanisława wyjęła paczkę długich kominkowych zapalek i rozpałała w stojącym na parapecie samowarze.

— Herbata zaraz będzie — uśmiechnęła się.

Usiadły w fotelach. W zasadzie nic nie musiały mówić. Od pierwszego spotkania w teatrze poczuły do siebie sympatię. Stasia wyczuła ciekawość kuzynki. Zdjęła z szyi krzyżyk. Jedno ramię dało się odkręcić. Z wydrążenia wewnątrz wysypała na kawałek bibułki kilkanaście czerwonych kryształków.

— Kamień filozoficzny — powiedziała. — Wyprodukowany przez mistrza Sędziwoja z Sannoka na początku XVII wieku. Było nas sześcioro. Każdy dostał identyczną porcję...

— I od tamtej pory...

— Jedna dawka na stulecie. To, co zostało, nie wystarczy... Czas mnie dogoni. Chyba... — spojrzała z wahaniem na krewną — chyba że mi pomożesz.

Katarzyna uniosła brwi.

— W jaki sposób?

— To bardzo proste. W Nowym Sączu wiele osób spotkało ducha alchemika... Rozumiesz, co to może oznaczać?

— On nadal żyje — szepnęła Katarzyna.

— Tak przypuszczam. I ciągle ukrywa sekret produkcji tynktury... Może zechce raz jeszcze podzielić się swoim wynalazkiem? Trzeba go odnaleźć i odpowiednio przycisnąć. Skoro zdołałaś odszukać mnie...

— Miałam punkt zaczepienia. Twój portret. W tym przypadku...

— Istnieje obraz Jana Matejki przedstawiający Sędziwoja, tyle że to niestety licencja poetica — mruknęła Stanisława. — Faktycznie, będzie kłopot... Ale musimy dopaść alchemika. Dla mnie. Dla nas.

— Czyli...

— Jeśli zdobędziemy zapas, przyłącz się do mnie. Przeskakujmy razem kolejne stulecia. Samotność... — na jej twarzy odmalowało się nagle zmęczenie. Znużenie życiem, które trwało prawie połowę milenium. — O ile uznasz, że warto. Nigdzie nie mogę zagrzać miejsca na dłużej niż kilka lat. Włóczę się po świecie, uciekam... Patrzę jak ludzkość schodzi na psy.

— A mimo to niektórzy domyślają się... — zauważyła Katarzyna. — Jak tamci w szkole.

— O, to naprawdę dużo o mnie wiesz — mruknęła. — Nie oni pierwsi i nie ostatni. Cztery razy spotykałam wariatów z osikowymi kołkami... Jeśli pójdziesz ze mną, też ich spotkasz.

— Trzeba zlokalizować Sędziwoja... Czy jego kamień filozoficzny pozwalał robić złoto?

— Tak.

— CBŚ ma dojścia w kantorach i bankach handlujących kruszcem. Jeśli alchemik przebywa w Polsce, musi z czegoś żyć.

— Nie da się wykluczyć — w oczach Stasi błysnęło uznanie. — Sądziś, że po prostu co miesiąc robi sobie sztabkę?

— Skoro nie sprawia mu to problemów... Jeśli moje przypuszczenia są słuszne, to może nas do niego doprowadzić...

— A zatem do dzieła... — uśmiechnęła się.

Odkorkowała butelkę czerwonego gruzińskiego wina.

— Za następne pięć stuleci — powiedziała Stanisława poważnie, unosząc kieliszek. Stuknęły się nad stołem.

* * *

Mikołaj Sieklucki, nauczyciel biologii, kartkuje starą książkę telefoniczną. Rozsypujący się tom wyciągnięty z makulatury nie ma strony tytułowej ani okładki, ale sądząc po formacie, pochodzi z połowy lat osiemdziesiątych. Także w środku brak mu wielu kartek. Część z adresami i telefonami aptek zachowała się. Proste zestawienie danych pozwala stwierdzić, że około 30 przybytków farmacji przestało istnieć w ciągu ostatnich piętnastu lat.

Biolog notuje sobie skrzętnie adresy. Zakłada ciężkie buty desantowe oraz skórzaną kurtkę. Do plecaka wrzuca łom i piłę do metalu. Sprawdza działanie latarki. Może już pierwszej nocy dopisze mu szczęście?

* * *

Nad Krakowem wstaje chłodny i wilgotny świt. Koniec września, trochę deszczu. Monika Stiepankovic budzi się na niewygodnym łóżku w jednym z domów dziecka. Szary i nijaki pokój, który dzieli jeszcze z trzema dziewczynami. Meble nienajgorsze, ale mocno zużyte, подарowane przez sponsorów. Materac jest nierówny. Nie przeszkadza jej to. Przez ostatnie lata odwykła od takich luksusów. Leży wygodnie wyciągnięta pod cienutkim kocem. Złociste włosy rozsypały się na poduszce. Błękitne oczy wpatrują się w zadumie w sufit. Niebieska farba nieco poszarzała...

Niewygody, brak prywatności, znoszone ubranie, za ciasne o pół numeru buty nie mają dla niej żadnego znaczenia. Teraz liczy się tylko jedno. Bezpieczeństwo. Wsłuchuje się w równe oddechy pozostałych dziewcząt. Nie lubią jej, ale to też nie jest istotne. Mogą zawiązać jej skarpetki na supły, ale nie zarzną podczas snu. To bardzo miła odmiana. Po raz pierwszy od bardzo dawna rozkoszuje się spokojem. Nie musi uciekać, kryć się... Tu nikt o niej nie słyszał. Jest anonimowa, może wtopić się między ludzi, bez obaw używać swojego prawdziwego imienia i nazwiska, śmiało spacerować ulicami.

W małym kalendarzyku tkwi fotografia, odbitka z polaroidu, przedstawiająca dwudziestu trzech żołnierzy z polskiego batalionu KFOR. To dzielni, odważni i szlachetni ludzie. Uczucie wdzięczności wcale nie jest Monice obce... Jakoś spróbuje się zrewanżować. Jeszcze dziś przechodzą ją dreszcze. Wywinęła się śmierci...

Żołnierze także nie zapominają o niej. Gdy człowiek ratuje drugiemu życie, powstaje między nimi silna więź. Z reguły ratujący odczuwa potrzebę opieki nad uratowanym... Polubili ją, bo jak można nie poczuć sympatii do miłej i cichej szesnastoletniej dziewczyny, w dodatku wyglądającej jak księżniczka z bajki? Zrzucili się po kilka złotych i założyli jej konto w banku ze skromną sumką, na początek. Podpisali także podanie o azyl w Polsce. Więcej nie byli w stanie. Dwaj lub trzej sugerowali, że mogłaby na jakiś czas zamieszkać u ich rodzin, ale podziękowała uprzejmie... Wzdycha. Gdy ktoś ma szesnaście lat, musi chodzić do szkoły. W zasadzie czemu nie? Ma pewnie pewne braki programowe, ale poradzi sobie. Dokucza jej samotność, wprawdzie nauczyła się z tym żyć, ale jesienią, gdy wieczory stają się dłuższe, warto mieć kogoś, kto zrozumie, pocieszy. Pytanie tylko, czy w tym dalekim i obcym, choć przyjaznym kraju znajdzie jakąś przyjaciółkę? Wątpi, czy spotka osobę, której mogłaby powierzyć swój najgłębiej skrywany sekret... Tajemnica staje się ciężarem trudnym do udźwignięcia w pojedynkę.

* * *

Katarzyna Kruszewska pakuje walizkę. Mamrocze sama do siebie ze złością. Fakt, odrobinę przesadziła. Mówiąc dobitniej, nadużyła władzy, którą dał jej dostęp do systemów komputerowych CBS. Z drugiej strony, na tym przecież polega jej praca. Identyfikacja przestępców. A to byli przestępcy. Szpiegostwo jest karalne. I machlojki finansowe, i kontakty z grupami prze-

stępczymi, nawet bigamia i pedofilia są karalne. Za to wszystko normalni ludzie idą siedzieć. Za to zwykłego człowieka wykreśla się z listy przyjaciół. Za to wywala z pracy... Miała świadomość, że wiedza to zagrożenie. Mówiono jej, że wiedza daje władzę, a władza kusi, by z niej skorzystać. Sądziła, iż sobie z tym poradzi. Ale jak można znieść sytuację, w której elita rządząca Polską składa się bez wyjątku z takich zakazanych typów? Kraju uratować się już nie da. Za daleko to wszystko zaszło, niepodległości nie zdołamy już obronić. Rak zdrady toczy aparat państwa. Za późno na cięcia operacyjne. Ale chciała choć odrobinę oczyścić powietrze...

Przygotowała strategię działań, zgromadziła materiały, zapomniała tylko o jednym: istnieją ludzie nietykalni. Planowała wielkie porządki, a wyszła jej burza w szklance wody. Dokumenty, które przygotowała, powinny wystarczyć do rozstrzelania za zdradę ojczyzny wszystkich prawie członków rządu oraz siedemdziesięciu procent posłów. Materiały przekazane prokuraturze generalnej to dynamit. Sześćset teczek ludzi, których należałoby się natychmiast pozbyć...

I nie wyszło. Raptem czwórka ministrów poleciała z posad. Dobrze, że chociaż urugwajski wywiad straci swoją wtyczkę... Katarzyna zgrzyta zębami ze złości. To ona pierwsza znalazła ślady siatki tworzonej przez agentów tego kraju, a także dziesięciu kolejnych. A teraz ktoś inny się tym zajmie. O ile ktokolwiek się zajmie. Na razie pora się ulotnić. Bo, zdaje się, za tych ministrów chcą ją wywalić z pracy.

Elity wpadły w szal. Dyszą żądzą odwetu. Na szczęście nikt nie domyśla się nawet, że „spisek” (jej całkowicie legalne i usprawiedliwione działania nazywają spiskiem i zdradą stanu!) narodził się tu — w zastawionych komputerami bunkrach pod siedzibą CBŚ. Na razie podejrzewają tych z UOP-u. I koszą, wywalając dziesiątkami na bruk... Specjalnych złudzeń nie ma. Wie za dużo. Otarła się o tajemnice właścicieli tego kraju, a oni nie puszczają takich rzeczy płazem. Generał obiecał ją chronić. Ale mimo to trzeba zniknąć... Wrzuca do spalarki pliki papieru. Lepiej nie zostawiać po sobie śladów.

Pora ruszać w drogę. Poszukać sobie gdzieś daleko mieszkania i nowej pracy, w miarę możliwości mniej stresującej. Przeczaić się i przeczekać aż burza ucichnie... Ma pewien pomysł. Jej kuzynka wspomniała nie dalej jak przedwczoraj o pewnej wakującej posadzie... Kilka tygodni temu zaczął się pierwszy semestr. Czemu więc nie zaczepić się w szkole?

* * *

Dyrektor prywatnego żeńskiego liceum spojrzał ciężko zza biurka. Niewysoka dziewczyna z grubym warkoczem siedziała skromnie na krześle. Kontemplował ją przez dłuższą chwilę. Wyglądała sympatycznie, ale czuł dziwną podświadomą niechęć. Fakt, że nazwisko nosiła identyczne jak niedawno zatrudniona lektorka, zrzucił na karb przypadku.

— Więc chce pani objąć stanowisko nauczycielki informatyki? — zaczął.

Jeśli ktoś pyta o rzeczy, które są mu doskonale znane, może to oznaczać tylko jedno. Pragnie stłamsić swoją ofiarę, pozbawić ją pewności siebie. Co z tym fantem zrobić? Można udawać potulną owieczkę albo, wręcz przeciwnie, obrócić pytanie przeciw pytającemu...

— O wszystkim napisałam w podaniu.

Dyrektor skończył je czytać pięć minut temu. Ta odpowiedź w pewien sposób sugeruje, że jest kretynem. Delikatnie, a jednak. Zajrzał pomiędzy kartki i wyłowił CV.

— Są tu pewne luki — zauważył. — Ukończyła pani studia w wieku dwudziestu lat...

— Udało mi się zrobić pięć lat w ciągu dwu — wyjaśniła spokojnie.

Potarł czoło kciukiem.

— Hmmm — mruknął. — Przez następny rok pracowała pani dla rządu. A co konkretnie pani robiła?

Kuzynka ostrzegła ją, że ten typ lubi się czepiać. Jak zatem wybrnąć? Można obrócić pytanie w żart. A jednocześnie odpowiedzieć tak, by zawrzeć ziarno prawdy.

— Jak pan będzie zadawał zbyt dużo pytań, trafi pan do nas.

— A konkretnie?

Żart nie udał się, więc trzeba wytoczyć ciężkie działa. Wyjęła z kieszeni wizytownik, spokojnym ruchem podała przyszłemu pracodawcy biały kartonik. Na nim wytłoczono godło, literki CBŚ oraz numer telefonu. I absolutnie nic więcej.

— Jeśli naprawdę jest pan ciekaw, proszę zadzwonić — spojrzała lekko, wyzywająco.

— Nie zatrudnię pani — oświadczył ze złością.

Złość to najczęściej oznaka lęku. A lęk to bardzo destruktywna siła. Strach jest najbardziej obrzydliwą ze słabości, a każdą słabość przeciwnika można obrócić na swoją korzyść. Oczy Katarzyny nieruchomieją, spojrzenie staje się twarde. Rysy twarzy tężeją zamieniając ją w maskę. Przemiana trwa kilka sekund. Długo ćwiczyła przed lustrem pod okiem psychologów. Dyrektor dostrzegł zmianę. Teraz boi się jeszcze bardziej.

Dziewczyna, która siedzi przed nim nadal jest tą samą, ale o ile wcześniej czuł do niej niechęć, teraz odczuwa niemal panikę.

— Panie dyrektorze — także jej głos stał się inny. Tembr obniżył się, słowa padają ciężko jak odlane z żelaza. — Niech mi pan uwierzy, nie ma już innej przyszłości.

Nie poddał się od razu. Spróbował osadzić ją wzrokiem, lecz oczy dziewczyny, które jeszcze przed chwilą wydawały się lekko maślane, teraz połyskują jak kawałki lodu. Nie chciała tego, nie lubi zmuszać ludzi, łamać cudzej woli, ale jeśli nie ma innego wyjścia...

— Przyjmijmy, że panią zatrudnię... — dyrektor stara się ratować resztki honoru.

Zmiana jest błyskawiczna. Znowu siedzi przed nim ta sama sympatyczna, młoda kandydatka na nauczycielkę, która weszła do jego gabinetu zaledwie kilka minut temu.

— Z pewnością pan nie pożałuje — uśmiecha się nieśmiało.

W tym momencie dyrektorowi świta myśl, że w sumie nieważne, skąd przyszła. Jest miła i kompetentna, będzie można z nią pracować...

* * *

Mężczyzna w płaszczu przechadza się uliczkami krakowskiego Kazimierza. Wspomina. Nie wszystko uległo zniszczeniu. Domy stoją nadal tam, gdzie stały, choć tu i ówdzie zieje straszliwa wyrwa. Dawno tu nie był, ale szybko dociera do celu swojej wędrówki. Synagoga Remuh, zbudowana w XVI wieku przez Izraela Isserlesa Auerbacha dla jego syna Mojżesza, znanego jako rabbi Moses Remuh... Przysadzista budowla otynkowana na biało, gościnnie otwarta brama w murze. Wędrowiec wchodzi w nią pewnym krokiem. Drzwi do wewnątrz kryją się w głębi podwórza. Zanurza się w półmrok i ciszę przybytku. Jego oczy szybko przywykają do ciemności. Pod ścianą pali się niewielka wieczna lampka. Oznacza miejsce, w którym zazwyczaj siadywał rabbi Remuh. Gdzieś z zakamarków, zza filaru, wyłania się niewysoki, kaprawy osobnik.

— Zwiedzanie płatne — informuje gościa.

Nieznajomy lustruje go zimnym spojrzeniem brązowych oczu. Strażnik czuje wzrok przenikający aż do kości.

— Przepraszam — bąka. — Myślałem, że pan jest turystą.

Przybysz spokojnie odwraca głowę i patrząc na lampkę popada w zadumę. Będzie tak stał przeszło godzinę. Rabbi Remuh, jedyny człowiek, który świadomie odrzucił dar... Mężczyzna wychodzi. Kroczy pewnie śmierzącymi zaułkami. Kazimierscy żule patrzą ze swoich posterunków przed bramami. Facet jest obcy. Nie pamiętają jego twarzy. Ale jednocześnie widać, że czuje się tu jak u siebie w domu. Zagraniczny płaszcz, poznają to po dziwacznym kroju, złoty szwajcarski zegarek na przegubie, elegancka skórzana teczka pod pachą... Wygląda na nadzianego, a Kazimierz to miejsce, gdzie czerwone twarze polują na jeleni... Jednak jest w nim coś dziwnego. Wyczuwają, że to prawdziwy mężczyzna, jeden z ostatnich przedstawicieli wymierającego gatunku. Nie wiadomo, czy jest uzbrojony, ale i tak nie odważą się go zaczepić. Tacy nie muszą mieć broni. Zaatakować można kogoś, kto się przestraszy. Kogoś, w kim lęk stłumi natychmiast wolę oporu. Ale ten typek nie wygląda na takiego, który byłby w stanie odczuwać lęk. Nóż czy pistolet nie zrobią na nim wrażenia. Przyjmie walkę. I może wygrać. Za duże ryzyko. Lepiej poczekać na innego.

Człowiek w płaszczu wychodzi z zaułka na plac. Mieści się tu lokal o nazwie „Alchemia”. Przybysz czyta napis na szyldzie i parska krótkim, dźwięcznym śmiechem.

* * *

Szkoła. Poobijane ławki, brudne szyby w oknach. Dyrekcja zatrudniła sprzątaczkę, ale babie wyraźnie nie chce się pracować. Korytarz przetarła froterką tylko przez środek. Pod ścianami leży warstwa geologiczna nie ruszana od dziesięcioleci. Podłogę należało wypastować tydzień przed rozpoczęciem roku szkolnego, ale zrobiono to zaledwie wczoraj. Nikt nie pomyślał, by budynek nocą wywietrzyć. Smród pasty do parkietu walczy o lepsze z wonią lizolu.

Firanki teoretycznie wyprano w lecie, ale ekipa która się tym zajmowała, ukradła przy okazji połowę proszku. Ławki wymyto wodą z dodatkiem domestosu. To także wykonano w ostatniej chwili. Zapach chloru jest ciągle wyraźnie wyczuwalny.

Nauczycielka będąca wychowawczynią tej klasy, sprawia wrażenie kompletnie niekompetentnej. Przedłużyła sobie wakacje o dwa tygodnie, symulując chorobę. Czerwona opalenizna na jej nalanym obliczu świadczy, że wylegiwała się przez ten czas na plaży... Pierwsza lekcja to fizyka. Kobieta wyraźnie nie ma pojęcia, co zrobić z czasem i z uczniami. Przez trzydzieści minut dyktuje im regulamin pracowni. Pozostały kwadrans spędza na zapleczu, robiąc sobie herbatę. Nie szanuje czasu uczniów, zwisa jej totalnie wszystko. A ponoć w tym kraju jest dwudziestoprocentowe bezrobocie. Przecież można na jej miejsce zatrudnić kogoś, kto coś wie i potrafi to przekazać...

Monika Stiepankovic siedzi w pierwszej ławce, pod oknem. Czuje na sobie taksujące spojrzenia całej klasy. Pierwszy dzień w polskiej szkole. Miała rację by nie zakładać sukienki. Ubrała się w jeansy i wojskowego kroju bawełnianą koszulę. Uczniowie wykorzystując nieobecność nauczycielki gawędzą sobie. Słucha.

Przez ostatni miesiąc pracowała ciężko ucząc się polskiego po kilka — kilkanaście godzin dziennie. Jeden z żołnierzy polskiego batalionu KFOR zrobił studia pedagogiczne. Teoretycznie jego zadaniem miała być organizacja szkół dla mniejszości serbskiej w Kosowie. Z braku uczniów, dla zabicia czasu, zaczął uczyć ją swojego języka. Trzydzieści dni to nie za dużo, ale miała książki, kasety z filmami i kilkudziesięciu żołnierzy, dla których konwersacja z miłą szesnastolatką była przyjemnym urozmaicheniem ciężkiej służby daleko od domu.

Zna polski wystarczająco dobrze, by rozmawiać. Trochę trudniej wyłapać jej wypowiedzi nastolatków siedzących przy sąsiednich ławkach. To, co dociera do jej uszu, to głównie wulgaryzmy. Kręci głową ze zdumieniem. Przecież do liceów powinna uczęszczać młodzież pochodząca z klasy średniej. Tymczasem w całej grupie nie widzi nikogo sensownego. Zbieranina, hołota, dzicz — umysł podsuwa jej usłudze stosowne epitety. Koszmarna banda. Farbowane włosy, kolczyki w nosach, debilne naszywki na plecach. Trzy albo cztery osoby przyszły na lekcję naćpane... Kilku wygląda jak na ciężkim kacu. Chłopcy taksują ją spojrzeniami. Rozbiegają w myślach. Czuje ich podniecenie. Co tak na nich działa? Jasne włosy? Fakt, jest jedyną naturalną blondynką w klasie... Dobrze, że koszula, o jeden numer za duża, zaciera skutecznie kształty jej sylwetki.

Korytarz wita ją kwaśnym zapachem potu — z braku odpowiednio pojemnej sali gimnastycznej odbywała się tu lekcja wychowania fizycznego. Następna jest chemia. Nauczycielka mówi przez dziesięć minut zupełnie od rzeczy, po czym znika na zapleczu. Robi sobie kawę...

Monika odwraca się i patrzy na klasę. Jej spojrzenie jest uważne, świdrujące. Szesnaście lat to najwyraźniej tutaj kompletnie cielejący wiek. Dziewczyny chichocząc przeglądają jakieś kolorowe pisemko. Jeden chłopiec czyta komiks, pozostali gadają ze sobą jak nakręceni. Oni także marnują czas, a mogliby go wykorzystać z pożytkiem... Przecież widywała już ludzi w ich

wieku, którzy odważnie brali karabiny i szli zginąć za swoją wioskę, za swoją dolinę, za swoją ojczyznę... Tamci młodzieńcy mieli oczy patrzące czysto i odważnie. Nawet jeśli się bali, wiedzieli na czym polega ich obowiązek. W wieku szesnastu lat, czasem wcześniej, byli już mężczyznami. Ci pozostaną rozpuszczonymi dzieciakami. Niektórzy na zawsze.

Dziewczyny to kretynki. Żyją w wirtualnym świecie seriali telewizyjnych, jedyne co jest w stanie zwrócić ich uwagę to plotki z życia gwiazd. Przeżywają cudze problemy, uciekają przed własnymi. Ludzki żużel, odpad... A przecież gdzieś muszą istnieć elity które wychowują ludzi takich jak jej wybawcy z polskiego batalionu KFOR. Gdzie ich szukać? Część żołnierzy pochodziła ze wsi. Ale oficerowie byli przeważnie z miasta.

Jest jeszcze coś. Budzi zbyt duże zainteresowanie chłopców. Zauważyła to na poprzedniej lekcji. Teraz, godzinę później, jest gorzej. Co będzie dalej, wie doskonale. Jedni zaczepią ją wprost, inni będą udawać przyjaciół. W zasadzie wszyscy będą myśleli tylko o jednym: jak by tu sobie z nią... Będzie musiała włożyć masę wysiłku, aby trzymać ich na dystans. Za to czekają ją plotki, pogarda, niechęć, nienawiść...

A zatem? Nie ma na co czekać. Dokonała oceny szkoły. Wybór jest oczywisty. Nie ma tu absolutnie czego szukać. Przyjechała do Polski, aby dojść do siebie po tragediach, których była świadkiem. Przyjechała uspokoić się i wyciszyć. Odpocząć po kilkunastomiesięcznej panicznej ucieczce. Wreszcie przyjechała tu, by nieco uzupełnić swoje wykształcenie. Przez ostatnie kilka lat nauka dokonała skoku do przodu. Widzi jednak, że więcej dowie się czytając rocznik „Wiedzy i życia” niż nudząc się na tych lekcjach.

Wybór jest prosty. Odwagi też jej nie brakuje. Zresztą czego się bać? Nauczycieli? Baba od chemii siedzi nadal na zapleczu. A zatem w drogę. Zeszyt do parcianej torby, torba na ramię i do zobaczenia. Klasa odprowadza ją zaskoczonym spojrzeniem. Po chwili wszyscy rzucają się do okna. Nie pomylili się. Błękitnooka dziewczyna odchodzi niespiesznie ulicą... Nie ogląda się. I czują, że już nie wróci.

* * *

Nauczycielka wychowania fizycznego postanowiła wyjść za mąż za bogatego Niemca. Powodzenia. Wakat na jej stanowisku zajmuje lektorka języków obcych, Stanisława Kruszevska.

Praca na dwa lub trzy etaty nie stanowi dla niej wyzwania ponad siły. Uczennice cierpną w duchu. Jeśli zechce rozruszać ciała podopiecznych w takim stopniu jak mózgi, czeka je bardzo dużo ciężkiej pracy... Z drugiej strony, może będzie trochę ciekawiej niż w zeszłym roku?

Na pierwszą lekcję przyszła ubrana w gruby, zielony dres. Włosy spięła nie w chińską fryzurę, ale w kok. Ciemny rzemyk opasuje jej szyję. Na polerowanym ustniku gwizdka ciemnieje gmerk, przedmiot pochodzi z Lwowskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Kupiła go na giełdzie staroci. Nikiel połyskuje jak srebro. Musiała tylko wymienić drewnianą kuleczkę w środku. Z gwizdkiem wiążą się pewne wspomnienia. Czym jest dla niej stulecie?

Wystarczyło, że weszła i natychmiast wszystkie uczennice powstały. Nikt nie pojął nigdy, jak to robi, ale otacza ją aura mimowolnego szacunku. Stała i zlustrowała dziewczęta spokojnym, chłodnym, konkretnym spojrzeniem. Znała nauczycielkę od tej strony. Nic się przed nią nie ukryje.

— Witajcie. Jak tam po wakacjach? Pewnie leżałyście na brzegu morza smażyć się w słoneczku jak foki wyrzucone na plażę... Widzę, że przez ostatnie tygodnie nie robiłyście na gimnastyce zgoła nic... Wstyd.

Mruczą coś niewyraźnie.

— Przypomnę wam o istnieniu pewnych mięśni, o których z pewnością uczyłyście się na lekcjach biologii — uśmiecha się kpiąco. — Zaczniemy od pięćdziesięciu pompek dla rozgrzewki.

Lekko opada, opierając się o podłogę kłykciami — oszczędza palce... Liczy głośno. Po piątej pompce odpada połowa. Po dziesiątej została sama. Pięćdziesiąt...

— Wasza kondycja nie jest słaba, jest tragiczna — wzdycha wstając. Nawet się nie zasapała. — Zaczniemy od ćwiczeń ogólnorozwojowych. Będziecie musiały też potrenować trochę w domu, tak z hodynku dziennie.

Niekiedy, dla podkreślenia wagi swych słów, używa zabużańskiego akcentu i dorzuca ukrainizmy. Jeśli jest w takim nastroju, lepiej wykonywać posłusznie jej polecenia.

Czterdzieści minut wypełnionych przysiadami, skłonami, pompkami... Większość uczennic nie umiała zrobić szpagatu... Nie są w stanie wykonać skłonu w przód i dotknąć ziemi nadgarstkami. Spora część nie sięga jej nawet czubkami palców... Wprawdzie minęły czasy, gdy nauczycielka dotykała głową kolan, ale przecież góruje nad nimi kondycją i wygimnastykowaniem...

Wzdycha. Sięga pamięcią wstecz. Jak to było wtedy, dawno temu, gdy była w ich wieku? Sześćdziesiąt trzy dni przedzierała się konno w stronę dalekiej polskiej granicy. Na kradzionej klaczy, z watahą janczarów siedzących na karku, bez zapasów jedzenia, bez manierki na wodę, bez grosza przy duszy. Na szczęście na polach stało zboże... Trzy potyczki, przepłynęła Dniestr w październiku... Kurczę, przecież każda dziewczyna z Kresów byłaby w stanie tłuc się miesiąc na koniu. Kozacy niekiedy żyli w stepie przez okrągły rok. Dawno nie było wojny, mężczyźni zniewieścieli, a dziewczęta... lepiej nie mówić. Miękkie toto, rozlazłe, ciapowate. Rozleniwione.

Dzwonek. Z jękiem nieruchomieją na podłodze, przy drabinkach. Dziewięćdziesiąt skłonów to dla nich za dużo? Przechadza się między wykończonymi podopiecznymi. Też się odrobinę zadyszała pod sam koniec, ale daleko jej do stanu przyjemnego zmęczenia. Tymczasem uczennice przypominają zajeżdżone kobyły. Jej nozdrza zadrżały, gdy uderzył w nie delikatny zapach dziewczęcego potu.

— No, zmiatajcie pod prysznic, brudaski! — wypycha je z sali łagodnie acz stanowczo.

Co można zrobić z ładną salką, oczyszczoną z uczniów, ale pełną sprzętów gimnastycznych? Dosłownie wszystko. Można na przykład potrenować sobie szablą — na to mieszkanie Stanisławy jest za ciasne, a na Plantach wzbudzała zbyt duże zainteresowanie przechodniów. A zatem...

Zanurkowała do pakamery. W ciągu pięciu sekund zdarła z siebie dres i założyła suknię szytą wedle mody z ostatnich lat XVII wieku. Trudno o bardziej niepraktyczny strój do ćwiczeń, ale wybrała go celowo. Kto nauczy się walczyć w niewygodnym ubraniu, poradzi sobie bez trudu w każdym innym...

Przy kółku służącym do podciągania, zawiesiła solidną, dębową belkę na krótkim grubym łańcuchu. Rozhuśtała. Wyciągnięcie szabli z pochwy to tylko dwie dziesiąte sekundy. Zadaje pierwszy cios. Nie za mocno, żeby ostrze nie wbiło się zbyt głęboko. Szabla ma cztery stulecia, służyła jeszcze jej dziadkowi. Z zabytkami należy obchodzić się delikatnie. Cięcie z ramienia, zasłona, cięcie z półobrotu. Wyszła z wprawy. Najlepiej byłoby poćwiczyć z żywym przeciwnikiem... Tylko gdzie takiego szukać? Na przykład przy drzwiach.

Katarzyna Kruszevska siedzi sobie skromnie na brzeжку niskiej ławki gimnastycznej i ogląda popisy Stasi z lekkim uśmiechem.

— O — kuzynka opuszcza broń i rusza jej na powitanie. — Wydawało mi się, że zamknęłam drzwi...

Jak interpretować jej pytanie? Wygania? Nie, to tylko zdziwienie.

— Zamek yale — Katarzyna mruży oczy. — Szesnaście sekund dla początkującego złodziejaska, osiem dla doświadczonego. Nigdy nie zeszłam poniżej dziesięciu sekund, widać nie mam wystarczającego talentu... Sądziłam, szczerze mówiąc, że coś zjemy razem w stołówce, ale nie przysłaś...

— Nie po to żyję prawie połowę milenium, aby umrzeć na skutek salmonelli.

— Słusznie — przekrzywia głowę, — ale pocieszę cię, że karmią tu o niebo lepiej niż w szkołach państwowych.

— Po lekcjach, jak wrócimy do domu, zrobię taką golonkę w miodzie, że skonasz z zachwytu...

— Wieprzowina i miód? — na twarzy nauczycielki informatyki maluje się zdziwienie. — Nie wiedziałam, że te dwie potrawy do siebie pasują...

— Jeśli umie się odpowiednio doprawić. Zobaczysz, palce lizać. Wybacz, za dziesięć minut mam francuski, a jeszcze muszę szybko wziąć prysznic.

Przebiera się ponownie w dres. Już wystarczająco dużo o niej gadają. Gdyby pojawiła się na korytarzu w XVII-wiecznej sukni, plotkom nie byłoby końca. Pluska się szybko ale dokładnie. Dziwny, wibrujący dźwięk za grubym, betonowym murem. Cholera, dzwonek na lekcję... Wyciera się pospiesznie i ubiera tłumiąc narastającą panikę. Nauczyciel nie może się spóźniać. To hańba. A ona poczucie obowiązku ma silnie rozwinięte. Do przesady...

* * *

Cywilizacja białego człowieka wytworzyła szereg zdumiewających wynalazków. Jednym z najpożyteczniejszych jest książka telefoniczna. Trzeba tylko znaleźć choć jeden egzemplarz. Monika rusza Plantami. W dwudziestej z kolei odwiedzonej budce telefonicznej leżał obszarpany tom. Wypisała sobie adresy. Plan miasta kupiła w kiosku. Kosztował sporo, a ona musi oszczędzać. Zatem trzeba zrezygnować z jazdy autobusem. No to co? Przez ostatnie trzy miesiące przeszła pieszo ponad osiemset kilometrów po bałkańskich górach.

Buty ciut ją cisną, najchętniej by je zdjęła, ale Kraków to kulturalne miasto. Nikt nie chodzi na bosaka. No i klimat trochę nieodpowiedni...

Trzy prywatne szkoły. Pierwsza nie wygląda dobrze. Brudna elewacja, graffiti, to od razu wskazuje na totalny brak dyscypliny. Typowa „przechowalnia tobołków” stworzona dla rozwydrzonych durni, którym zdarzyło się mieć bogatych rodziców... Druga wygląda nieco lepiej. W środku trwa przerwa i uczniowie zabawiają się pluciem przez okno. Odpada. Trzecia. Elewacja dość dawno nie była odnawiana, ale w czasie wakacji wyszorowano ją starannie ryżowymi szczotkami i zmyto dużą ilością wody. Słońce przegląda się w wypucowanych szybach. Lekcje właśnie się skończyły. Z budynku wysypuje się stadko dziewcząt. Zaraz za nimi wychodzi nauczycielka. Ubrana skromnie, ale z wystudiowaną elegancją. Zabawne, ma na głowie dziwną fryzurę, upiętą kilkoma grubymi, drewnianymi szpilami.

Otacza ją wianuszek dziewczyn. Zadają jakieś pytania: ogania się od nich, bez złości, z uśmiechem. Najbardziej namolnym rzuca kilka zdań. Ze szkoły wychodzi druga kobieta, może nieco młodsza od pierwszej, z grubym jasnym warkoczem. Niesie kosz z wikliny, taki typu piknikowego. Solidnie naładowany. Razem idą w stronę przystanku. Monika odprowadza je spojrzeniem. Dziewczyny gonią za nauczycielkami znowu usiłując zagadywać. Pijane szczęściem, młodością, płoną radością spotkania...

Wybór dokonany. Teraz trzeba zaplanować strategię działania. Jak dostać się do środka? Atak frontalny z reguły jest najlepszy. A zatem naprzód.

* * *

Na peryferiach Krakowa, blisko pętli jednego z autobusów znajduje się rozległa łąka. W środe, gdy dzwonek szkolny obwieścił koniec pracy można urządzić sobie piknik. Kawalek turystycznej maty, kosz z pieczonym kurczakiem zawiniętym w srebrzystą folię aluminiową, butelka gruzińskiego wina ałazni, do tego placki mczdali z jedynej w Krakowie gruzińskiej restauracji. Oczywiście obrus, ukraiński, ręcznie haftowany krzyżykami. Dwie dziewczyny w jasnych, długich spódnicach i szerokich kapeluszach wyglądają jakby urwały się z planu filmowego.

— Właściwie to dlaczego nigdy nie wyszłaś za mąż? — zagaduje Katarzyna.

— Za pierwszym razem poszło mi trochę nie najlepiej — wspomnienie dokucza jak zadra. Były małżonek sprawiony jak świnia i gęsta kropla krwi spływająca po głównej szabli... — Potem miałam pewne plany, ale dwa razy ginęli podczas wojen...

— Trzy, no, liczymy dwie próby na czterysta lat to niewiele — mruczy.

— Trudno znaleźć kogoś odpowiedniego — wzrusza ramionami.

Łąka jest własnością pobliskiej stadniny koni. Zwierzęta przyprowadzono rano i przypaliko- wano aby się pasły. Stanisława zrecznie rozpala pod samowarem. Przypomina trochę te pierw- sze, z którymi zetknęła się w Petersburgu. Choć oczywiście jest o połowę młodszy. Jej dłoń trzymająca długą, kominkową zapalkę odbija się w wypolerowanym do przesady mosiężnym brzuścu.

— Wylali mnie z roboty — wzdycha Katarzyna. — To nam poważnie utrudni poszukiwania.

— Tylko utrudni?

— Mogę się zalogować od zewnątrz jako gość — wyjaśnia. — Zrobiłam sobie kilka fałszy- wych tożsamości. Ale systemy bazy nie mają połączenia z siecią...

— Rozumiem — kiwa głową Stanisława.

Nie rozumie. Cała ta informatyka wydaje się jej dziwna, niezrozumiała i niebezpieczna. Kupiła sobie wprawdzie potężny komputer, a nawet nauczyła się jak znaleźć w Internecie wiersze ulu- bionych etiopskich poetów, ale amharską czcionkę zainstalować musiała jej kuzynka..

— Trzeba się zastanowić co zrobimy jeśli alchemik nie żyje — Katarzyna obserwuje z zain- teresowaniem dymiący samowar.

— Możemy poszukać innego — Stanisława przeciąga się leniwie. — Albo odpuścić sobie i zrezygnować z dalszego przedłużania życia.

— Łatwo ci mówić... Pewnie jesteś już zmęczona...

— Ależ skąd — uśmiecha się.

Przez łąkę idzie jasnowłosy chłopak. Uczęszcza do gimnazjum, pracuje po lekcjach w stad- ninie, a w zamian za to może sobie jeździć na koniach. Przyszedł przepiąć te, które pasą się dalej na łące. Na widok dymiącego samowara i dwu młodych kobiet na pikniku przeciera ze zdumienia oczy. Ale zaraz rusza dalej.

Para w samowarze zaczęła śpiewać. Odrobina esencji z czajniczka, kranik, ukrop...

Katarzyna upija niewielki łyk herbaty.

— Co to za mieszanka? — pyta zaskoczona.

— Przywieźli mi z Mołdawii — wyjaśnia jej kuzynka. — Endemiczna odmiana, rośnie tyl- ko w kilku dolinach. Kiedyś była podawana na dworze sułtańskim, dziś jej spożycie radykalnie się zdemokratyzowało.

Gimnazjalista wraca do stadniny. Przechodząc ścieżką opodal popatrzył na nie raz jeszcze i cicho westchnął. Dziwne myśli zbudziły się w jego głowie. Tęsknota za epoką, której nigdy nie było mu dane doświadczyć. Tęsknota za czasami gdy taki styl ubierania się i sposób spędza- nia wolnego czasu nie były niczym nadzwyczajnym.

Przeprowadzone na nowe miejsce zwierzęta pasą się teraz znacznie bliżej, wiatr momentami niesie ich ciepły zapach.

Stasia wstaje i rusza w stronę najbliższego. Koń wyczuł w niej coś dziwnego, położył uszy po sobie, ale gdy położyła dłoń na ciepłym nosie klaczy ta uspokoiła się.

— Śliczna dziewczynka — mruczy nauczycielka gładząc aksamitne chrapy. — Zupełnie jak moja...

Wróciła do samowara. Zwierzę wyrwało słabo wbity palik i przyszło za nią. Poczęstowała je kawałkiem gruzińskiego placka i odgoniła jednym gestem szczupłej dłoni.

— Nie wiem, jak odszukać Sędziwoja — powiedziała do kuzynki. — Co więcej, nie mam pojęcia jak się do tego zabrać...

— Czy złoto robione kamieniem filozoficznym nie różni się niczym od normalnego?

— Nie, każdy jubiler je weźmie. Kiedyś poświęciłam dwa kryształki, zrobiłam pięć gram. Ocenili wtedy, że ma nietypowy skład, ale to tylko podnosi jego wartość.

— Jaki?

— Nie bardzo pamiętam... — pokręciła głową. — Dlaczego pytasz?

— CBS dostało informację, że w Krakowie oddział NBP kupił sztabkę złota, pozbawioną oznaczeń, a za to o nader interesującym składzie izotopowym..

— To znaczy? — zainteresowała się.

— Złoto zawiera zawsze domieszki innych pierwiastków, najczęściej w ilościach śladowych, ale dzięki temu można zidentyfikować złożę, z którego pochodzi kruszec...

— A zatem..?

— Sztabka, którą kupił bank lekko zapiszczała w bramce do wykrywania substancji promieniotwórczych. Zbadali ją dokładnie. Okazało się, że zawiera śladowe ilości polonu.

Stanisława gwizdnęła cicho przez zęby.

— Sprzedał ją w banku... Czy kamery przemysłowe wychwyciły jego obraz?

— Tak, ale nic nam to nie da... Zidentyfikowano sprzedawcę za pomocą bazy. Niestety, to tylko właściciel kantoru wymiany walut. Zeznał, że sztabkę sprzedał mu zarośnięty włóczęga. W kantorze nie było kamer. Natomiast miało to miejsce tutaj — w Krakowie.

— Ciekawe...

* * *

— Czym mogę służyć? — pyta dyrektor taksując wzrokiem dziewczynę, która weszła do jego gabinetu.

Zna z widzenia wszystkie swoje uczennice. Nie jest to żadna z nich. Złociste włosy, naturalny blond, jakiego dziś się już w zasadzie nie widuje... Duże, błękitne oczy, grube brwi. Jest bardzo ładna, choć dwie rzeczy trochę odbierają jej blasku. Na lewym policzku lekkie przebarwienie jak niewygojony do końca siniak i kilka czarnych pieprzyków. Koło prawego ucha zatarła przez czas blizna, chyba po jakimś wyjątkowo zjadliwym trądziku.

Wskazał jej gestem krzesło. Przysiadła skromnie na brzeżku.

— Chciałabym zapisać się do pańskiej szkoły.

Wyczuwalny obcy akcent... Mówi powoli, starannie dobierając polskie słowa.

— Mamy wolne miejsca — nie ma nic przeciw temu by mieć taką uczennicę. — Przyjdź z rodzicami.

— Będzie z tym pewien kłopot — uśmiecha się przepraszająco.

Umie świetnie grać. Gdy przedstawia swój problem, w sercu dyrektora rodzą się isticie ojcowskie uczucia...

* * *

Ta ruina wygląda najbardziej zachęcająco ze wszystkich dotąd odwiedzonych. Parterowy budynek straszy wyrwanymi oknami. Dach częściowo się zapadł. Drzwi od ulicy zabito deskami a zatem trzeba wskoczyć oknem...

Dawna apteka splajtowała dziesięć lat temu. Może nawet jeszcze dawniej. W głównym pomieszczeniu nie ma niczego ciekawego. W piwnicy walają się jakieś śmieci. Ale jest jeszcze strych. Wejść strach, przegniłe belki mogą runąć lada moment. Wszędzie poniewierają się przeterminowane lekarstwa. Oczywiście buszowali tu narkomani. Szukali morfiny, silnych środków psychotropowych, sterydów... Wątpliwe czy coś znaleźli, ale przewrócili wszystko do góry nogami. Biolog trzymając latarkę w zębach grzebie w stosach medykamentów. Wie czego szuka. Na samym dnie drewnianej skrzynki spoczywa tekturowe opakowanie z błękitną nalepką.

Nauczyciel odkłada latarkę i powoli liczy do dwudziestu. Musi uspokoić radosny dygot serca. Wyjmuje pudełko i otwiera. Wewnątrz sześć fiolek z grubego szkła. Aluminiowe korki są zamocowane na stałe, zawartość można wyciągnąć strzykawką przez grubą warstwę gumy. Oświeśla latarką zawartość buteleczek. W dwu ciecz zmętniała. W pozostałych jest krystalicznie przejrzysta. Wystarczy na sześć hodowli. Wprawdzie data przydatności do użycia upłynęła prawie dwadzieścia lat temu, ale on nie przejmuje się tym specjalnie. Jeśli się nie uda, poszuka następnych.

* * *

Czwartek, ósma rano. Uczennice jeszcze śpią. Jak je rozruszać? Najlepiej sprawdzając, co zapomniały przez wakacje.

— Wyciągajcie karteczki — polecenie jest krótkie i konkretne.

Jęk zgrozy... Odwraca się i osadza ich spojrzeniem.

— Napiszemy sobie sprawdzianik — mówi tak, jak należy przemawiać do koni — spokojnie, ale tonem wykluczającym wszelką dyskusję. — Miałyście całe dwa tygodnie na przypomnienie...

Grzebią się jak muchy w smole, liczą na cud i... czasem cuda się zdarzają.

Drzwi otwierają się z delikatnym skrzypnięciem zawiasów. Staje w nich dyrektor.

— Pani Stanisłavo?

— Czym mogę służyć? — nie lubi, gdy ktoś przeszkadza w prowadzeniu lekcji, ale stara się być uprzejma. Życie nauczyło ją, że to zazwyczaj popłaca.

— To pani nowa uczennica. Monika Stiepankovic. Z Kosowa.

— Usiądź na wolnym miejscu — Stanisława odruchowo przechodzi na serbski. — Oczy dyrektora robią się okrągłe jak spodki. — Znasz francuski?

— Qui madame — dziewczyna jest wyraźnie speszona.

— No to napiszesz sprawdzianik z resztą klasy.

Każdy kto obcuje z tą kobietą musi wiedzieć, że nie przejmuje się ona absolutnie niczym. Każdego rzuca od razu na głęboką wodę. Serbski jest językiem południowosłowiańskim. Niektóre słowa są podobne, innych można się domyślić z kontekstu. Jednak zdecydowanej większości nie sposób zrozumieć. Rozpaczliwy jęk wyrывa się z dwudziestu gardeł; nie znają serbskiego, ale od czego szósty zmysł? W sercu dyrektora coś drgnęło, ale szybko tłumi ludzkie odruchy. Szkoła jest po to żeby uczyć, a nie po to, by okazywać uczennicom litość...

Rozdała kartki z pytaniami. Każdy dostał inny zestaw, co skutecznie uniemożliwia ściąganie. Zresztą już nie próbują. Nie lubi takich numerów. Poznały ją od tej strony. Dwadzieścia głów pochyla się nad zadaniami. Któraś dziewczyna z jękiem prosi o słownik, ale Stanisława ucisza ją spojrzeniem. To naprawdę prościutki test.

Serbka pisze odpowiedzi szybko i bez wahania. Czyli musi nieźle władać mową Victora Hugo i Julesa Verne'a. Ciekawe jak jej pójdzie?

Nauczycielka obserwuje nową uczennicę. Jest bardzo ładna. Włosy barwy dojrzałego zboża, owalna twarz o wyraźnie zaznaczonych kościach policzkowych. Oczy ciemnoniebieskie. Istna księżniczka z bajki... Tylko dłonie noszą ślady wojennej poniewierki. Paznokcie obcięła bardzo krótko, zapewne miała połamane. Na lewym policzku czernieje kilka punkcików. Na pierwszy rzut oka wyglądają jak pieprzyki, ale dziewczyna jest leworęczna. Stanisława widywała już takie ślady. To niedopalone ziarenka prochu. Oprócz tego drobne przebarwienie. Czasem nie zaleczony siniak pozostaje na zawsze. To dziecko strzelało z karabinu snajperskiego, przykładając kolbę do policzka. Ciekawe.

Dziewczyna siedzi prosto, podczas gdy wszyscy pochylają się nad kartkami. Ma najbardziej prawidłową postawę w całej klasie. Ale jest w niej coś, co sprawia, że w umyśle nauczycielki zapalają się ostrzegawcze lampki. Coś jest nie tak. Do tej pory przeczucia nigdy jej nie myliły.

* * *

Logowanie się do sieci CBŚ z własnego domu nie jest najrozsądniejszym pomysłem. Może się zdarzyć, że po wejściu do systemu pod naszymi drzwiami pojawi się kilku ubranych na szaro typów. Co najmniej dwaj, tak na wszelki wypadek, uzbrojeni w pistolety maszynowe.

Jeden niosący gładkolufową strzelbę do rozwalania zamków... Ten czwarty, o błękitnych, nieruchomych oczach rzeźnika, będzie trzymał aktówkę z kajdankami i nakazem aresztowania in blanco.

Nie będą się bawili w pukanie. Od razu wywalą drzwi. Na ich widok należy podnieść natychmiast ręce do góry. Jeśli spóźnimy się o pół sekundy, naszpikują nas ołowiem. Cóż, nie potępiamy ich, robotę mają skrajnie nerwową... Skują nam ręce podwójnymi kajdankami, a na głowę naciągną worek. Wyprowadzą i wsadzą do furgonetki oznakowanej jako własność Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji. Co się stanie potem z pechowym hakerem, nie bardzo wiadomo. W każdym razie żaden nie wrócił, by o tym opowiedzieć. Lepiej nie ryzykować.

Dlatego Katarzyna loguje się z kafejki internetowej na odległym osiedlu Nowej Huty. Tu nikt jej nie zna, nikt nie zidentyfikuje, brak kamer ułatwia zadanie... Opuszki palców pociągnęła lakierem do paznokci, żeby nie zostawiać śladów daktyloskopijnych. To lepsza metoda niż smarowanie masłem.

Bazy danych zawierają blisko czterdzieści milionów nazwisk. Oczywiście jest przesadą twierdzenie, że CBS ma teczki na każdego obywatela naszego kraju. Dwadzieścia milionów fiszek to dane uzyskane z zagranicy drogą wymiany z policjami sąsiednich krajów.

— Mamy ją — Katarzyna informuje kuzynkę siedzącą na krzeselku obok. — Monika Stiepankovic, narodowość serbska, ostatnio zamieszkała w kosowskiej Dakovicy. Polski patrol uratował ją w ostatniej chwili z rąk Albańczyków. Żołnierze KFOR zabrali dziewczynę ze sobą do bazy, potrzymali miesiąc aż doszła do siebie i odesłali od Polski. Mieszka w domu dziecka.

— Sierota?

— Tak. Nie ma w Serbii żadnej rodziny. Uzyskała azyl.

— Kto jej funduje naukę w naszym liceum?

— Tego nie wiem. Brak danych — spogląda z troską na zegarek. — Wiejemy, już nas pewnie namierzili!

Zamyka system. Płacą i wychodzą z kafejki. Gdy stoją na przystanku, daleko rozlega się wycie syreny radiowozu. Ba, i to niejednego. W stronę lokalu pędzą co najmniej cztery. Tuż za nimi gna, piszcząc oponami, szara półciężarówka z oznaczeniami MPWiK. Ludzie oglądają się za nią zdziwieni. Furgonetka pogotowia wodociągowego nieczęsto rozwija taką szybkość. No i widziane to rzeczy, żeby fachowcy od pękniętych rur i ciekących uszczerek używali syreny jak policja?

— To wszystko na naszą cześć? — dziwi się Stanisława.

Kuzynka nie odpowiada. Piszze SMS-a do generała, niech odwoła alarm. To tylko ona narozrabiała w rządowej sieci...

* * *

Monika Stiepankovic przymyka oczy. Dokonuje przeglądu nauczycieli. W zasadzie wszyscy są zupełnie normalni. Z dwoma wyjątkami. A właściwie to jeden wyjątek, ale w dwóch osobach. Katarzyna i Stanisława. Nie wie jeszcze jakie noszą nazwiska, ale jej nie zmylą. Zbyt dużo radości w spojrzeniach, gdy spotykają się na korytarzu. A zatem są spokrewnione. Bardzo blisko spokrewnione i do tego zaprzyjaźnione. Jak siostry. Muszą też mieć podobne charaktery.

Teraz pora na analizę. Stanisława ma na prawej dłoni lekkie zgrubienie w miejscu, gdzie kciuk łączy się z pięścią. Rozwinęły się tam nadmiernie mięśnie odpowiedzialne za zaciśnięcie palców. Oczywiście raczej drobnej budowy nauczycielka nie uprawia boksu, za to bez trudu można ją sobie wyobrazić z szablą w dłoni. Nie używa zegarka na rękę tylko kieszonkowy. Widać przywykła. Gdy chce się czemuś dokładniej przyjrzeć, odruchowo unosi rękę do policzka.

Nosi gorset, to dzięki niemu trzyma się tak prosto. Jednocześnie nie sznurowuje go przesadnie mocno; lubi głęboko oddychać. Także jej stroje, choć eleganckie, w pierwszej kolejności muszą być wygodne...

Roztacza wokoło siebie aurę mimowolnego szacunku. Na jej widok wstają nawet dojrzałe kobiety. Ludzie dobrze wychowani mają odruch wstawania, gdy do pomieszczenia wchodzi ktoś stary... Tak okazują szacunek dla jego wieku. Jest to gest wspólny dla niemal całego kręgu cywilizacji łacińskiej...

A zatem szablą, kieszonkowy zegarek, gorset, a gest poprawiania okularów? Zoperowała sobie oczy, musiała być krótkowidzem. Czy wcześniej nie było jej stać na dobre okulary? Było. A zatem? Zatem nabawiła się tego zabawnego odruchu wcześniej, gdy używała monokla, albo, co bardziej prawdopodobne, lorgnon.

Zespół odruchów wykształcił się u pani nauczycielki bardzo dawno temu. Być może od tego czasu upłynęło nawet sto pięćdziesiąt lat? Jest bardzo gibka i szybka w ruchach. Ma kocią zwinność i niesamowity refleks. Błyskotliwa aż do przesady. Z takimi zdolnościami mogła przeżyć tak długo. I jeszcze jedno. Choć mówi po serbsku biegle, to jednak akcent ma strasznie archaiczny... A zatem uczyła się tego języka dawno temu. Jak dawno? Trzeba będzie sprawdzić... I jeszcze dwa pytania. Dlaczego wygląda na około dwadzieścia lat? Jej krzyżyk to, na oko sądząc, srebro. Jakim cudem nie wypalił jej w skórze dziury aż do kości?

* * *

Monika Stiepankovic przeżyła dzięki umiejętności bezbłędnego wyczuwania zagrożenia. Paskudne dzielnice jest w stanie rozpoznać natychmiast, na pierwszy rzut oka. Krakowski Kazimierz bardzo się przez ostatnie lata ucywilizował, ale jednocześnie pozostał niebezpieczny.

Nie dla niej. Idzie śmiało ulicą. Żule warujący w bramach cofają się w głąb. To menele z dziada pradziada. Instynkt zapisany głęboko w podświadomości nigdy ich nie zawodzi. Czują, że do ich spokojnej enklawy zawitało śmiertelne niebezpieczeństwo. Wiedzą, iż to złotowłose dziewczątka jest groźniejsze niż wataha rozwścieczonych policjantów przeczesaujących dom po domu. Gdyby zaatakowała — uciekną natychmiast. Ale ona ich nie zaczepia. Spaceruje podziwiając resztki hebrajskich liter na zniszczonych elewacjach.

Wreszcie kieruje się w stronę jednego z domów. Z bramy wychodzi Zenek, król tej parszywej dzielnicy.

— Pani wybaczy — odzywa się przepitym głosem. Boi się, ale czuje śladową odpowiedzialność za swoich kamratów. Musi się jej jakoś pozbyć. — Wolelibyśmy, żeby pani tu nie przychodziła...

Spojrzenie błękitnych oczu przenika go do głębi. Pali. Kryminalista ma pistolet, ale nie odważy się go użyć. Jeszcze parę minut temu sądził, że wystarczy ją przegonić. Teraz wie, że byłby to krok co najmniej nierozważny. Bandzior przeżył w życiu niejedno. Ma to i owo na sumieniu. Nauczył się bezbłędnie oceniać przeciwnika. Z daleka. Pomylił się. Czuł ssanie w dołku, ale myślał, że sobie poradzi. Nie sądził, że z bliska to wygląda tak groźnie. Słodkie dziewczę nic nie zrobiło. Jeszcze. Tylko patrzy. Instynkt wyje w nim niczym syrena. Szczecina porastająca jego łapy jeży się jak u dzikiego zwierza. Mógłby po prostu uciec, ale myśl o tym, by odwrócić się plecami do niebezpieczeństwa, zanadto go przeraża.

Kumple spoglądają z bram, ostrożnie, wyraźnie przestraszeni. Niektórzy mają broń, ale podświadomość mówi im, że to nie pomoże. Wpadli w pułapkę. Wszyscy. Jeśli zaczną strzelać będzie tylko gorzej. Dużo gorzej... Najstraszniejsze jest to, że nie rozumieją. W zasadzie czego tu się bać? To ciele wygląda na szesnaście lat. Teoretycznie można jej ukrećć głowę jednym ruchem. Teoretycznie.

Zenek milczy, ale czuje jak wszystko w nim zwija się w kłębek. Na podwładnych nie ma co liczyć. Jeśli dziewczyna zechce go wykończyć na ich oczach, żaden się nie ruszy. Jeśli ucieknie, będzie to koniec jego panowania. Wygonią go z dzielnicy... A zatem wariant „b”. Ostanía szansa. Sięga do kieszeni. Skóra na nim cierpie. Jeśli dziewczyna pomyśli, że ma tam broń, zabije go natychmiast.

— Mamy taką propozycję — wyciąga w jej stronę gruby plik stuzłotówek. — Gdyby mogła pani obiecać...

Monika uśmiecha się, a potem rozchyła usta i unosi lekko język. Bandyta w pośpiechu doклада drugi, identycznej grubości plik.

— Przyjmuję waszą propozycję — dziewczyna odzywa się spokojnie. — Więcej mnie tu nie zobaczycie...

Obojętnie pakuje pieniądze do torby. Odchodzi. Towarzyszą jej westchnienia ulgi. Część meneli żegna się zamasyście. Zenek ucieka w bramę. W półmroku siedzi stary żyd, jeden z ostatnich przedwojennych mieszkańców Kazimierza.

— Jak? — pyta beznamiętnie.

— Miałeś rację — mruczy król dzielnicy. — Kurde, tyle kapusty poszło...

Trzęsie się cały. Na szczęście tu nikt go nie widzi. Żyd też się trzęsie. Może z zimna, może ze starości, a może z tych samych powodów, co on.

— Ciesz się, że wzięła — słowa starca padają ciężko. — I ciesz się, że żyjesz... Pamiętam we wojnę jak taka jedna Salcie rozwalila jedenastu uzbrojonych SS-manów.

Wspomnienie. Widział to z daleka. Ale do końca życia zapamiętał. Ciosy zadawane z szybkością prawie niedostrzegalną dla oka. Nieludzka, potworna siła... Urywana głowa toczy się po bruku znacząc za sobą krwawy ślad. Dziewczyna biła z furii, łamała ręce, nogi, żebra. Wiedziała, że zginie, ale to tylko dodało jej sił. Była skuteczna i bezlitosna. Jak golem. Utlukła jedenastu, poraniła ze dwa razy tyle. Patrząc na nią czuł to samo, co przed chwilą... To samo skrajne, zwierzęce, przerażenie.

— Meszit — klnie w swoim języku.

Dawno już porzucił religię przodków. Ale teraz zaczyna odruchowo mamrotać stare hebrajskie modlitwy dla odegnania złego ducha...

* * *

Gdzieś niedaleko Monika wsiada do tramwaju. Maca przez płótno banknoty. Problem czesnego rozwiązał się niejako sam. Narodziły się inne. Oni wiedzą. Oni się boją. Człowiek, który bardzo się czegoś boi, może być nieobliczalny.

Uspokaja się powoli. Kraków ma ponad milion mieszkańców. Nie znajdują jej. Zresztą pewnie nie będą szukali. Są mocni tylko w swojej dzielnicy.

W końcu uśmiecha się lekko. Nie ma to jak zła sława. Należy podziękować wszystkim grafo-manom tworzącym literaturę brukową...

* * *

— Dbłość o wszechstronny rozwój fizyczny i umysłowy jest podstawową cechą istoty rozumnej — głos nauczycielki rozbrzmiewa w sali gimnastycznej.

Uczennice stoją i słuchają cierpliwie. Ich ulubiona pani profesor czasem wygłasza takie gadki. Należy potakiwać i po prostu przeczekać...

— Popatrzcie na siebie — jej głos pełen jest nagany. — Stado zapasionych gąsek. Garbicie się, krzywo stawiacie nogi, marnujecie dziewczęcy wdzięk... Spójrzcie na swoją koleżankę...

Nie musi mówić, na którą. Młoda Serbka stoi wyprostowana jak trzcina. Stopy ustawiła idealnie równo. Słuchając nauczycielki przechyliła lekko głowę. Jej postawa jest przy tym całkowicie naturalna. Jak zwykle. Workowate spodnie od dresu kryją nogi, założyła jednak koszulkę z krótkim rękawem. Jej ramiona są twarde, skóra spalona słońcem. Opaliła je znacznie bardziej niż twarz. Koło nadgarstka bieleje niewielka blizna.

Stanisława obrzuca uczennice spojrzeniem pełnym dezaprobaty.

— Dobra — mówi spokojnie. — Zaczynamy znowu od pompek.

Monika opiera dłonie na podłodze. Jej ręce wydają się cienkie i słabe, ale to tylko pozór. Odważnie staje w szranki.

Pozostałe dziewczęta nie ćwiczyły przez weekend, choć kazała im potrenować. Znowu połowa odpada przy piątej pompce. Dziesięć, dwanaście, i zostają dwie. Nauczycielka i Serbka. Trzydzieści, czterdzieści... Pięćdziesiąt... Po twarzy dziewczyny zaczynają spływać grube krople potu.

— Wystarczy — Stanisława wstaje z podłogi. — Nie będziemy tracić całej lekcji — też się zasapała. — Trzydzieści przysiadów. Migiem.

Chóralny jęk wystarczy za odpowiedź...

Długa przerwa trwa pół godziny. To wystarczy, by uczennice zjadły obiad. Bardzo dużo czasu na poćwiczenie ataku szablą. Stanisława trenuje ostro. Wokoło celu ustawiła skomplikowaną konstrukcję z ławek, krzeseł oraz ławeczek gimnastycznych. Skacze zręcznie po chwiejnych deskach. Ataki, zwody, zasłony... Batorówka dobrze leży w jej dłoni. Mimo chybotliwego podłoża Stanisława idealnie trzyma równowagę, nie musi patrzeć pod nogi, by bezbłędnie odnajdować punkty odbicia. Nieliczni fachowcy, którzy byliby w stanie docenić jej kunszt, z pewnością przetarliby oczy ze zdumienia. Wyszła trochę z wprawy, ale teraz powolutku ją odzyskuje. Węgierska klinga od blisko trzech stuleci nie piła ludzkiej krwi i pozostaje mieć nadzieję, że nadal tak będzie. Dębowa belka zdrowo ucierpiała. Jeszcze parę treningów i trzeba będzie wytrzasnąć skądś nowy pniaczek.

Brzęczyk budzika. Minęło piętnaście minut. Pozmiatać drzazgi, zmyć pot i zmęczenie. A zaraz potem trzeba gnać na lekcję... Szkoda. Demontuje szybko przeszkody. Belka i szabla zawinięte w suknię lądują w szafce. Klucz do kieszeni i biegiem pod prysznic. Nurkuje do przebieralni dziewcząt. Jeszcze jakieś trzy ostanie maruderki siedzą w kącie odpisując pracę domową. Wygania je i zamyka drzwi na zasuwkę.

W łaźni jest ciemno, przepaliła się ostatnia żarówka. Zna jednak układ pomieszczeń wystarczająco dobrze... Odrobina światła padająca z szatni wystarczy. Trzeba tylko zabezpieczyć drzwi, żeby się nie zatrzasnęły. Z ręcznikiem przewieszonym przez ramię zanurza się w wilgotny półmrok. W powietrzu wisi lepka para. Nie zdąży wysuszyć włosów, ale nie ma to większego znaczenia. Jest ciepło, wyschną jej.

Kręcąca w nosie woń kosmetyków, mokrego cementu, stęchlizny. Staje pod prysznicem i puszcza na siebie strumień lodowatej wody. Lekki dreszcz przebiega jej nagie plecy. Przypomniała sobie turecką łaźnię. Choć minęło tyle czasu, pamięta ciągle wzorzyste kafelki. Wtedy wydawała jej się bezpiecznym schronieniem, gdzie mogła wypłakać w ciemności swoje smutki. Czy naprawdę minęło prawie czterysta lat? Pamięć i wyobraźnia splatają się w jedno. Szmer wody i kapanie łez młodziutkiej niewolnicy...

Tego typu miejsca zdecydowanie źle jej się od tamtego czasu kojarzą, choć lubi moknąć pod prysznicem. Przemyka oczy. Czas zwolnił swój bieg. Niewyraźne cienie i wspomnienia... Stała pod strumykiem ciepłej wody, przykładając ostrą damasceńską stal do nadgarstka. Pamięta, jak narodziła się w niej wściekłość. Dorosła, w kilka minut z dziewczyny stała się kobietą. Kobieta z Kresów, szlachcianką. Dumną, twardą, wolną...

A potem... Spojrzenie pełne bezbrzeżnego zdumienia i krew plamiąca marmur, wypłukiwana przez wodę... Nie spodziewał się, tłusty bydlak. Nóż, który ukradła z myślą o sobie, pograżyła w sercu samego sułtana. Pierwsza śmierć, cios zadany w desperacji, z nienawiści. Nie spodziewał się, tylko dlatego zdołała tego dokonać... Potem dopiero nadszedł spokój.

Ucieczka... Szalona, niemożliwa, setki kilometrów przez wrogi kraj. Długi szlak gęsto naznaczony trupami siepaczy. Od tamtej pory wiele razy musiała wybierać między śmiercią swoją i innych. I zawsze podejmowała właściwą decyzję. Jest szlachcianką z Kresów. Biada temu, kto wejdzie jej w drogę.

Stoi pod prysznicem. Zbyt długie polewanie się zimną wodą osłabia ciało, ale hartuje ducha. Puszczą odrobinę ciepłej. Duch już się zahartował, teraz pora wzmocnić ciało. Strumyki wody ściekają po nagiej skórze. Tylko stary turecki sztylet w skórzanej pochwie zdobi jej twardą, opaloną tydkę. Życie nauczyło ją, że nawet w łaźni nie należy zapominać o bezpieczeństwie...

Szmer wody i naraz inny obcy dźwięk. Coś szumi w rurach. Czyżby któraś z uczennic jeszcze tu była? Niemożliwe. A jednak. Ciche klaskanie bosych stóp w kałużach wody. To nie uczennica. Porusza się zbyt szybko i zbyt dobrze odnajduje drogę w ciemności. Wyobrażenia podsuwa jej obraz tygrysa zręcznie przemykającego się w mroku. Cholera. Nie, to nie dziki kot. To człowiek. Sudański czarownik, animalista, obudził w sobie zwierzę. Przejął jego cechy, siłę i instynkty. Na dłoniach ma zapewne rękawice ze stalowymi szponami. To potworna broń, jeśli umie się nią posługiwać. Oni są w tym mistrzami.

Sztylet w garść. Może uda się im ją dopaść, ale ktoś za to zapłaci. Życiem. Skacze w ciemność. Klaskanie stóp coraz bliżej. Przyszli po nią... Czeką przyczajona za rogiem. Jeśli wyprują serię z kałasznikowa nie przeżyje, ale jest szansa, że chcą ją zarżnąć po cichutku. Zadaje cios. Na ślepo, ale czuje, że ktoś przed nią jest. Klinga krzesze iskrę o inne ostrze. Wróg blokuje sztych. Potworne szarpnięcie pozbawia ją broni. Nóż z brzękiem ląduje gdzieś na mokrym betonie. A zatem jest naga i bezbronna. Prawie bezbronna. Krok w tył. Ma przeciwnika tuż przed sobą. Dwie grube, drewniane szpile, zazwyczaj podtrzymujące jej kunsztowną chińską fryzurę, wbiła w kok. Sięga do nich błyskawicznie. Każda kryje wewnątrz cieniutkie ostrze z najlepszej stali narzędziowej. Ostre jak brzytwa. Trzymając je w dłoniach czeka na cios. Wzrokiem usiłuje przebić ciemność. Kto ją dopadł?

Idiotyzm, przeżyć czterysta lat i dać się zarżnąć w łaźnicy... Dawno temu obiecała sobie, że żywcem jej nie wezmą. Obiecała sobie, że ten, kto wreszcie zdoła ją pokonać, musi ponieść straty, które zatrują mu radość zwycięstwa. Czeką. Z oddali rozlega się klaskanie bosych stóp na kafelkach. Przeciwnik ucieka. Nie, nie ucieka. Odchodzi. W mroku łaźni nie czuje już niczy-

jej obecności. Przydałaby się latarka, ale nawet bez niej można spróbować odnaleźć nóż... Brzęknął gdzieś po lewej stronie. Szuka pod ścianą. Jest. Dobrze poczuć znowu w dłoni rękojeść... Gdzieś w dali trzaskają drzwi przebiegalni.

Na ostrzu wyczuwa palcem szczerbę głęboką na co najmniej trzy milimetry. A przecież to znakomita XVII-wieczna damasceńska stal... Z czego wykonano taką broń!? Przecież uderzyła w klingę, a nie w szlifierkę kątową...

* * *

Katarzyna Kruszewska siedzi za biurkiem. Uczniowie stukają w klawisze komputerów. Nowa uczennica także pracuje pilnie. Idzie jej znacznie wolniej niż pozostałym, prawdopodobnie dlatego, że ma problem z językiem. Mówi dobrze po polsku, ale jeszcze nie nabrała wystarczającej biegłości. Zna niektóre programy, lecz nowszych wersji nie opanowała. To i tak prawdziwy cud, w zniszczonym wojną kraju nie mogła mieć wielu możliwości trenowania... Czasem zaciną się. Gdy podnosi głowę, szukając wzrokiem pomocy, Katarzyna podchodzi do niej i cierpliwie pokazuje, co i jak... Wobec pozostałych uczennic nie bardzo potrafi zdobyć się na tyle wyrozumiałości. Może dlatego, iż młodziutkiej Serbce wystarczy pokazać raz, żeby zapamiętała, podczas gdy Polkom może tłumaczyć i po dziesięć razy i nie rozumieją...

Nauczycielka obserwuje klasę spod oka. Monika Stiepankovic ubrała się, jak zwykle, w dzinsy i płócienną, męską koszulę o wojskowym kroju, z kieszeniami. Jest wygodna, ale doskonale zaciera kształt jej sylwetki. Ubranie zupełnie do dziewczyny nie pasuje. Włosy związała kawałkiem rzemienia. Katarzyna usiłuje sobie wyobrazić ją w innym stroju. Błękitna sukienka podkreślająca złocisty kolor włosów, współgrająca z barwą oczu, do tego diadem na czole... Ta mała wygląda jak księżniczka z bajki. Musi się tylko inaczej ubrać. Pewnie nie ma pieniędzy. Można by jej coś kupić, tylko jak? Obrazi się...

Monika patrzy kątem oka na nauczycielkę. Katarzyna przypomina swoją kuzynkę. Bezbłędnie stosuje psychologię. Każdą uczennicę łapie inaczej. Wie, kiedy wystarczy tylko groźnie spojrzeć, a kiedy należy cisnąć kawałkiem kredy. Wie, co na kogo najlepiej działa. Panuje bez trudu, ale musiała się tego uczyć, podczas gdy Stanisława ma tę wiedzę wrodzoną. Obie nauczycielki są do siebie na swój sposób podobne, a jednocześnie bardzo się różnią. Lektorka wyraźnie nie pasuje do tej epoki. Informatyczka jest współczesna aż do bólu.

* * *

Pokój nauczycielski nie jest duży. Nie wolno w nim palić, za to zapach kawy wręcz wgrzył się w ściany. Meble są nowe i solidne, ale brakuje im czegoś nieuchwytnego. Choć przyjemnie na nie patrzeć, nie zachwycają...

— Sądysz, że to ona? — obcowanie z agentami CBŚ sprawiło, iż Katarzyna ma bardzo analityczne podejście do rzeczywistości.

— A kto inny? — choć upłynęła godzina, Stasia jest nadal ożywiona. Kop adrenaliny jak zwykle dobrze jej zrobił. — Chyba że przyjmujemy, iż któraś z tych wariatek nie odrobiła pracy domowej i postanowiła, w związku z tym, zlikwidować przyczynę swoich kłopotów, mordując ulubioną nauczycielkę...

— Bredzisz, moja droga...

— Wiem. Tylko ona... Wiesz, że umie zrobić pięćdziesiąt pompek?

— Jest takie rzymskie przysłowie, które mówi, że winny jest ten, kto odnosi korzyść...

— *Is fecit, cui prodest* — Stanisława usłudzenie przypomina.

Cóż, dorastała w epoce, gdy znajomość łaciny była nieomal powszechna... A ona zawsze dbała starannie o swoją edukację.

— No właśnie — jej kuzynka wraca do meritum. — Jaki miałyby cel? Przecież nie jest wariatką... Poznałabym, mieliśmy zajęcia z psychologii.

— Nasłali ją.

Oczy wzniesione do sufitu.

— Moja droga, masz ostrą paranoję. Przyjmijmy, że faktycznie pojawił się jakiś nowy Zakon Świętego Wyzwolenia, czy jak to się nazywało. Najpierw musieliby cię zlokalizować. A jak by już wysłedzili, gdzie się ukrywasz, to przecież nie przysłaliby pod prysznic serbskiej szesnastolatki z nożem, tylko stuknęli cię siekierą w głowę, gdy będziesz przechodzić przez bramę, albo rozjechali samochodem. A co jeszcze bardziej prawdopodobne, potraktowali gazem obezwładniającym i zawieźli do gustownie urządzonego laboratorium na wiwisekcję...

Stanisława uspokaja się. Stygnie. Adrenalina nie przeszkadza już jej myśleć.

— Więc kto mnie napadł?

— Ona. Ale pytanie postawiłaś zupełnie bez sensu.

— A jednak.

Katarzyna stuka kuzynkę po ramieniu.

— Skup się. Brałaś prysznic. Wszystkie dziewczyny już dawno się przebrały i poszły w cholerę. Tak przynajmniej myślałaś.

— No tak. Przecież nie będę gołym zadkiem świecić przy uczennicach...

— Trzeba było sobie wziąć kostium kąpielowy. Zdaje się, że twoje podopieczne ich używają. Czasem warto podpatrzeć coś u następnych pokoleń...

— Może i tak... — Stanisława dochodzi do wniosku, że to rzeczywiście dobry pomysł.

Dlaczego sama na to nie wpadła?

— A więc siedzisz po ciemku i płuczesz się pod strumieniem wody. Wtedy do prysznicowni wchodzi Monika. Widać też nie lubi świecić gołym zadkiem, może po prostu nie ma kostiumu? A więc poczekała, aż reszta sobie pójdzie. Wpadacie na siebie po ciemku. Ty łapiesz nóż, ona łapie nóż. Cud prawdziwy, że się nie pozarzynałyście...

— Khm... więc dla ciebie normalne jest, że szesnastoletnie dziewczątka idzie pod prysznic z majchrem w zębach?

— Nie chcę pokazywać palcem dwudziestoparoletniej nauczycielki, która pluska się nago. O, przepraszam, nie nago, pochwa noża przywiązana do łydki to przecież element stroju...

— Ja to ja — zduszone parsknięcie. — Życie nauczyło.

— Wiem — Katarzyna muska warkocz, w którego splotach tkwi dwudziestocentymetrowe ostrze. — Mamy swoje narowy. Ty żyjesz długo i zrobiłaś się przesadnie ostrożna, ja miałam ciekawą pracę, w której przeszłam, nazwijmy to, kurs BHP. A nasza droga Monika miała pecha mieszkać w Kosowie. Gdybyś nie wiedziała, to takie miejsce, gdzie najpierw Serbowie rżnęli Albańczyków, a potem karta się odwróciła i sami zostali wyrżnięci. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby to dziecko chodziło siusiu z automatem konstrukcji inżyniera Kałasznikowa przerzuconym przez ramię... Fakty zaś są takie, że próbowałaś potraktować nożem uczennicę i szczęśliwym zbiegiem okoliczności ci się nie udało... Prasa brukowa posikałaby się ze szczęścia. Naga nauczycielka szlachtuje w szkolnej łazience nagą szesnastolatkę... Z tego byś się nie wywinęła, moja droga.

Stanisława przygryza wargi. Kuzynka trafiła w sedno.

* * *

Kolejna lekcja, język polski. Nauczyciel jest młodym entuzjastą prosto po studiach. Monika usiadła w trzeciej ławce, ale wypatrzył ją od razu.

— Przerabiamy literaturę starożytnej Grecji — zwrócił się do niej. — Wiesz coś na ten temat?

Przerabiali? Ciekawe na co?!

— Sporo czytałam — uśmiecha się skromnie.

Jednocześnie poczuła lekki przypływ paniki. Są dzieła, do których nie zajrzała od tysiąca lat, zapomniała ich treści, jeśli wyrwie ją do odpowiedzi, leży... Drgnął słysząc dziwny akcent, widać nikt go nie uprzedził, że będzie uczył cudzoziemkę.

— Omawialiśmy do tej pory „Iliadę” i „Odyseję”. Znasz te utwory?

— Tak.

Odetchnęła z ulgą.

— Czy możesz nam powiedzieć, jak zaczyna się „Iliada”?

— *Menin aeide, thea, Peleiadeó Ahileos*

oulomenen, e muri Ahaiois algę etheke,

pollas d' ifthimouspsuhas Aidiproiapsen

erdon, autous de 'eloria teuhe kunessin... — zaczęła deklamować po grecku.

Chyba nie do końca o to chodziło. Następne pół godziny spędziła dość miło. Nauczyciel odpytał dwie uczennice, potem podyktował temat lekcji i zaczął omawiać teatr grecki. Słuchała go, jednym uchem śledząc tekst wywodu, tymczasem w zadumie kartkując podręcznik. Pisał go jakiś idiota. Jasne, że program liceum nie może obejmować wszystkiego, ale braki są ewident-

ne. O starożytnej literaturze greckiej jest obszerny rozdział, o rzymskiej w zasadzie tylko napomknięto. Literatura etruska to dla autora terra incognita — choć trochę utworów znanych jest z omówień łacińskich. O Aleksandrii wiedział tyle, że była tam biblioteka, a gdzie literatura ptolemejskiego i rzymskiego Egiptu?! Ten pismak nie zdaje sobie najwyraźniej sprawy z tego, że po upadku Rzymu w Bizancjum jeszcze przez tysiąc lat kontynuowano chlubne tradycje literackie cesarstwa! Hmmm, a może tu podział dziejów jest inny?

Przewraca kilkanaście kartek docierając do średniowiecza. Jej podejrzenia potwierdzają się. Bizancjum nadal nie ma, o wspaniałym rozkwicie w tym okresie klasycznej literatury ormiańskiej i gruzińskiej najwyraźniej nikt tu nie słyszał, co więcej, brakuje też całych ogromnych działów spuścizny zachodu. O sagach norweskich i islandzkich króciutka wzmianka, poezje tworzone przez hanzeatyckich kupców w ogóle pominięto...

Lekcja dobiegła końca. Nauczyciel zadał do domu przeczytanie wierszy Safo, nazywanej tu Safoną. Przejrzała je już w podręczniku. Z dorobku tej psychopatycznej lesbijki trudno wybrać coś neutralnego — ale autor dołożył starań...

Imię poetki obudziło w Monice wspomnienia. Rok 1073, brukowany plac, wielki stos płonących ksiąg i zwojów papirusu. Na rozkaz papieża Grzegorza VII ogień trawi najbardziej zbieralne dzieła pisarzy antycznych...

* * *

Monika Stiepankovic lubi zwiedzać nieznane miasta. W Krakowie jest pierwszy raz w życiu. W domu dziecka nie sposób wysiedzieć, nie ma tam z kim pogadać. Zupełnie nie ma. A zatem ulgowy bilet dzienny za cztery i pół złotego i do autobusu. Centrum Krakowa wydaje jej się bardzo ciekawe, Kazimierz odpada — dziewczyna dotrzyma układu. Zwiedzanie zaczyna od peryferii. Dotarcie do pętli na osiedlu Złocień zajmuje jej blisko czterdzieści minut. Wsiada i rozgląda się ciekawie.

Autobus będzie tu stał przez piętnaście minut, ale nie musi się spieszyć, jeśli coś ją zainteresuje. Następny jest za godzinę. Okolica jest, jej zdaniem, zdecydowanie za bardzo cywilizowana. Kominy elektrociepłowni, nowoczesne, dość brzydkie osiedle... Ale jest coś jeszcze: rozległa łąka, na której pasą się konie. Z daleka czuje ich ciepły zapach. Gdzieś wewnątrz narasta tęsknota. Nawet nie wiedziała, że w tym mieście są tak zaciszne miejsca. Pora zmykać, ale z pewnością jeszcze tu wpadnie. Jakiegoś innego dnia. Może jutro? Właśnie, trzeba jakoś załagodzić sprawę potyczki pod prysznicem...

Wraca tym samym autobusem. Przycupnęła skromnie na brzegu siedzenia, na samym przdzie. Jest jedyną pasażerką. Kierowca, starszy, siwy mężczyzna, spogląda na nią życzliwie. Nieczęsto widuje się tak ładne i sympatyczne dziewczęta.

— Głupio się ubrałaś — mówi. — Gdybyś założyła błękitną sukienkę, wyglądałabyś jak księżniczka z bajki...

Dziewczyna uśmiecha się do niego i zarazem do swoich myśli. Kto powiedział, że nie jest księżniczką?

* * *

Za piętnaście ósma. Do szkoły docierają pierwsze uczennice. Dyrektor wyszedł przed budynek i gospodarskim okiem patrzy na zdążającą do krynicy wiedzy trzódkę. Od strony dworca PKS-u nadchodzą dwie nowe nauczycielki. Włoką torbę wypchaną czymś miękkim. Pewnie znowu od ukraińskich przemytników kupiły jakieś towary. Może ręcznie haftowany obrus? Dyrektor oblizuje się w duchu na wspomnienie tego gruzińskiego wina, które pili na rozpoczęcie roku szkolnego...

W sumie to, mimo wcześniejszych uprzedzeń, polubił obie. Stanisława sprawiała wrażenie nieco roztrzepanej, ale jej wyniki dydaktyczne wywarły na nim i na rodzicach uczniów piorunujące wrażenie. Ona faktycznie umie i lubi uczyć. Ma dość silną osobowość, lecz nie popada w sadyzm. Jest sprawiedliwa i surowa, ale jeśli trzeba, potrafi okazać litość, dobroć, wsparcie. Dziś takich pedagogów już nie ma... Sądząc po śladach w literaturze, wymarli w latach międzywojennych.

Jej kuzynka, że też muszą być spokrewnione, to również niezłe ziółko. W zasadzie to zaszantażowała go, żeby załapać się na posadę, ale szybko z ulgą odkrył, że i ona posiada zalety, jakie nieczęsto spotyka się u nauczycielek... To, co robi z komputerami nie mieści mu się w głowie. Szkolny telewizor też bez trudu naprawiła, nawet kontakty umie zreperować. To prawdziwy skarb. Nikomu tych dziewczyn nie odda. Nawet jeśli będzie musiał przyznać im podwyżkę... Cholera, dlaczego samorodne talenty pedagogiczne są tak pierońsko rzadkie?

Mijając go wymieniają pozdrowienia. Są tak cudownie radosne, aż wzdycha z zazdrości. Spogląda na zegarek. Dwanaście minut do ósmej... Jest poważnym menedżerem i musi się prezentować odpowiednio do zajmowanej funkcji. Precyzyjny ukraiński chronometr załatwiła mu Stanisława. Wygląda jak prawdziwy rolex z limitowanej serii, obudowa przypomina kolorem tytan, ale kosztował tylko 12 złotych. I na razie chodzi bez najmniejszej awarii. Tylko baterię trzeba było wymienić. Ukraińcy nie potrafią ich jeszcze dobrze podrabiać.

Z kieszonki garnituru wystaje mu główka wiecznego pióra waterman. Złocenia w kształcie listków koniczyny trochę się wytarły, ale obiecała, że załatwi mu następne, jak tylko dowiozą nową partię. Boli go tylko, że wszyscy nauczyciele mają identyczne. Ech, trudno żeby było inaczej, puszczała je po sześć złotych za sztukę...

Uczniowie nadchodzą przeważnie grupkami. Z daleka widać błysk światła. Jednak to nie słońce odbite w szybie, tylko fryzura złotowłosej Serbki spieszącej do szkoły. Biedna sierotka, na szczęście jakoś się zaaklimatyzowała. Szlifuje język, dużo czyta, poradzi sobie... Może nawet załapie się do grupy czterech najlepszych w szkole — zwolnionych z opłaty czesnego? Pewnie nie ma zbyt dużo pieniędzy...

* * *

Delikatne pukanie do drzwi klasy. Stanisława kończy wieszając mapę, kto to może być? Uczniowie wiedzą, że i tak przed dzwonkiem nie wpuści ich do środka... Dyrektor by nie zapukał. On jest tu gospodarzem, wchodzi bez ostrzeżenia i wszędzie jest go pełno.

— Proszę.

Monika.

— Można na chwilę? — obcy akcent w jej głosie jest bardzo wyraźny.

— Wejdź, proszę — przestawienie się na serbski to kwestia jednej sekundy. — W czym mogę ci pomóc?

Dziewczyna starannie zamyka za sobą drzwi. Ups. Wpadła dokończyć nieudaną próbę zabójstwa?

— Chciałam panią przeprosić — spuszcza swoje błękitne oczy.

— Za co?

— To ja wczoraj pod prysznicem... Myślałam, że nikogo nie ma i jakoś tak wyszło — rumieni się. — Przeraziłam się...

— W zasadzie to ja powinnam przeprosić ciebie — wzdycha nauczycielka. — Ale też się przestraszyłam. Zawsze idziesz się kąpać z nożem w zębach?

Kiwnięcie głową. Nerwowe, wstydliwe.

— Poczekalam trochę, nie chciałam się rozbierać przy wszystkich... — wyjaśnienie jest przekonywujące.

Mówi prawdę.

— Rozumiem. Ale nie masz się czego wstydzić, tu jest to w miarę normalne. Przecież nie musisz wchodzić pod prysznic nago... Jeśli nie masz kostiumu...

W oczach dziewczyny pojawiają się figlarne błyski.

— Mam kostium — kłamie. — Ale tego nie zasłoni...

Szybko rozpiną bluzkę i odsłania dekolte. Drobne ale ładne dziewczęce piersi, ukryte w grubym, bawełnianym staniku. Jest chuda, obojczyki wyraźnie się rysują. Poniżej, tuż nad biustem, wytatuowany zielonkawym tuszem bałkański herb i kawałek litanii głągolicą. Na złotym łańcuszku wisi mały złoty medalik...

— Hmmm. Faktycznie — kiwa głową Stanisława. — Rozumiem.

* * *

Księżniczka Monika obserwuje klasę spod oka. Dziewczyny nie wydają się jej szczególnie inteligentne. Konformistki, uczą się tematu na pamięć tak, aby ich wypowiedzi zadowalały nauczycieli. Ciekawe jak u nich z rozumieniem treści... Geografia upływa powoli. Dzisiejsza lekcja porusza temat ruchów planet, tu księżniczka ma pewne luki, więc słucha z zainteresowaniem...

Chemia też jest ciekawa. Nauczycielka, dla przybliżenia uczniom pewnych zagadnień, co czwartą lekcję poświęca na przedstawienie dziejów tej nauki. Monika ucieszyła się, interesuje ją problem promieniotwórczości, chciałaby się czegoś dowiedzieć o Marii Skłodowskiej-Curie, a przecież tu, u samego źródła... A figę. Dziś profesorka postanowiła opowiedzieć dzieciom o zamierzchłej przeszłości i o początkach nowożytnej chemii...

— Na początek drobny eksperyment — uśmiechnęła się do uczennic. — Alchemicy w swoich oszukańczych praktykach często pokazywali dwa rodzaje sztuczek. Zaprezentuję je wam.

Do niedużego, szklanego naczynia nalała cieczy z butelki. Następnie wzięła do ręki stalowy pręt.

— Płyn zamieniający pospolity metal w złoto — wyjaśniła. — No to do dzieła...

Zanurzyła drut i zaczęła nim delikatnie mieszać ciecz. Gdy go wyjęła, koniec na przestrzeni około pięciu centymetrów lśnił żółtą barwą. Pani profesor, widząc zdumione miny dziewcząt, uśmiechnęła się lekko.

— Czy któraś z was ma pomysł, jak tego dokonałam?

Monika uniosła dłoń do góry.

— Słucham.

— Sądzę, że końcówka drutu została pokryta złotem — miała problem z doborem odpowiednich słów, — potem złoto zaciągnęła pani rtęcią, aby kolorem przypomniało resztę pręta. W naczyniu musiał być bardzo silny kwas. Rtęć rozpuściła się, odsłaniając kruszec.

— Ocena celująca — nauczycielka otworzyła dziennik.

Celująca? Aha, szóstka, u nich najwyższy stopień. Monika uśmiechnęła się zadowolona. Oceny w zasadzie nie mają dla niej żadnego znaczenia, ale jednak przyjemnie je dostawać.

— Robili to także w inny sposób — powiedziała chemiczka. — Bili monetę ze złota, ale na wzór istniejącej. Następnie bielili obie strony rtęcią, aby udawała zwyczajny talar. I znowu mocnym kwasem usuwali warstwę wierzchnią, odsłaniając kruszec. Doświadczenie drugie trochę brzydko pachnie, ale też jest ciekawe... Bierzymy kamień filozoficzny... — z fiolki nabrała łyżeczkę czerwonych kryształków. — Rozpuszczamy je w alkaheście — tak alchemicy nazywali uniwersalny rozpuszczalnik...

Dolała ze słoja upiornie cuchnącej cieczy i zaraz włączyła wyciąg. Wymieszała, aby jedno i drugie dobrze się rozpuściło.

— Teraz do tak przygotowanego roztworu wkładamy stalowy przedmiot.

Wzięła klucz od pracowni, przetała szybko wacikiem namoczonym w kwasie solnym. Wrzuciła do naczynia i odstawiła na parapet na zewnątrz okna.

— Na poprzedniej lekcji omawialiśmy pradzieje chemii, dziś sięgnijmy do czasów nieco bardziej nam współczesnych. Mamy więc początek XVII wieku, w księstwie Wirtembergii rządzi książę Fryderyk, typ bardzo ambitny i świetnie, jak na te czasy, wykształcony. Z przekazów

wiemy, że pasjonował się geologią, kartografią, biologią, był bardzo czytany. Pech chciał, że jego umysł zboczył ku manowcom hermetyzmu, jak wtedy nazywano alchemię. W Gross-Sachsenheim kazał zbudować całe miasteczko, do którego ściągnął alchemików i laborantów z połowy Europy, zapewnił im świetne warunki pracy, a w zamian chciał tylko jednego: wydarcia przyrodzie tajemnicy kamienia filozoficznego, który miał uczynić z niego najbogatszego władcę świata.

— Ambitny typek — zauważyła któraś z uczennic.

Nauczycielka przez kilka chwil musiała tłumić wybuch wesołości, po czym wróciła do przerwane go wykładu.

— Książę nie liczył się z kosztami, ale swoim podopiecznym patrzył uważnie na ręce i liczył z postępów prac. Tych, którzy zostali zdemaskowani jako oszuści, pakował bez litości do więzienia. Aż przybył na jego dwór wielki spryciarz, Grzegorz Honauer. Ten szczywany typek zaproponował władcy naprawdę wielki biznes, ni mniej ni więcej tylko zamianę w złoto dwudziestu pięciu cetnarów żelaza

— Ile to jest cetnar? — zapytała któraś z uczennic.

Nauczycielka na chwilę się zacięła.

— Cetnar pruski to było jakieś pięćdziesiąt kilo — wyjaśniła Monika. Dobrze, że powtórzyła polskie liczebniki. — W Saksonii mieli oczywiście własne miary, ale zapewne dość zbliżone.

Dostała plusa za aktywność na lekcji. Będzie musiała dopytać potem koleżanki, co to takiego ten plus.

— A więc książę, na wspomnianej transakcji zdobyłby jakieś półtorej tony czystego złota — chemiczka podjęła przerwany wątek. — Honauer musiał jednak udowodnić, że faktycznie potrafi dokonać transmutacji. Nie było to szczególnie trudne. Kazał naszykować wielki kocioł. Naczynie wypełniono metalami nieszlachetnymi, głównie ołowiem, rozpalono mocny ogień. Następnie alchemik rzucił na wierzch szczyptę tajemniczego proszku, a potem opuszczono pracownię zamykając i pieczętując drzwi. Po upływie doby zerwano pieczęcie, a na dnie kotła znaleziono warstwę złota i to bardzo wysokiej próby.

— Jak to zrobił? — zapytała Gosia, miła brunetka o włosach poskręcanych w sprężynki.

— To bardzo proste. Honauer zostawił w pracowni chłopca ukrytego w stojącej pod ścianą skrzyni. Gdy wszyscy wyszli, ten opróżnił kocioł, dodał do środka złota i ukrył się ponownie. W każdym razie, władca ucieszony, że wreszcie natrafił na prawdziwego alchemika, zaczął molestować swojego gościa, aby ten brał się do roboty z żelazem... Honauer wykręcał się jak tylko mógł i wreszcie, widząc iż cierpliwość księcia zaczyna się wyczerpywać, zwiął zabierając ze sobą kumpla po fachu, któremu też groziło rychłe zdemaskowanie. Kierunek obrali dość pechowy, bowiem dotarli na dwór hrabiego Zygryda von Schamburga w Oldenburgu. Hrabia, wielki pasjonat alchemii, utrzymywał u sąsiada własną siatkę wywiadowczą, dzięki czemu doszły go wieści o umiejętnościach zbiega. Nakazał go uwięzić oraz poddać torturom, aby wyjawiał sekret produkcji tynktury... Jednak Fryderyk, który także miał u sąsiada siatkę szpiegów, dowiedział się o tym i zażądał wydania uciekinierów. Hrabia nie miał wyjścia...

— Czyli wszystko skończyło się dobrze — westchnęła jedna z dziewcząt siedząca pod oknem.
— Poniekąd... Książę kazał ze zgromadzonego żelaza odlać szubienicę i powiesił na niej Honauera. W ciągu następnych kilku dziesięcioleci zginęło na niej jeszcze kilku innych alchemików...

Za parę minut dzwonek. Nauczycielka zdjęła z parapetu naczynie i wyjęła z niego klucz. Ciecz odparowała bez śladu, a stal zaczęła lśnić piękną, złotą barwą.

— Czy któraś z was może mi powiedzieć jak to zrobiłam? — zapytała, patrząc na podopieczne z uśmiechem wyższości.

Nie odezwały się. Wreszcie Monika podniosła rękę.

— Proszę.

— To nie było powleczenie galwaniczne — w czasie wykładu sprawdzała w podręczniku potrzebne słownictwo, więc dość płynnie udało jej się wypowiedzieć. — Ten czerwony proszek był chyba azotanem lub chlorkiem złota. Rozpuściła go pani w czymś bardzo lotnym, sądząc po zapachu, to był eter lekarski. Zaszła reakcja rozkładu, chlor i eter ulotniły się, a metaliczne złoto osadziło cieniutką warstwą na stali.

Druga szóstka. Całkiem nieźle jak na pierwszą lekcję. Jeszcze parę dni i może nawet zostanie pupilką pani profesor...

* * *

Pracownia fizyczno-chemiczna to sympatyczne miejsce. W oszklonych szafach drzemią rozmaite aparaty. Ceramiczne płyty, palniki, odczynniki... W powietrzu czuć leciutki swąd po porannych doświadczeniach. Licznik Geigera na stole.

— A zatem do dzieła — mruknęła Stanisława.

— Robiłaś to już kiedyś? — Katarzyna była trochę sceptyczna. — Rozumiem, że kamień filozoficzny, ale transmutacja metali kłóci się z podstawowymi prawami fizyki...

Kuzynka spojrzała na nią pobłaźliwie. W takich momentach Katarzyna czuła wyraźnie dzielącą je przepaść czasu.

— Moja droga, widzisz na moim przykładzie skutki działania tej substancji, a nie wierzysz w rzecz tak banalną jak zrobienie złota z ołowiu?

— Dobra, no to do dzieła... — powiedziała nieco nerwowo.

Miały naszykowany mały, metalowy tygiel oraz szczypce. Właściwie nie było potrzeba nic więcej... Stanisława zdjęła z szyi srebrny krzyżyk wiszący na solidnym, stalowym łańcuszku. Jedno z ramion dało się wykręcić. W wydrążonym wnętrzu spoczywało kilkanaście czerwonych kryształków. Wyłowiła pęsetą jeden z nich. Starannie zakręciła skrytkę i powiesiła krzyżyk na szyi.

— To wystarczy? — jej kuzynka nadal miała wątpliwości.

— Jeden gram kamienia filozoficznego uszlachetnia tysiąc części metalu — wyjaśniła z roztargnieniem. — Można oczywiście wrzucić więcej ołowiu, ale wtedy złoto wyjdzie zanieczyszczone...

— A można na przykład z miedzi? — zainteresowała się Katarzyna.

Do tygielka wrzuciła pięć gramów ołowiu.

— Można dowolny metal, ale najlepszą wydajność uzyskuje się, gdy przemianie poddajemy ołów. Żelazo i nikiel stawiają poważny opór, potrzeba więcej tynktury... Proporcje wynoszą wówczas mniej więcej jeden do stu pięćdziesięciu. Stopiło się?

— Tak — Katarzyna poruszyła naczyniem. Na jego dnie przetaczała się gruba kropla srebrzystego metalu.

— No to patrz — Stasia upuściła na gorącą powierzchnię kryształek. — Teraz trochę pomieszaj. Musi się dobrze rozprowadzić.

Katarzyna, nadal trzymając tygiel szczypcami nad palnikiem, wprowadziła go w delikatny ruch wirowy.

Barwa srebra przygasła, pojawiły się czerwone nitki, a potem metal zaczął żółknąć aż zrobił się złocisty.

— Jeszcze chwilę — poleciła kuzynka marszcząc nos. — Dobrze, wystarczy.

Zanurzyły pojemnik w wodzie i po chwili wyjęły ze środka grudkę złota.

— Istne czary...

— W pewnym sensie masz rację...

Na stół rzuciła złotą carską pięciorubłówkę. Car Mikołaj II spoglądał spokojnie w świetlaną przyszłość. Obok spoczęła grudka sztucznego złota. Teraz licznik Geigera...

— Żadnych anomalii — mruknęła Katarzyna mierząc promieniowanie „świnki”. — Zobaczmy jak to... Jest odchylenie.

— Zrobiłyśmy radioaktywne złoto?

— Nie przesadzajmy z tą radioaktywnością... Raptem półtorej wartości tła...

— Nic mi to nie mówi...

— Tło to normalne promieniowanie, które nas otacza. Biegnie z wnętrza ziemi od strony gruntu, spada nam na głowę z kosmosu. Jego wartość określa się na jeden. Jest nieszkodliwe. Granit ma mniej więcej trzy.

— Czyli nasze złoto...

— Niebezpieczne nie jest, ale różni się. Ma pewnie śladową domieszkę jakiegoś izotopu. Kurczę, twój kamień filozoficzny działa zapewne tak, że wybija z jąder ołowiu pewną liczbę protonów... Ołów w układzie okresowym pierwiastków ma liczbę 82, a złoto 79... Czyli uwalniają się trzy... A więc produktem odpadowym będą jądra helu albo jądra wodoru. A może jądra litu? Hm..

— To dla mnie za mądre — westchnęła jej kuzynka.

— Ale dobrze, że możemy odróżniać... Teraz trzeba wymyślić, jak to wykorzystać do namierzenia Sędziwoja.

— Porozmawiajmy o nim — prosi Katarzyna. — Muszę zbudować portret psychologiczny. To może pomóc w jego odnalezieniu.

— Sporo już wiesz.

— Owszem — rzuca okiem do notatek, — ale ciągle są luki. Na przykład jaki był, jak traktował przyjaciół, czy miał jakichś przyjaciół?

Stanisława przymyka oczy.

— Dla przyjaciół gotów był zrobić wszystko — mówi wreszcie. — Pamiętam jak dziś sprawę Setona...

— Kim był Seton?

— Aleksander Setonius, mieliśmy modę na używanie nazwisk, którym dla lepszego brzmienia nadawano łacińskie końcówki... Ponoć mieszkał w Walii, w niewielkim majątku nad brzegiem morza. Pewnego dnia sztorm rzucił holenderski okręt na skały opodal jego domu. Seton pośpieszył na ratunek rozbitkom, sprowadził swoją służbę i zabezpieczył towary, uratował też kupca będącego właścicielem statku. Ten z wdzięczności zaprosił go do siebie do Holandii. Seton raz wprowadzony na salony zaczął dokazywać. Pokazał ludziom kilkanaście eksperymentów alchemicznych. Z reguły wybierał największych niedowiarków i demonstrował im transmutację metali. Musiał się przy tym świetnie bawić, wręczał im na pamiątkę kawałki wyprodukowanego złota. Z Sędziwojem spotykali się kilka razy. Raz pewnie w Niderlandach — odruchowo używa dawnej nazwy. — Potem w Czechach, na dworze cesarza Rudolfa II.

— O nim słyszałam — uśmiecha się Katarzyna. — Był, zdaje się, wielkim przyjacielem waszej nauki

— O tak. Choć parę razy dał się naciąć różnym oszustom. Sędziwój z Setonem pokazali mu transmutację metali i pewnie także inne doświadczenia. Cesarz był pod wrażeniem. Wreszcie Setonowi powinęła się noga i to bardzo paskudnie. Wybrał się do Drezna na dwór Chrystiana II, elektora saksońskiego... Był to władca młody i dość zapalczywy. Jego dziadek, książę August, do spółki z synem przetracili fortuny na utrzymywanie przy dworze całego stada alchemicznych wydrwigroszów. Chrystian II, objąwszy tron, pogonił całą tę hołotę, a alchemią jawnie gardził... Pech chciał, że Seton lubił się popisywać. Przybył więc do Drezna i zademonstrował niedowiarkowi transmutację...

— I jak się to spodobało Chrystianowi?

— Niestety aż za bardzo. Z miejsca uwierzył w ignorowaną dotąd potęgę alchemii. Uwięził Setona i dla wydarcia sekretu produkcji tynktury poddał go torturom. Z pułapki udało się zwać Teresie.

— Teresie? — podchwyciła Katarzyna.

— Tak, Seton ożenił się w Czechach z bardzo miłą, drobną i żwawą kobietką. Przyjechała do nas do Krakowa, do Sędziwoja, prosząc go o pomoc. Posłała też listy do cesarza, aby wszczął kroki dyplomatyczne. Sędziwój uznał, że nie ma czasu do stracenia. Zastawił dom u żydowskich bankierów i z grubszą gotówką pojechał do Drezna. Tam zaproponował elektorowi, że spróbuje wpłynąć na uwięzionego i przekonać go do zaniechania oporu. Wymógł też, by wstrzymano dalsze tortury. Bywał parokrotnie w więzieniu i za każdym razem dawał bogate prezenty

strażnikom, aby otoczyli Setona opieką... Szybko zaprzyjaźnił się ze wszystkimi, toteż gdy pewnego wieczora zorganizował balangę w pomieszczeniach naczelnika więzienia, wszyscy dali się zaprosić. Postawił na stół kilka gąsiorów znakomitego węgrzyna. Wypili, posnęli, a on zabrał klucze, uwolnił przyjaciela, załadował na koń i obaj zwichli w stronę pobliskiej granicy. Gdy strażnicy doszli do siebie, zbiegowie mieli już ponad osiem godzin przewagi.

Niestety Seton bardzo ciężko zniósł tortury i wielodniową, forsowną ucieczkę. Gdy dotarli do Krakowa, czuł się bardzo źle i po mniej więcej miesiącu, mimo pielęgnacji przez żonę i przyjaciela, zmarł. Na łożu śmierci przekazał Michałowi sekret produkcji tynktury oraz wymógł na nim, że poślubi Teresę... Tak się też stało.

* * *

Wczesną jesienią o dwudziestą bywa już całkiem ciemno. Jeśli dzień jest deszczowy, zmrok zapada jeszcze szybciej. Księżniczka Monika Stiepankovic siedzi w bibliotece publicznej. Musi dużo uzupełnić, nauczyciele patrzą na razie przez palce, ale niebawem zechcą wysondować jej wiadomości. Musi być dobrze przygotowana. Taryfa ulgowa potrwa może jeszcze dwa tygodnie... Warto by też załapać się do grupy zwolnionej z czesnego. Pieniądzy, które dostała na Kazimierzu wystarczy jej tylko na siedem miesięcy...

Westchnęła. Sporo do przeczytania, a tu jak na złość zamykają bibliotekę o ósmej... Wstała i oddała poskładane książki w punkcie obsługi czytelników. Bibliotekarz odprowadził ją spojrzeniem. Westchnął w duchu. Z karty wynika, że dziewczyna ma szesnaście lat. On niestety jest już trzydziestopięcioletnim mężczyzną. Gdyby był trochę młodszy i nie miał żony z trójką dzieci... Nie. Nawet wtedy. Wyczuwa w niej coś dziwnego. Coś, co sprawia, że skóra cierpnie na plecach. Idiotyczne, irracjonalne wrażenie.

Właśnie przestało padać. Po niebie wiatr goni ciemne chmury, ochłodziło się znacznie... Księżniczka szczęknęła zębami. Jednak w jej ojczyźnie było cieplej. Musi sobie kupić gruby sweter. Ma przecież pieniądze.

Brama obok ulicy, ciemna, paskudna i cuchnąca. W niej ukryci dwaj dresiarze. Trochę już wypili, akurat tyle, by nabrać ochoty do rozrób. Zgwałcenie jasnowłosej szesnastolatki może być fajnym początkiem wieczornej imprezy. Żule w pierwszym pokoleniu. Nie mają instynktu „kaźmirskich chłopców”. Podświadomość nic im nie mówi. Nie ostrzega.

Monika idzie skoncentrowana. Wyczuwa ich. Nie są niebezpieczni. Nie dla niej. Nie mają broni palnej, ufają mięśniom hodowanym na siłowni i swojemu wyglądowni troglodytów. Mutanci na sterydach, ubrani w błyszczące dresy adidasa. Męty paradoksem historii wprowadzone do śródmieścia.

Poradzi sobie. Ale ci dwaj stanowią zagrożenie dla innych. A zatem oddajmy przysługę temu pięknemu miastu i miłym ludziom, którzy udzielili jej schronienia. Oddajmy przysługę żonom, siostram i córkom żołnierzy z batalionu KFOR...

Dresiarz doskakuje od tyłu, łapie ją za szyję. Paluchy wbija pod szczękę i za ucho. Mocny chwyt, bolesny. Szarpnięciem wciąga do bramy.

— No, mała, zabawimy się — charczy jego kompan.

Mają po dwadzieścia parę lat. Istnieje szansa resocjalizacji... No to do dzieła. Czas nagle zwalnia. Drobną dłoń uzbrojona w sztylet uderza jak kobra. Skowyt rozlegnie się za chwilę, wróg jeszcze nie wie co się stało. Stopa do przodu. Koniec. Minęły zaledwie dwie dziesiąte sekundy. Wystarczyło. Pierwszy dresiarz stracił rękę. Odcięła mu ją w łokciu. Bułat bez trudu tnie kość, ale zawsze łatwiej ustępuje tkanka chrzęstna.

Byczek klęczy na bruku. Dłonią w panice usiłuje zatamować krew sikającą z kikuta. Przed oczyma latają mu mroczki. Wyje z bólu i szoku. Jego koleś jest nie mniej poszkodowany. Kopniak złamał mu oba kolana. Gdy przewracał się do przodu, rozwalił je do reszty. Poszły rzepki, wiązadła, stawy wypełnia krew. On także wyje dziko, zupełnie jak zwierzę.

Nastawią mu, ale do końca swoich dni będzie chodził o kulach albo jeździł na wózku. Na razie sześć miesięcy w gipsie. Pozycja leżąca i przymusowa bezczynność pozwoli bandzirowi raz jeszcze przemyśleć całe jego bydlęce życie... Drugi jedną ręką wiele nie zdziała, też będzie musiał zmienić zawód. I to raczej radykalnie...

Chłodne, błękitne oczy patrzą na miotających się po ziemi wrogów. W powietrzu unosi się ciężki, metaliczny zapach krwi. Księżniczka marszczy nos. Jej złote włosy zdają się lekko świecić w ciemnościach. Dresiarze z trudem ogniskują wzrok. Patrzą na nią. Nie uciekła, nadal im zagraża. Mózgi prawie pozbawione szarych komórek ogarnia zwierzęce przerażenie. Nie, zwierzętom brakuje wyobraźni, więc nie mogą się aż tak przestraszyć.

— Jeśli piśnecie komuś słowo, wrócę — ostrzega.

Zrozumieli. Wychowani na horrorach z video wiedzą, że stanęli wobec zjawisk, których ich prostackie łby nie są w stanie do końca ogarnąć.

Teraz należałoby splunąć dla okazania im absolutnej pogardy, ale jest na to zbyt dobrze wychowana, więc tylko odwraca się i odchodzi. Westchnienie ulgi i znowu rozlega się skowyt pełen bólu. Długo będą wyli, zanim ich krzyki zainteresują przechodzący patrol.

* * *

Weekend jest najlepszą porą na urządzenie sobie pikniku, ale i zwykły dzień ma swoje uroki. Zwłaszcza jeśli jest to cudowne, wrześniowe popołudnie. Słońce przygrzewa, ale nie ma już dusznego lipcowego upału, który odbiera siły i sprawia, że koszula klei się do ciała. Jesień, liście lecące z drzew, żółknące trawy.

— Tego brakowało mi w Etiopii — powiedziała Stanisława przeciągając się aż zaskrzypiały stawy.

— Jak tam jest? — zainteresowała się jej kuzynka.

— W porze mokrej cudownie zielono. W porze suchej wszystko zamiera. W naszej telewizji pokazują ten kraj bardzo jednostronnie: głodujące dzieci, pustynia, tymczasem są tam piękne góry, jeziora pełne hipopotamów, żyzne doliny. Mili ludzie. Ale przez najbliższe trzydzieści lat wolę się tam nie pokazywać.

— Rozumiem.

Woda w samowarze zaczęła wrzeć. Mosiężna blacha zawibrowała, a para zaśpiewała w otworach.

— Popatrz, kto się tu przybłąkał — mruknęła Katarzyna.

Księżniczka Monika nadeszła od strony pętli autobusowej. Niosła kilka marchewek, najwyraźniej dla koni.

— Może zje z nami podwieczorek? — powiedziała leniwie Stanisława. — Nie widzi nas, trzeba pomachać albo zawołać...

Dziewczyna podążała ścieżką dość daleko od nich, faktycznie nie zauważyła nauczycielek na pikniku. Jasnobrązowa klacz spojrzała na nią uważnie i położyła po sobie uszy. Dziewczyna wyciągnęła w jej stronę dorodną marchew, ale koń nie przyjął poczęstunku. Cofnął się kawałek i zarżał. Uprzedzenia trzeba przełamywać powoli i ostrożnie. Położyła marchew na trawie i odeszła kilka kroków. Klacz patrzyła przez chwilę na warzywo, po czym oddaliła się na całą długość łańcucha.

— Co za diabeł? — zmarszczyła brwi Katarzyna obserwująca tę scenę z oddali. — Popatrz, jak się ten koń płoszy...

— Yhm — mruknęła jej kuzynka.

Monika spróbowała z innym koniem. Ten z rezerwą skubnął marchewkę i oddalił się truchtem. Pozostałe dwie położyła na trawie. Klacze podbiegły po nie dopiero, gdy odeszła.

— Dziwne, te szkapy nie należą do płochliwych — pokręciła głową Stasia.

Serbka odwróciła się i podążyła rozczarowana w stronę autobusu. Nauczycielka pomachała ręką, aby zwrócić jej uwagę. Udało się.

— Witaj. Usiądź z nami — zachęciła uczennicę lektorka. — Herbatka zaraz będzie. Mamy też ciasto. Musisz trochę nabrać ciała — spojrzała na szczupłą sylwetkę.

Wahanie. Nie wie, czy wypada. Jest bardzo speszona... Siada skromnie na brzeżku pniaka. Dziś założyła spódnice. Jej nogi są jeszcze dziewczęce, dość grube w kostkach i kolanach, minie jeszcze kilka lat, nim nabiorą kobiecej wysmukłości. To jeszcze ciele, szczenię, dziecko...

— Ładne koniki — zauważyła leniwie Stanisława. — Tak rozmyślamy z kuzynką, że trzeba by przejść się do stadniny, zapłacić, pożyczyć siodła i zakosztować trochę jazdy.

Księżniczka uśmiecha się delikatnie.

— Bardzo dawno nie siedziałam na koniu. Poza tym nie mają tu chyba damskich siodła.

Wszystkie trzy mają sukienki... Stanisława nie reaguje. Jazda w damskim siodle jest dla niej czymś zupełnie naturalnym. Uczennica notuje to w pamięci. Nauczycielka nie pasuje do tej epoki. Dobrze się maskuje, ale zbyt wiele drobiazgów ją zdradza. Na przykład to, że do ciasta

używa widelczyków o długich zębach, zamiast popularnych obecnie łyżeczek. Albo to, że sięga dłonią i bezwiednie wyciąga jakiś paproch zaplątany w warkocz kuzynki. Czochra z uśmiechem jej włosy. Okazuje jej siostrzane uczucia poprzez iskanie. Od kiedy w połowie XIX wieku stwierdzono, że wszy przenoszą tyfus i wydano im bezwzględna walkę, iskanie przestało być pieszczotą, w ogóle wypadło z użycia.

Za to Katarzyna jest współczesna aż do bólu. W jej ruchach widać nerwowość i spontaniczność, a nawet pewną gwałtowność. Uczyła się w szkole koedukacyjnej, przejęła od kolegów z klasy pewne typowo męskie zachowania... Monika uśmiecha się do obu kobiet.

Konie patrzą z daleka. Niespokojnie i wyczekująco. Obserwują, choć się boją. Cóż, koń jest najlepszym przyjacielem człowieka... Samowar po zdjęciu dławika rozpala się znowu. Stanisława bierze kawałek sernika, który upadł na trawę i niesie go koniom. Brązowa klacz widzi ją pierwszy raz w życiu, ale bez wahania zjada ciastko. Kobieta wraca do towarzyszek. Konie nadal spoglądając w ich stronę kładą po sobie uszy.

Para zaśpiewała. Nauczycielka wyszukała w koszyku trzecią filiżankę. Nalała z samowara herbaty i podała. To jeszcze jeden element nie pasujący do współczesności. Rosyjska moda picia herbaty w szklankach poważnie wyparła filiżanki z użycia... Monika podziękowała skinieniem głowy. Postawiła naczynie obok siebie, na równym kawałku ziemi.

— Tu masz cukier — Katarzyna wyciągnęła w jej stronę cukiernicę.

Księżniczka sięgnęła po łyżeczkę. Dotknęła jej końca palcem i cofnęła dłoń jak oparzona.

— Dziękuję, nie słodzę — powiedziała speszona. Odruchowo wytarła palce o spódnicę. Na błękitnym materiale pozostał cieniutki czerwony zaciek.

— To tak jak ja — rzekła Stasia. — A może chcesz do herbaty konfitur?

— Poproszę...

Nałożyła jej na talerzyk. Przez dłuższą chwilę piły w milczeniu. Uczennica z wprawą łamała gorzki smak napoju wiśniową konfiturą...

— Może zjesz serniczka?

— Z przyjemnością...

Katarzyna w zadumie patrzy na profil nastolatki. Lekkie zniekształcenie na policzku, kilka przebarwień skóry psujących urodę... Dziewczyna odgadła zainteresowanie nauczycielki.

— To po oście — wyjaśnia muskając skórę opuszkami palców. — Z wiekiem powinno zniknąć.

Spogląda na konie i nie widzi twarzy Katarzyny zastygłej nagle w grymasie zdumienia.

* * *

Stanisława kupowała mieszkanie z myślą o sobie. Gdy kuzynka przeniosła się do Krakowa, jakoś tak zupełnie naturalnie zamieszkały razem. Mała sypialnia odrobinę się zagraciła. Z drugiej strony stała się jakby bardziej przytulna. Stoją tu teraz dwa łóżka. Między nimi jest metr odstępu, akurat wystarczająco, by leżąc spokojnie rozmawiać.

Jest północ. Obie dziewczyny powinny spać, ale jakoś im to nie wychodzi. Teoria dojrzewała całe popołudnie i wieczór.

— Wiesz co mi się wydaje? — zaczyna Katarzyna.

Jej kuzynka milczy. Wie.

— Ta mała Monika może być starsza od ciebie.

— Idiotyczne przypuszczenie. Dlaczego tak sądzisz? — sama podejrzewa to od wielu godzin.

— Z bardzo prostej przyczyny. Pamiętasz co powiedziała? Blizny na policzku ma po ospie. Po czarnej ospie.

— No to co? — mruczy sennie kuzynka. — Też kiedyś miałam, ale na szczęście trafiłam na fachowców. Związali mi ręce żebym nie drapała wrzodów i strupów: dzięki temu nie mam blizn. Zdarza się.

— No właśnie, nie zdarza się. Ile ona ma lat? Szesnaście? To w którym roku się urodziła? W 1986... tymczasem ostatni przypadek czarnej ospy odnotowano w... 1974!

— O cholera! — Stasia aż siada na łóżku. — Faktycznie... A może to po ospie wietrznej?

— Nie zostawia takich śladów.

Milczenie.

— Sądzisz, że ona jest taka jak ja?

— Nie, chyba nie... A może... Musimy sobie z nią szczerze pogadać... Ale najpierw coś sprawdzę.

Odrzuciła kołdrę i w koszuli nocnej zasiada do komputera.

— Stiepankovic — mruczy sama do siebie. — Wspomniałaś, że ta mała ma na piersi tatuaż w kształcie herbu?

— Aha. I napisy głągolicą...

— Stasiu, wybaczone, ale ostatnio chyba zaczynasz dostawać starczej demencji.

— Po czterystu latach to chyba nic dziwnego — zażartowała cierpko. — A co konkretnie przegapiłam?

— Głągolicy nie używa się od czterystu, może trzystu lat. Przyznaj się, dawno nie odwiedzałaś Bałkanów?

— Oj...

— Mam. Stiepankovice, bośniacki ród książęcy skoligacony z cesarzami Bizancjum. Ostatnim przedstawicielem był książę Mychajło poległy w bitwie na Kosowym Polu... Patrz, przypomina ci to coś?

Wyświetliła herb.

— Nie mam najmniejszych wątpliwości... Tylko dlaczego podaje się za Serbkę?

— Bo w Bośni panuje teraz spokój. Nie dostałaby u nas azylu... Bizancjum. Jasna cholera. Poderwała się od komputera i grzebie w książkach.

— Wiem już, gdzie widziałam jej twarz — mruczy. — Zaraz... Jest.

Monografia „Twarze antyku”. Kilka tomów, kilkaset reprodukcji. Fresk z Myry, czyli dziesiętszego Izmiru, pochodzący z dziewiątego wieku naszej ery. Zniszczony, odnaleziony przez archeologów rozkopujących ruiny bizantyjskiej bazyliki. Posklejany pieczołowicie z kilkuset fragmentów. Paru nie udało się odnaleźć. Złotowłosa, błękitnooka dziewczyna trzyma w dłoniach woskową tabliczkę i rysik. W tle winna latorośl.

— Bośniacka księżniczka Monika Stiepankovic — Stanisława blednie. — Nie, to niemożliwe.

— Znasz inne wyjaśnienie?

— Seton zwany Kosmopolitą, mistrz i przyjaciel Sędziwoja, był pierwszym w dziejach alchemikiem, któremu udało się uzyskać czerwoną tynkturę czyli kamień filozoficzny.

— Jesteś pewna?

— Absolutnie. Poza tym nie wyobrażam sobie, jak to dziecko mogłoby przeżyć tysiąc dwieście lat.

— Tobie się udało.

— Tak, ale próbowali mnie zabić przeciętnie dwa razy na stulecie. Cholera...

— Wygląda bardzo dziecinnie, ślicznie a przy tym niewinnie, jej wygląd budzi w każdym chęć opieki i pomocy.

— Dziwne, że nikt jej nie zgwałcił... Taka dziewczynka to jak spełnienie marzeń każdego pedofila...

— Może ją zgwałcili. Może nie raz... Zobacz, jak się ubiera...

— Aseksualnie — mruczy Stanisława. Współczesne terminy obco brzmią w jej ustach. — Jakby bała się... Z drugiej strony, jeśli jest taka dobra w nożu, to współczuję wszystkim, którzy próbowali.

— No i sama widzisz. Sądzisz, że żyje dzięki czemuś innemu niż kamień filozoficzny?

Stasia milczy. Zastanawia się. Nagły błysk zrozumienia.

— Ona jest wampirem.

Katarzyna parska serdecznym śmiechem.

— Nie bredź...

— Nie bredzę. Pamiętasz cukier?

— Na pikniku?

— Właśnie. Sięga po cukiernicę, ale stwierdza, że nie słodzi. Natomiast konfiturą chętnie... A wiesz dlaczego?

— Dotknęła łyżeczki i...

— I się oparzyła. Srebrem. Widelczyki są niklowane...

— Światło słoneczne powinno ją w takim razie zabić. No i dlaczego nie ma zębów takich, by podrapać się nimi po brodzie?

— Z bardzo prostej przyczyny. Bo te wszystkie książki i filmy o wampirach bardzo wybiórczo potraktowały na pół legendarne przekazy ludowe o istotach jej rodzaju.

— To znaczy, że nie zamienia się w nietoperza? Brrr. Makabryczny pomysł.

— Ale wszystko do siebie pasuje. Kurczę, w Bizancjum uduszono kilka księżniczek pochodzących z Bałkanów... Zaś co do zębów, to słowiańskie legendy mówią, że wampiry wysysają krew przyssawką, którą mają pod językiem...

— Wariactwo.

— Czasem, droga kuzynko, nie mogę zrozumieć pokrętnych ścieżek twojego umysłu. Zaakceptowałaś bez problemu fakt, że żyję dwadzieścia razy dłużej niż ty, ale nie potrafisz uwierzyć w jedno młodziutkie wampirzátko?

— To co innego. W twoim przypadku mam dowody. Czarno na białym. Fotografie wykonane w ciągu ostatnich stu dwudziestu lat, na wszystkich wyglądasz tak samo. Tak jak na portrecie, który dziś wisi w Muzeum Narodowym.

— A ja sądzę, że to wampirzyca. I musimy to sprawdzić. Zanim dojdzie do jakiegoś nieszczęścia.

— Co jeszcze z tych legend może być prawdą?

— To drapieżnik, taki jak kuna czy łasica. Jest pewnie bardzo szybka, ma kocią zwinność, refleks któremu nigdy nie sprostamy. Silna, dużo silniejsza niż my... Zapewne nie ma skrupułów.

— Czyli co, mamy ją poczęstować osikowym kołkiem, strzelając z kuszy zza węgła?

Milczy przez chwilę.

— Nie. Mimo wszystko musimy z nią porozmawiać...

— Jeśli masz rację, to bardzo ryzykujemy.

— Kula jest szybsza niż cios sztyletem... Serce jej bije, krew krąży w żyłach. Jest ciepła w dotyku. To znaczy, że organizm musi funkcjonować na podobnych, w miarę podobnych zasadach jak nasze. Jeśli podziurawimy ją kulami, zginie. Najprawdopodobniej. Pewnie uczyli cię w CBS jak osaczać wroga?

— Owszem. Ale nie wampira... Wyobraźnia naszych instruktorów nie sięgnęła aż tak daleko.

— Nie wierzysz?

— Nie wiem.

* * *

Równy oddech trzech śpiących dziewczyn. Uspokajający dźwięk. Księżniczka Monika Stiepankovic wstaje cicho i idzie do łazienki. Bose stopy delikatnie stykają się z podłogą. PCV jest chłodne, ale lastriko w łazience jeszcze gorsze. Starannie zamyka drzwi. Potrzebuje światła... Zapala żarówkę. Palce, którymi dotknęła łyżeczki, mrowią ją po wierzchu. Ale na szczęście wszystko jest już w porządku. Wytarła je natychmiast, skóra już przyschła. Martwa tkanka stwardniała jak powierzchnia walizki. Organizm wytworzył masę rogową, by toksyczne związki srebra nie wdarły się głębiej. Skorupa spełniła swoje zadanie. Teraz trzeba się jej pozbyć, zanim ktoś zobaczy.

Sięga w dół i zawija nogawkę pizamy. Sztylet lśni lekko w świetle sześćdziesięciowatowej żarówki. Jest dość długi i gruby, a przy tym ciężki. Dobrze leży w dłoni. Jego kształt zdradza pochodzenie. Na kłindze stal trzech kolorów tworzy skomplikowany ornament. Najwyraźniej widać delikatne prążki. W stali damasceńskiej układają się wzdłuż główki, tu — pod skosem w poprzek. To prawdziwy bułat. Technologia, której rozwój przypadł na okres IV wieku naszej ery. Trzy rodzaje wysokogatunkowej stali skute razem w osiemdziesiąt warstw, złożone w harmonijkę i skute raz jeszcze. Na całym świecie jednocześnie nie więcej niż trzech płatnerzy potrafiło dokonać tej sztuki... W IX wieku zginęli ostatni fachowcy znający technologię wykonywania bułatu. Zastąpili ich partacze, uczniowie wygnani z pracowni za lenistwo. Rozpleniły się ich wyroby, skrajna tandeta, stal damasceńska...

Jej dziadek, książę Maksymilian złamał szablę w walce. Poszczerbił na glinianych murach Bagdadu... Z końca klingi zrobiono jej sztylet. Można nim przeciąć prawie wszystko. Gdzieś pomiędzy atomami węgla i żelaza, w porach metalu, tkwią kropelki ludzkiej krwi. Nie da się przeżyć milenium nie plamiąc sobie rąk... Sporo czasu upłynęło. Jej dusza zaznała już ukojenia. Nie lubi zabijać. I nawet jeśli nie ma innego wyjścia, gnębią ją potem wyrzuty sumienia.

Ścina zrogowaciałą warstwę zewnętrzną. Ostrożnie, to naprawdę piekielnie ostre narzędzie. Kawalek pumeksu. Usuwa resztki martwej tkanki. Opuszki pod spodem są bardzo delikatne, ale do rana powinno się dobrze wygoić... Srebro musiało być czyste, co najmniej próby 900... Dobrze że widelczyk do ciasta dostała niklowany, bo musiałyby jeść palcami jak dzikuska...

Przymyka oczy. Rozwścieczony tłum albańskich wieśniaków. Egzekucję w krajach bałkańskich wykonuje się zgodnie ze zwyczajem na wzgórzu poza wioską. Ten staruszek musiał być bardzo mądrym człowiekiem. To on ją rozpoznał. Wzdryga się na wspomnienie pomarszczonej dłoni trzymającej stary talar z wytłoczonym wizerunkiem cesarzowej Marii Teresy. Prawdopodobnie włożyliby jej monetę w usta...

* * *

Dziewczęta poprawiły nieco swoje wyniki. Większość z trudem, zaciskając zęby, robi siedem pompek. Ale nauczycielce i tego mało...

— Moje drogie, musicie jeszcze dużo nad sobą popracować — zrzędzi. — W przyszłym tygodniu każda z was ma dojść do piętnastu. Jestem pewna, że wasza koleżanka wykona osiemdziesiąt — przenosi pytające spojrzenie na Monikę.

Księżniczka zastanawia się chwilę. Brak jej żyłki hazardu. Gdyby ją miała, za którymś razem mogłaby powinać jej się noga. Statystyka jest nieubłagana. Ale ciekawi ją problem granic własnej wytrzymałości.

— Mogę spróbować — mówi wreszcie.

— Dobra, a wy patrzcie i uczcie się.

Stopy zaparte o ścianę, dłonie przetarte wilgotną szmatką... Do dzieła. Pięćdziesiąt zrobiła bez większego wysiłku. Ale idzie coraz gorzej. Między kolejnymi pompkami coraz dłuższe przerwy, oddycha ciężko. Pot pojawia się na twarzy, pod pachami i w innych miejscach. Siedemdziesiąt cztery. I ani jednej więcej.

— Świetnie ci poszło — gratuluje Stanisława. — Ja nigdy nie przekroczyłam stu dwudziestu...

W tym momencie upragniony dzwonek. To takie proste i zarazem skuteczne. Wykończyć ofiarę fizycznie, aby nie była w stanie się bronić, gdy przyjdzie co do czego...

* * *

Księżniczka Monika Stiepankovic jest ostrożna. Sprawdza, czy wszystkie dziewczyny wyszły już z przebieralni. Droga wolna. Nurkuje do środka. Zamyka drzwi przekręcając zasuwkę. Pod prysznicami nie ma nikogo, nie ma też światła, ale jej światło niepotrzebne. Od biedy mogłaby czytać w ciemnościach... Mięśnie boją ją rozkosznie. Siedemdziesiąt cztery pompki, nawet nie wiedziała, że jest w stanie tyle zrobić. Nauczycielka dała jej do wiwatu. Palce lekko się trzęsą, gdy ściąga bluzkę. Chłodna woda dobrze jej robi. Następna lekcja to francuski. Może nie trzeba będzie nic pisać... Stanisława wie, że ją wykończyła fizycznie.

A na razie ma pół godzinki dla siebie. Puszczą wodę, pozwala żeby zmoczyła jej włosy. Jest lodowata. Ból ramion rozplywa się w słodkim odrętwieniu. Teraz trochę cieplej...

Wzdycha z rozkoszy. I nagle przed jej powiekami następuje rozbłysk. Otwiera przestraszona oczy. Dwie żarówki pod sufitem palą się. Ale ona widzi tylko potworną, czarną dziurę przed sobą...

Rosyjski nagan to straszna broń. Wymyślili go Francuzi, ale dopiero rosyjska myśl techniczna, a raczej jej niedostatki, nadały mu ostateczny toporny kształt. Wymaga silnej ręki. Kaliber dziewięć milimetrów kopie zdrowo przy każdym strzale. Pociski, nieco dłuższe niż zazwyczaj stosowane, mają większą siłę rażenia. Kula przebija nawet te kamizelki kuloodporne, z którymi nie radzi sobie rewolwer „Magnum”.

Stanisława bardzo dawno temu doszła do wniosku, że w razie zagrożenia trzeba używać broni, która z największym prawdopodobieństwem zrobi napastnikowi krzywdę... W Etiopii miała coś odpowiedniego na podorędziu. Miotacz rakiet przeciwpancernych ma jednak pewną wadę. Można go przypiąć do łęku siodła, gdy jedzie się na wielbłądzie przez dzikie góry, ale nie mieści się do torebki. A nagan owszem.

Szczególną zaletą tego modelu jest to, że bębenek nie został zabezpieczony od przodu. Przeciwnik widzi pociski spoczywające w komorach. Ktoś pomysłowy zdecydował, iż lufę wewnątrz należy oksydować. Wygląda dzięki temu jak czarna dziura... Ten obraz paraliżuje wolę. Stanisława stoi półtora metra od uczennicy, prawie pod ścianą. Jest czujna i skupiona. Gotowa wystrzelić w każdej chwili. Katarzyna poprawia śrubokręt z izolowaną rączką tkwiący w kontakcie. A więc to nie przepalona żarówka, tylko zwarcie...

Ona także trzyma coś w ręce. Mały rewolwer czeczeńskiej produkcji ze stali narzędziowej, na naboje takie jak do kbks. Mają niepozorny kaliber i niewielką siłę przebicia, ale ich czubki to czysty ołów. Na bliską odległość broń absolutnie mordercza. Robi w ciele małe dziurki wlotowe, za to wylotowe trudno nakryć czapką. Dodatkowo każdy pocisk można nawiercić od środka i kapnąć do niego kroplę rtęci. Uzyskuje się wówczas coś w rodzaju zakazanych konwencjami kul dum-dum. Od zwykłych różnią się z grubsza tym, że otworu wylotowego nie da się nakryć niczym. Trzy strzały wystarczą. Z przodu jej zwłoki będą jeszcze jako tako wyglądały, z tyłu po prostu ich nie będzie... I wyrazy współczucia dla tego, kto będzie musiał zmywać ze dwadzieścia metrów kwadratowych zakrwawionej ściany.

Dziewczyny stoją tak, by ubezpieczać się wzajemnie. Szybkość nic tu nie pomoże. Nim zdołałyby załatwić pierwszą, druga naszpikuje ją ołowiem. Może uda jej się uniknąć większości kul, ale rewolwer Katarzyny jest co najmniej dwunastostrzałowy.

Księżniczka w pierwszej chwili zastanawia się, jak sforsowały drzwi do przebieralni. Potem domyśla się, że przecież nauczycielki mają własny komplet kluczy. Nie można milczeć w nie-skończoność. Ale niech one zaczną.

— No cóż, moja droga — odzywa się Stasia. — Pora omówić kilka nader istotnych problemów. Możemy rozmawiać po polsku, serbsku, albo grecku, jak ci wygodniej... Nie wiem tylko, czy znasz współczesną grekę, a ja z kolei nie opanowałam bizantyjskiego jej dialektu...

Szesnastoletnia cudzoziemka stoi przed nimi całkiem naga. Nawet pochwę z nożem odłożyła obok, na półeczkę, gdzie stoi butelka pachnącego, owocowego szamponu. Między piersiami zielenieje herb Stiepankoviców i napis wykonany dawno umarłym alfabetem. Kawalek litanii... Wyżej, na cienkim łańcuszku, wisi mały złoty medalion. Matka Boska z Medjugorie.

— Czego ode mnie chcecie? — pyta zduszonym głosem.

Gra. Ciągłe gra, tym razem uczennicę, która wpadła w ręce dwu nauczycielek sadystek. Jedną dłonią zasłania piersi, drugą zakrywa wstydliwie kępkę złocistych włosów między udami. Przerazona niewinność... Jej spojrzenie wędruje w bok. Sztylet spoczywa w skórzanej pochwie. Nie zdąży go wyciągnąć. Żadnych szans...

— Powiedz nam, w którym roku się urodziłaś? — zagaduje Katarzyna.

Głębokie zdziwienie w przerażonych błękitnych oczach.

— W osiemdziesiątym szóstym — teraz jej twarz przyjmuje wyraz kompletnego zagubienia.

Wygląda słodko i bezbronne. Polscy żołnierze nabrali się na to. Cały batalion. Z drugiej strony, przecież nie okłamała ich... Faktycznie była bezbronna i zagubiona. I potrzebowała ich pomocy.

— Paluszek się już zagoił? — Stanisława zadaje pytanie nieco jadowitym tonem.

— Paluszek? — ze zdziwieniem unosi dłoń i pokazuje całkowicie zdrowe opuszki.

— Sprawdźmy? — Stanisława wolną ręką sięga do wiszącego jej na piersiach krzyżyka.

— Mam uczulenie na srebro — wyjaśnia księżniczka.

Sprytnie. Brzmi to bardzo wiarygodnie.

— Faktycznie, można to nazwać uczuleniem — mruczy Katarzyna. — Rany zadane srebrnym ostrzem pewnie ci się nie goją...

— Czego ode mnie chcecie? — ponawia pytanie.

Głos jej drży, chyba faktycznie jest przerażona. Woda ciągle kapie, krople rozbijają się na kafelkach, spływają jej po skórze.

— Księżniczko Stiepankovic, mamy ochotę porozmawiać sobie trochę o zwyczajach panujących na dworze bizantyjskich cesarzy i o pewnej bazylice w Myrze. — Katarzyna pokazuje kserograficzną odbitkę fresku. — I o Świętym Mikołaju, jeśli przypadkiem miałaś okazję go poznać. Zdaje się był tam biskupem...

Wiedzą. Teraz może się już tylko poddać. Co będzie dalej? Nie zastrzela jej, jeśli nie będą musiały. Huk wystrzałów ściągnąłby tu całą szkołę, nie zdołałyby uciec. Uduszą srebrnym łańcuszkiem? A może...

— Sporo wiecie...

To już przyznanie się. Opuszcza ręce. Wygląda niewinnie i ślicznie zarazem. Woda z prysznicą ciągle spływa jej strumykami po ciele...

— Jak się domyśliłyście?

— Zebrałyśmy trochę faktów — mówi Stanisława. — Nie było to trudne. Kombinowałyśmy, dopasowałyśmy... Jesteś wampirzycą...

Wzruszenie pięknych, gładkich ramion. Kiwa głową na potwierdzenie. Katarzyna poprawia chwyt na kolbie rewolweru. Myśl o tym, że będzie trzeba strzelać do tak cudownego dziewczątka, napawa ją obrzydzeniem. To jeszcze dziecko. Za kilka lat ciało okrzepnie. Jej kobiecość dopiero rozkwitnie. Nie. Nie rozkwitnie. Zatrzymała się na tym etapie. Nigdy nie dorośnie. Minęło nie wiedzieć ile wieków, a ona ciągle ma szesnaście lat. Jeśli jej nie zabiją, nadal będzie tyle miała. Jest śliczna, ale przecież i szatan jest upadłym aniołem. Zło może być na pozór piękne. Drapieżniki mają tyle wdzięku...

— Jestem — księżniczka przyznaje się odważnie, — ale czy to wystarczający powód żeby mnie zabijać?

Wyprostowała się. Już nie próbuje wzbudzać litości. Jest dumna. Nie wstydzi się swojej nagości, nie zdołają jej zgnieść psychicznie. Nie da im odczuć przewagi płynącej z tego, że są ubrane a ona nie... Umrze, ale zachowa honor i dumę. Pochodzi przecież z książęcego rodu. Jej słowiańscy przodkowie szturmowali Konstantynopol na całe wieki przed Turkami.

Faktycznie, celne pytanie — myśli Katarzyna. — Nie zrobiła nam nic złego, choć pewnie nie raz miała okazję...

— Jesteśmy nauczycielkami — głos Stasi twardnieje. — Jako pedagogzy jesteśmy odpowiedzialne za powierzone naszej opiece uczennice.

— Skąd przypuszczenie, że im zagrażam? — oczy patrzą spokojnie i z rezygnacją.

— Czytało się co nieco — syczy.

Księżniczka odwraca głowę w jej stronę.

— I pewnie filmy też pani oglądała? To wszystko bzdury. Krwi muszę się napić raz na cztery, pięć lat. I nigdy tyle, żeby zabić. Krew utrzymuje mnie przy życiu... Nie wiem dlaczego, jakie związki chemiczne działają stabilizująco na proces podziału moich komórek. Przypuszczam, że chronią końcówki telomerów przed uszkodzaniem przy kolejnych replikacjach DNA. I jeszcze jedno. To odmienność gatunkowa, może przypadkowa mutacja. Nie jest zaraźliwa. U mnie w rodzinie czasem się pojawiała...

Naga, szesnastoletnia wampirka przemawia językiem współczesnej biologii molekularnej. Jej ciało pokrywa się gęsią skórą. Mimowolny dreszcz przebiega plecy. Z całą pewnością nie sypia w kryptach, przywykła do chłodu. Stanisława nieco łagodnieje. Może będzie trzeba zabić tę małą, ale po co ją dodatkowo męczyć?

— Ubierz się — wydaje polecenie. — Tylko żadnych sztuczek. Nóż zostaw tutaj.

Zauważyła sztylet leżący na półce. Nie dają jej najmniejszej szansy. Nie przedrze się, nie zabije, nie ucieknie.

— Jakim cudem nikt się nie zorientował? — pyta Katarzyna. — Pokąsania przez wampiry z pewnością byłyby odnotowane w kronikach policyjnych... Analizowaliśmy w CBS różne dziwne przypadki pod kontem ewentualnych szaleńców. Pogryzienia ludzi też. Jak to zrobiłaś?

— Nie gryzę ludzi — na jej twarzy maluje się obrzydzenie. — Przecież to byłby kanibalizm! Spoglądają na siebie zaskoczone.

— Konie! — domyśliła się Stasia. Jej oczy ciemnieją. Lubi konie.

— W zasadzie to dla nich bezbolesne — wyjaśnia uczennica. — Przy odrobinie zręczności nawet nie zauważają. Wyczuwają coś, ale jak się oswoją, przestają zwracać uwagę.

— A ślady zębów?

Otwiera usta i wysuwa ssawkę ukrytą pod językiem. A więc słowiańskie legendy mówiły prawdę.

— Podciśnienie, bezpośrednio przez skórę — mówi z niejaką dumą. — Substancja, z której zbudowana jest ssawka może się wcisnąć między komórki tkanek ofiary. Trzeba tylko trafić na dość grubą żyłę, na przykład za końskim uchem...

— O kurde — Stanisława nigdy nie używa tak brzydkich wyrazów. To pierwszy wypadek od dobrych dwustu lat. Opuszczają broń.

Monika oddycha z ulgą. Spociła się... A nie ma dezodorantu. Katarzyna parska śmiechem chowając broń do kieszeni. Zachciało im się polować na dziką bestię i co znalazły?

— I dużo was jest? — Stanisława jeszcze nie chowa rewolweru.

— Nie mam pojęcia. Wiem o dwu innych, ale one nie żyją od stuleci... Nigdy nie spotkała pani nikogo z naszych? — patrzy nauczycielce w oczy.

— Z naszych?

— No fakt — rumieni się. — Myślałam początkowo, że pani też. Ale srebro... Dotyka pani łyżeczki i nic. I nie wie pani o krwi... Więc doszłam do wniosku, że jakoś inaczej umiecie oszukiwać czas — przenosi spojrzenie na drugą nauczycielkę.

— Mnie do tego nie mieszaj — Katarzyna tupie nogą w udawaną złość.

— Kamień filozoficzny — wyjaśnia jej kuzynka. — Wyprodukowany przez mistrza Sędziwoja z Sanoka.

Mała wampirka patrzy zdumiona.

— Jak to, to jednak się udało?

— Owszem. Tylko zapas mi się kończy. Podejrzewamy, że alchemik ciągle żyje...

Ubrała się do końca. Spokojnie otwiera zamknięte na zasuwkę drzwi. Nie ucieknie. Już wie, że nie będzie musiała. Nie robią jej krzywdy. Katarzyna studiowała psychologię. Poznała, że powiedziała prawdę... Druga nauczycielka także chowa swoją śmiercionośną spluwę do torebki. Lepiej nie paradować z czymś takim po szkole. Uczennice mogłyby by się przestraszyć. Jeszcze kilka gryzących pytań.

— Znałaś biskupa Mikołaja, świętego Mikołaja? — dopytuje się Katarzyna.

— No jakim cudem? — księżniczka wzrusza ramionami. — Przyjechałam do Myry w 898 roku a on zmarł coś z pięć stuleci wcześniej... Powiedziałam prawdę. Urodziłam się w 86 roku... 886 — dodaje tytułem wyjaśnienia.

Dzwonek rozbrzmiewa jasno i czysto. Zaraz zacznie się lekcja polskiego. Stanisława powinna iść na francuski z maturalną klasą. Nie wypada się spóźniać. Druga nauczycielka ma okienko, ale obiecała dyrektorowi skonfigurować komputer.

Rozstają się przed drzwiami przebieralni. Nie muszą nic mówić. Jeszcze będzie okazja, by pogadać spokojnie, bez pośpiechu, bez czarnych luf zaglądających w oczy. Informatyczka podaje dziewczynce bułatowy sztylet zostawiony pod prysznicem. To ostateczna oznaka zaufania. Wrogom nie wręcza się broni... Księżniczka Monika wbiega po schodach.

— Zaczekaj! — woła za nią Stanisława.

Zatrzymuje się i odwraca.

— Tak? — twarz rozjaśniona uśmiechem.

— Wpadnij do nas jutro po lekcjach, zrobię leczo.

— Z przyjemnością. Dziękuję za zaproszenie.

Przeskakuje po kilka stopni prac w górę. Złociste włosy wilgotną falą opadają jej na ramiona. Ma lekkie dreszcze. Nie trzeba było stać tak długo pod zimnym prysznicem.

* * *

Małe, przytulne mieszkanko. Okno wychodzi na krakowskie Planty. Deszcz chłoszcze w szyby. Jesień... W środku jest ciepło i przyjemnie. W powietrzu unosi się zapach szarlotki, herbaty oraz węgla drzewnego z samowara. Księżniczka Monika siedzi po turecku na grubej skórze renifera. Przegląda ilustrowany tomik etiopskich wierszy. Oswajanie koni szło ostatnio całkiem nieźle. Szarlotka bardziej im smakuje niż marchew. Jeszcze trochę i będzie można nasycić pragnienie...

Katarzyna rozpala samowar. Jej kuzynka przy biurku wygłasza tyradę.

— Dopadniemy Sędziwoja. Tym razem wyduszę z niego więcej tynktury. Zrobimy sobie szybciotko z pięć kilogramów złota i kupimy za to większe mieszkanie, trzy, może cztery pokoje. Załatwimy jakoś, żebyś mogła z nami zamieszkać... Jak zrobisz maturę, urywamy się stąd. Do Boliwii na przykład...

Nalewa do kieliszków czerwonego, słodkiego, gruzińskiego wina. Do trzech kieliszków.

— W sumie to dzieciom nie należy dawać alkoholu — mruczy. — Ale dziś taka okazja, zrobimy wyjątek... Pij, dziewczátko.

— Nie mów do niej „dziewczátko” — strofuje ją łagodnie kuzynka. — Tuła się po świecie siedemset lat dłużej niż ty, smarkulo...

Księżniczka uśmiecha się do nich ciepło. W sumie nie jest ważne, ile ma lat, ale na ile się czuje. A czuje się na swoje szesnaście. Może uchodzić za ich młodszą siostrę. Pal diabli, nawet pozwoli żeby goniły ją do obierania kartofli i odrabiania lekcji. Tak dawno nikt nie ofiarował jej swojej przyjaźni. Zdążyła zapomnieć, jak cudowne to uczucie...

* * *

Dyrektor stojący jak co rano na swoim posterunku przed drzwiami szkoły spostrzegł z daleka błysk jasnych włosów. Monika Stiepankovic ubrała się znowu dość dziwnie. Założyła za duży o dwa numery sweter góralskiej produkcji, z gatunku takich jakie sprzedają koło Dworca Głównego. Szara wełna ładnie komponuje się z jasnymi włosami. Zauważył jeszcze jedną zmianę. Od wczoraj jej twarz jaśnieje jakimś wewnętrznym światłem. Nie wiedział, że tak pięknie umie się uśmiechać...

Ulicą nadchodzi nauczyciel biologii. Ten także się uśmiecha, ale dyrektora na jego widok przechodzą dziwne ciarki. Dziwny typek. Jest w nim coś nieuchwytnego, co każe zachować czujność. Ale na razie nie ma żadnych powodów, by spuścić go po schodach.

* * *

Polonista rwie sobie włosy z głowy. Na piętnaście dziewcząt tylko ta śliczna Serbka przeczytała zadaną lekturę. I nawet coś niecoś zrozumiała, choć teraz strasznie jej się wszystko płacze. Za słabo zna polski... Trzeba jednak docenić jej wkład pracy.

— Ocena celująca — przerywa jej wypowiedź i wpisuje do dziennika tłustą szóstkę.

Dziękuje mu nieśmiało i siada na miejscu. W grubym swetrze wygląda znacznie lepiej. Otwiera zeszyt, notuje temat lekcji. Nauczyciel patrzy na nią spod oka. Coś musiało się zmienić w jej życiu. Od rana chodzi po szkole jakby tanecznym krokiem. Jej twarz rozjaśnia uśmiech. Wygląda dzięki temu jeszcze ładniej.

* * *

Alchemik początkowo wynajmował sobie mieszkanie w Nowej Hucie. Wcześniej, parę razy w życiu, miał idiotyczne pomysły. Ten był chyba najgłupszy z dotychczasowych... Mieszkał w wielu paskudnych miejscach, a to jest zdecydowanie najbardziej obrzydliwe. Widok sąsiada sikającego na schodach przepełnił czarę... W sumie — ciekawe dlaczego tak nim wstrząsnęło? W XVII wieku nie było to nic dziwnego. Pamięta przecież czasy, gdy nocniki wylewano przez okna wprost na ulicę. Chyba po prostu zbyt łatwo przyzwyczał się do nowych standardów cywilizacji. Trzeba sobie poszukać innego lokum. W miarę możliwości daleko stąd. Tylko gdzie?

Odnalazł miejsce, w którym stał kiedyś jego dom. No, powiedzmy że odnalazł. Siatka ulic zmieniła się, zapamiętał odległości, ale oczywiście obliczeniom brak trochę precyzji. To chyba jednak musi być tutaj... Obskurny, XIX-wieczny budynek technikum zajmuje kilka dawnych działek miejskich. Byłoby fajnie wrócić na stare śmieci, ale przecież nie zamieszka w suterenie szkoły...

A zatem poszukajmy czegoś innego. Nieruchomości na Starym Mieście są przeważnie obłędnie drogie. Po drugiej stronie Plant cena nieco spada. Cztery kilo złota to sporo, ale ostatnio kruszec ten staniał... Alchemik chodzi po mieście i szuka. Najdłużej przyglądał się kamienicy opodal Dworca Głównego. Ma stąd widok na teatr im. Słowackiego oraz Stare Miasto. Teraz trzeba przejść się do hipoteki i postudiować księgi wieczyste.

Całe szczęście to budynek prywatny. Właściciel, który odzyskał dom po półwieczu dewastowania, nie ma funduszy na renowację. Kamienica wybrana przez Sędziwoja nadaje się tylko do generalnego remontu. W pierwszej kolejności należałoby wymienić dach. A zatem do dzieła.

* * *

Klacz w zadumie obwachała kawałek sernika, a potem przyjęła poczęstunek, wyjmując go aksamitnymi wargami z dłoni Moniki. Dziewczyna pogładziła ją po szyi i przytuliła się na chwilę do ciepłego zwierzęcia. Zanurzyła twarz w grzywie. Koń przestąpił z nogi na nogę, a potem chrapami zaczął badać jej kieszenie w poszukiwaniu cukru. Puściła.

Stanisława i Katarzyna obserwowały scenę z daleka.

— Nawet jeśli się wie, co się stało, niewiele widać — mruknęła młodsza z dziewcząt upijając łyk herbaty z filiżanki.

— Mimo wszystko to niepokojące — odparła jej kuzynka.

— Dlaczego? Zresztą nie musisz odpowiadać...

— Zobaczmy, czy doszliśmy no tych samych wniosków... Dziewczyna jest wampirem. Jej biologia jest inna. Ssie krew, choć czyni to delikatnie i z wyczuciem.

— Oswojony drapieżnik? — domyśliła się Katarzyna.

— Tak. Spotkała innych, powiedzieli co robić. Nie szaleje po nocy, gryząc w szyje przechodniów. Nie wiem od jak dawna wampiry pojawiają się wśród ludzi, lecz jej zachowania są wyuczone...

— To znaczy że...

— Zaszedł proces socjalizacji. Osobniki nadmiernie agresywne z pewnością eliminują się same. Te, które narzuciły sobie ciasny gorset cywilizacji, przeżyją... No, w każdym razie mają większe szansę. Nie można wykluczyć, że istnieją także takie, które działają jak opisane w brukowcach... Zresztą nieważne. Balansujemy nadal na cienkiej linii. Zaskoczyłyśmy Monikę w sytuacji, gdy nie mogła wykorzystać swojej szybkości. A posiada fantastyczny refleks, siłę i odporność... Wyobraź sobie oswojonego wilka... Pozostaje mieć nadzieję, że instynkt solidnie usnął... Ciekawe ile wypila — zmieniła temat.

— Trwało to około piętnastu sekund...

Księżniczka bawiła się z koniem, jakby chciała pieszczotami naprawić wyrządzoną mu krzywdę...

— Może około pół litra. Dla zwierzęcia tej masy to tyle, co nic. — wzruszyła ramionami Stanisława. Wyjęła z torebki suwak logarytmiczny. — Liczmy, że ta kłacz waży około trzystu kilogramów — z wprawą trzasnęła suwakiem. — Krew to jedna ósma masy ciała... Czyli jakieś trzydzieści siedem kilo. Półtora procenta...

Katarzyna ostrożnie wyjęła urządzenie z dłoni kuzynki.

— Choroba — pokręciła głową. — W życiu czegoś takiego nie widziałam...

— W tej chwili to już zabytek, wszyscy mają kalkulatory, ale ja jakoś przywykłam... — wyjaśniła. — Szkoda, że dziś się już ich nie produkuje.

— Czy popełniłyśmy błąd? Czy powinnyśmy ją mimo wszystko zabić?

Stanisława ujęła w dłoń uszko filiżanki i zamyśliła się głęboko.

— Nie — powiedziała wreszcie. — Zabijanie jest łatwe, czasem zbyt łatwe... Nie należy nim szafować. Ona przeżyła ponad tysiąc lat. Po parę tu, po parę gdzie indziej. Postępowała ostrożnie, dzięki temu przetrwała, choć wydaje się to prawie niemożliwe. Ja, będąc osobą dorosłą, miałam z tym poważne problemy.

— Przecież nie kłamie.

— Nie. Ale chyba nie mówi nam wszystkiego. Może zapada w okresy letargu trwające całe lata?

— Zapytamy ją?

— Nie teraz.

Zdjęła dławik z samowara i przez chwilę dmuchała, by na nowo rozpalić żar. Monika wracała do nich. Otarła odruchowo wargi, jednak nawet wcześniej nie było na nich widać śladów posoki. Wyglądała na ożywioną.

— Udało się — Katarzyna raczej stwierdziła niż zapytała.

— Tak. Myślę, że klacz niczego nie poczuła — odparła księżniczka siadając sobie po turecku na kawałku karimaty. — W każdym razie sprawdziłam zanim odeszłam, czy nie uszkodziłam jej niczego. Zresztą to zwykła żyła, nie mogę tego robić na głównych, bo zwierzę by się wykrwawiło...

Nalała sobie filiżankę aromatycznego napoju i łyknęła pospiesznie.

— Krew ma obrzydliwy smak — powiedziała jakby tonem usprawiedliwienia.

— A teraz co, zaśniesz na dziesięć lat, aby w spokoju przetrwać? — zagadnęła Katarzyna.

— Dobrze by było — westchnęło wampirzátko. — Niestety nie potrafimy tego. Czasem, gdy wpadałam w pułapkę, myślałam jak by to było, gdybym mogła przespać choć z rok ukryta w jakiejś grocie, albo jak to pisali w książkach, w krypcie pod zamkiem czy kościołem... Poczekać aż wrogowie odejdą, poczekać aż dobiegnie końca kolejna wojna...

W jej głosie słysząc było smutek i zmęczenie. Mówiła prawdę. Zobaczyła leżący na serwecie suwak logarytmiczny i uśmiechnęła się do jakichś swoich wspomnień.

— Twoje doświadczenie życiowe jest trzy razy dłuższe niż moje — powiedziała Stanisława spokojnie. — Zastanów się, jak należy odszukać alchemika? Może potrafisz nam pomóc?

Dziewczyna zamyśliła się głęboko.

— Zakładamy, że jest w Krakowie?

— Albo był tu zupełnie niedawno. Wyprodukował sztabę złota i sprzedał ją natychmiast...

— Potrzebuje pieniędzy i to w dużych ilościach — mruknęła Katarzyna.

Księżniczka przez chwilę milczała.

— Przybył niedawno — stwierdziła. — Instaluje się na dłuższy pobyt. Dlatego zaszalał i zrobił kilogram kruszcu. Potrzebuje funduszy, by wynająć sobie mieszkanie na co najmniej pół roku. Ma tu coś do załatwienia albo chce odpocząć. W pierwszym przypadku należy się zastanowić, co zamierza zrobić. W drugim, jakie są jego ulubione rozrywki.

Była agentka kiwnęła głową. Wnioski bośniackiej księżniczki, urodzonej tysiąc dwieście lat temu, były zupełnie zbieżne z jej koncepcjami...

— W Krakowie żyje jeszcze jeden człowiek Sędziwoja — powiedziała Stanisława. — Niejaki Dymitr...

— Co o nim wiadomo? — Katarzyna przywykła do analizowania informacji.

— Był czeladnikiem alchemika. Dostał identyczną porcję tynktury, jak my. Teraz chyba się stoczył, gdy go spotkałam był zalany w pestkę... Lubił podpijać wódkę w pracowni. Może chłła bez przerwy od czterystu lat?

Katarzyna wykonała kilka szybkich obliczeń.

— Mało prawdopodobne — stwierdziła. — Alkohol błyskawicznie powoduje rozmycie podstawowych funkcji osobowości. Przerobiłby cały zapas proszku na złoto, a złoto przepił.

— Co sugerujesz? — zaniepokoiła się Stanisława.

— Widziałaś go kiedyś w ciągu tych czterystu lat?

— Nie, dopiero kilka tygodni temu. Sądziś, że zaczął pić niedawno?

— Może. W chwili, gdy zorientował się, że zapas tynktury skończył mu się definitywnie. Nie wytrzymał napięcia i zaczął tankować jak nigdy wcześniej. Jeszcze jedno. Spotkałaś go raz i był pijany. To nie musi oznaczać, że ciągle jest. Ale znał Sędziwoja i może być nam potrzebny. Najpierw go odszukajmy, potem zaproponujmy współpracę. Jeśli alchemik jest w Krakowie, musimy go namierzyć. Prawdopodobnie chwilowo trop ze złotem jest ślepy. Sędziwój zgarnął co najmniej trzydzieści tysięcy złotych. To starczy mu na dłużej. Zapewne wynajmuje mieszkanie. Może to robić na lewo, albo legalnie. W obu przypadkach używa fałszywej tożsamości. Czy był człowiekiem religijnym?

— Jak my wszyscy — mruknęła Stanisława.

— A zatem proponuję obsadzić wszystkie kościoły w Krakowie. A przynajmniej te stare. Jeśli nadal ceni sobie duchową stronę życia, musi uczęszczać na msze...

— Nie zapominać, moja droga, że nie masz już do dyspozycji setki agentów CBŚ. — Stasia łagodnie sprowadziła ją na ziemię.

— A po co? — wzruszyła ramionami. — Wystarczy pozakładać miniaturowe kamery...

— Koszta? — zapytała Monika.

— Ile mamy kościołów w centrum miasta?

— Na Starym Mieście jest, jeśli dobrze policzyłam, osiemnaście. W odległości, powiedzmy, dwu przystanków tramwajowych, w starej części Krakowa i na Kazimierzu znajdzie się jeszcze z piętnaście — odpowiedziała Stanisława bez zastanowienia.

— Sześć tysięcy na kamery, do tego trzydzieści nadajników i trochę innego przydatnego elektronicznego śmiecia. Wydatki powinny się zamknąć w dziesięciu tysiącach złotych.

Kuzynka wydała zduszony dźwięk.

* * *

Sędziwój zapukał do starych, niegdyś pięknych, secesyjnych drzwi, opatrzonych tabliczką z numerem 6. Otworzył mu staruszek. Widać było po nim osiemdziesiątkę na karku, ale trzymał się krzepko. Zlustrował nieoczekiwanego gościa zaskoczonym wzrokiem. Mężczyzna w garniturze... Akwizytor? Nie. Akwizytorzy chodzą w garniturach z supermarketów, ten zaś szyty był na miarę. Brązowy zagraniczny płaszcz, może mormoński misjonarz? Nie. Ci z kolei noszą identyfikatory na piersi i mają znacznie bardziej natchnione spojrzenia...

— Czym mogę służyć? — dziadek wykaszlał pytanie.

— Z tego co się dowiedziałem, odzyskał pan kamienicę, ale ma pan problemy z rozpoczęciem remontu.

— Nie będę brał żadnych kredytów — warknął gospodarz.

Ma złe doświadczenia.

— Nie chcę panu proponować kredytu — uśmiechnął się alchemik. — Sądzę, że musi pan sprzedać część mieszkań, żeby zarobić na remont. A ja szukam czegoś dla siebie.

— Jasne — westchnął staruszek. — Tyle to ja sam wymyśliłem z wnukiem. Tylko problem jeden. Nie ma czego sprzedawać. Najpierw trzeba wysiedlić tę hołotę, co tu mieszka... Komuna mi tu napuściła takich, że włosy rwać...

— Płacą czynsz?

— Gdzie tam. Ale ruszyć się nie da. Alkoholicy...

— To co z tego? — nie zrozumiał.

— Panie, z księżycą się pan urwał? Jak alkoholik, to znaczy, że chory. Jakiś debil wpisał to na listę przewlekłych chorób. Dzięki temu takie ścierwa dostają renty, a w dodatku, jako przewlekłe chorzy, nie podlegają eksmisji...

— Tylko dlatego, że piją? — zdumiał się gość.

— Właśnie... A ja siedzę tylko i czekam. Jak który wykituje od denaturatu, to natychmiast wywalam jego graty won na śmietnik i mieszkanie odzyskane.

— Często tak ich szlag trafia?

— Ostatnio trzech w dwa lata... — zasępił się dziadek. — Ale akurat rodzinę musiałem gdzieś ulokować. Wnuki się żenią...

Przybysz pokiwał ze zrozumieniem głową.

— Widziałem pański dach — powiedział wreszcie. — Nie przetrzyma tej zimy. Konstrukcja jest głęboko naruszona. Załamię się po prostu. Te nowe kawałki blachy między dachówkami też niewiele pomogą...

— A pan co? Dekarz?

— Mam dla pana propozycję. Pan mi sprzeda sto metrów strychu po trzysta złotych za metr. A ja sfinansuję wymianę całego dachu.

W oczach staruszka zapaliły się ogniki.

— To brzmi niegłupio — zatarł ręce. — Ale strychu jest czterysta metrów.

— Potrzebuję tylko jednej czwartej. Wymieniam na całym. To co, jest pan zainteresowany?

Druga taka okazja się nie powtórzy. Trzeba ją łapać natychmiast, zanim ten wariat pójdzie do sąsiada...

— Tak. Pan pozwoli do saloniku, spiszę umowę przedwstępną.

* * *

Księżniczka ma szczerze dosyć pobytu w domu dziecka. Dokucza jej tu niemal wszystko. Nie przeszkadzają oblażące z farby ściany ani woń lizolu przenikająca budynek. Do tego jakoś przywykła. Nocowanie w zrujnowanych przez wojnę wsiach, pasterskich szałasach, piwnicach i ziemiankach sprawiło, że przyzwyczała się do brudu, wszy, pluskiew, stęchlizny... Tu i tak jest nieźle. Nic jej nie gryzie, myszy nie sikają do łóżka, szczury nie obgryzają nocami butów.

Nie może jednak znieść pustki i bezczynności. W dodatku wredna herod-baba, która jest opiekunką grupy, usiłuje ją rozliczać z każdej minuty poza budynkiem. Powołuje się przy tym na jakiś strasznie mętnie napisany regulamin. Zdaje się, że w myśl przepisów wychowanka powinna kursować wyłącznie po trasie licem — dom dziecka, a na każde wyjście do biblioteki uzyskiwać stosowne pozwolenie.

Dziewczyny zachowują się jak kiepsko zaprogramowane roboty. Wykonują polecenia wolno i niedokładnie, ich ulubione rozrywki to oglądanie telewizji oraz słuchanie debilnych programów radiowych. I gadanie o serialach. Współlokalki nie robią nic, żeby zmienić swoją sytuację. Za kilka lat skończy się państwowa opieka, co zrobią wtedy? Działać powinny teraz, póki jeszcze mają czas.

Ale zostawmy ten problem. Monika klnie w duchu, starannie dobierając najbardziej paskudne greckie i serbskie słowa... Ma biologicznie prawie szesnaście lat. Przez ostatnie osiem stuleci kobieta w takim wieku była dorosła. Mogła sama decydować o sobie, choć oczywiście nie do końca. Była jednak wolna. Księżniczka przywykła do tego. Teraz wpadła. Tkwi jak mucha w słoiku z miodem: niby słodko, ale nie można się wydostać. Zostanie tu jeszcze długo. Trzeba zatem poprawić sobie warunki bytowania. Wyrwać się spod kontroli babsztyla.

Co zatem robić? Miarą wolności są pieniądze. Trzeba wymyślić metodę regularnego ich zdobywania. Znaleźć źródło utrzymania, gwarantujące jakie takie zyski. Potem wynająć sobie mieszkanie. Babsko z domu dziecka przekupić albo zastraszyć. Księżniczka, jeśli chciałaby działać sama, będzie miała z tym poważne problemy, ale Kruszewskie pewnie zechcą jej pomóc.

A zatem rozbierzmy problem po kolei. Praca. Musi to być coś w miarę nieabsorbującego — chodzenie do szkoły zajmuje jej jednak sporo czasu, a musi uzupełnić wiedzę... W czym jest dobra? Potrafi strzyc owce, tkać, haftować, w Bizancjum uchodziła z intelektualistkę, co sprowadzało się do umiejętności czytania, pisanie i znajomości literatury antycznej... Cholera. Daleko na tym nie zajędzie w Polsce początków XXI wieku. Wie jak nastawić wino, wydestylować z niego rakiję, potrafi robić śliwowicę, w tym słynną palonkę — tylko że tu pędzenie bimbru jest zakazane. Zna się na ziołach, umie leczyć choroby owiec, wędzić sery. Gdyby mieszkała w Zakopanem, górale pewnie doceniliby jej doświadczenie... Chyba że w Polsce produkcja oscypków jest męskim zajęciem. Brak jej całej masy wiadomości. Owce i sery na razie odpadają. Była wiele razy służącą, ale nie lubi tego zajęcia.

Zresztą komu w dzisiejszych czasach potrzebna służba? W dodatku niepełnoletnia? Co gorsza, wśród potencjalnych pracodawców pewnie znaleźliby się jacyś „amatorzy cielęciny”, jak ten głupi Anglik, wtedy na Krecie, któremu musiała w końcu uciąć siurka, bo po dobroci nie chciał się odczepić...

Coś nieśmiało przebija się przez jej gorączkowe myśli. Podświadomość wysyła sygnały. Coś przeoczyła. Eureka! Stanisława załapała się na nauczycielkę tylko dlatego, że zna biegle kilka języków obcych. Księżniczka jest za młoda do pracy w tym zawodzie. Sto lat temu, mając

szesnaście lat, mogłaby bez problemu zostać nauczycielką lub guwernantką. Ale przecież nie musi być nauczycielką, by znaleźć pracę, przy której jej zdolności znajdą zastosowanie. W Krakowie na uniwersytecie z pewnością znajduje się katedra filologii klasycznej oraz zapewne wydział teologii, a zatem... Są studenci, którzy muszą przedzierać się przez całe wagony literatury greckiej i łacińskiej. Jest też z pewnością orientalistyka. Tam dla odmiany będą zgłębiali język turecki i ormiański. Poza tym filologia słowiańska, gdzie znajomość bośniackiego i serbskiego jest w cenie. Studenci są zazwyczaj dość leniwi i w wielu przypadkach mają do dyspozycji nieźle pieniądze.

To jej szansa: tłumaczenia i korepetycje, czy też, jak to nazywają, konwersacje. Trzeba tylko podszlifować jeszcze odrobinę polski. Rozumie już biegle, mówi nieźle, ale czasem trochę się zacina. Klasycznej łaciny uczyła się od ludzi, którzy mówili nią jeszcze na co dzień. Z greką nie będzie problemu, miała osiem lat, gdy trafiła do Myry. To prawie jej język ojczysty.

Uśmiecha się do swoich wspomnień...

* * *

W sumie to proste. Minikamera za dwieście złotych. Kupując trzydzieści można się nieźle wytargować. Jeśli zaś zdobędzie się je z przemytu, bez cel na optykę i elektronikę sięgających siedemdziesięciu procent wartości sprzętu, i bez podatku VAT, żrącego dalsze dwadzieścia dwa, można zejść poniżej dwudziestu złotych za sztukę... Do tego małe nadajniki o zasięgu około pięciuset metrów. Każdy trzeba nastawić na odrobinę inny zakres fal. Wszystkie należy zgrać tak, aby odbiornik nie miał problemów z odczytywaniem informacji. Wreszcie etap najtrudniejszy. Instalacja...

* * *

Zwyczajny poniedziałkowy wieczór w mieszkanku przy Plantach. Stanisława czyta sobie książkę. Dostała ją od kuzynki, ponoć to coś fajnego. Z pierwszych stron wydedukować można, że dzieło opowiada o przygodach egzorcysty — alkoholika. Tak, polska literatura zdecydowanie zeszła na psy... Ciekawe, swoją drogą, kto to napisał? Grafoman nieprzeciętny. Na wewnętrznej stronie okładki umieszczono fotografię autora. Paskudna gęba, zarośnięty jak artysta, nóż sam się w kieszeni otwiera... Stanisława ujęła w wysmukłą dłoń wachlarz i odpędziła dy-mek pachnący kalafonią, który napłynął z kuchni. Kuzynka Katarzyna pracuje. Zawaliła cały stół elektroniką, teraz coś lutuje. Od czasu do czasu smaruje łączone elementy kwasem siarkowym.

Dziwne zapachy nie przeszkadzają Stanisławie. Pracując w domu Sędziwoja przywykła do nich... Zresztą bywało, że cuchnęło tam znacznie gorzej, na przykład wtedy, gdy badał skład cielejącej krwi. Przez długie tygodnie zlatywały się muchy, a samo domostwo przesiąkło iście

trupim odorem... Albo wielkie powietrze, epidemia dżumy w 1624 roku. Powszechnie sądzono wówczas, że woń gorącego octu ziołowego pozwala przeżyć chorym i uniknąć zakażenia zdrowym. Od tamtej pory ten zapach przyprawia ją niemal o histerię...

Kuzynka działa powoli i metodycznie. Opracowała schemat, zrobiła prototyp, wypróbowała... Nie spieszy się. Wszystko musi być wykonane bardzo starannie i zabezpieczone woskiem. Wprawdzie liczy na to, że już pierwszy dzień obserwacji przyniesie konkretne i wymierne efekty, ale z przyzwyczajenia montuje kamery tak, aby mogły wytrzymać co najmniej pół roku. W CBS chwalono ją za to, że myśli z wyprzedzeniem... Ale z drugiej strony, tak przecież trzeba. Zawsze musi być pewien margines błędu, rezerwa na czarną godzinę... Teraz jeszcze kontrola sprzętu. Gdzie wypróbować urządzenie? Najlepiej w jakimś neutralnym miejscu, gdzie przewala się dużo ludzi. Zna takie jedno opodal. Szkoła.

— Wychodzę! — woła w głąb mieszkania.

Kuzynka Stanisława mruknęła coś cicho, ale nie oderwała wzroku od książki...

Jak zawiesić szpiegowską aparaturę w samym środku miasta, przy dość ruchliwej ulicy? A co za problem? A zatem drelichowy kombinezon, śrubokręt wystający z kieszeni. Włosy spięte w kucyk, bejsbolówka koloru kombinezonu na głowę.

Cięć mieszka na parterze, w głębi podwórza. Katarzyna energicznie wali do jego drzwi. Otwiera pijany jak bela, wściekły. Obrzuca ją nienawistnym spojrzeniem. Gęba pokryta trzydniową szczecią, owłosione łapska, mord w oczach. Nie wolno dopuścić, aby zaczął się zastanawiać.

— Potrzebuję trzymetrowej drabiny, najlepiej aluminiowej, z szerokimi szczeblami i zaczepem — aby kogoś kompletnie skołować, najlepiej zażądać od niego natychmiastowego dostarczenia czegoś, czego za żadną cholere nie będzie w stanie zdobyć...

— Yyyy — dozorca spogląda z przerażeniem na dziewczynę.

— Człowieku, z życiem, przecież nie będę instalować czujnika po ciemku!

W CBS wyjaśnili jej dokładnie, że najważniejszą częścią potyczek słownych jest wyrobienie w przeciwniku głębokiego poczucia winy. Wreszcie cięć drepcze do pakamery i wyciąga długą, żelazną drabinę, uświnioną, jakby nią ziemię rył. W miejscach, gdzie korozja odsądziła lakier, połyskuje ruda rdza.

— Przetrzyj ją pan jakąś szmatą — wydaje dyspozycję i spogląda z naganą na zegarek.

Trzeba dać mu do zrozumienia, że zabiera jej cenny czas. Klnąc pod nosem mężczyzna czyści szczebelki kawałkiem starego waciaka. Wreszcie zarzuca drabinę na ramię.

— Dokąd? — pyta.

Urzednicy z administracji nieźle go kiedyś wytresowali. Tylko chla tyle, że wszystko dokumentnie zapomniał. Trzeba mu przywrócić świadomość klasową.

— Czujniki wiesz się od ulicy... — w głosie Katarzyny brzmi nagana. — Chyba że woli pan mierzyć natężenie ruchu samochodów tu, na podwórzu...

Drepcze posłusznie przed bramę. Oparła drabinę o mur, ustabilizowała. Kazała potrzymać. Nad wejściem znajduje się akurat odpowiednia półeczka, stworzona przez szeroki, stiukowy portal. Dziewczyna wyjmując z plecaka akumulatorową wiertareczkę i szybko instaluje kamerę. Laptop, kabelek, ustawienie ostrości. Dokręca śrubkę poprawiając kąt widzenia. Gotowe. Wyczepia kabel, zamyka komputer. Schodzi po szczebelkach.

— Dziękuję za współpracę. Zgłosimy się za miesiąc.

Odchodzi bez pożegnania. Dozorca długo stoi pod drabiną, wreszcie odrywa ją od ściany i niechętnie człapie z powrotem do komórki na podwórzu.

— Diabli nadali inspektorke — mruczy pod nosem.

Inny na jego miejscu zastanawiałby się, co i w jakim celu zainstalowano na budynku, którym się opiekuje, ale jego myśli zaprzęta wyłącznie niedokończona flaszka stojąca na stole...

* * *

Dachy można wymieniać na kilka sposobów. Można zamówić brygadę budowlaną. Rozgrzebią robotę, będą się — mówiąc fachowo — opierniczali przez dwa miesiące... Wreszcie odwalą totalną fuszerkę i zostawią po sobie koszmarny bałagan. Trzeba się liczyć także z tym, że połowa materiałów wyparuje w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach. Cena, której zażądają, będzie odwrotnie proporcjonalna do jakości pracy. Można też wynająć górali. Ci zrobią szybko i w miarę dokładnie, ale popyt na ich usługi jest wysoki i, niestety, ostatnio podśrubowali ceny. Nie należy ich ganić, pracują legalnie i muszą płacić horrendalne podatki oraz składki na ZUS. Można zatrudnić górali na czarno. Wyjdzie o dobrą jedną trzecią taniej. Ale nadal jest to drogo...

Materiały budowlane dzielą się na dwie kategorie. Dobre i złe. Na jakości nie należy oszczędzać. Po co robić tandetę, którą za pięćdziesiąt lat trzeba będzie wymienić? A zatem materiał musi być najlepszy. Tu znowu mamy do dyspozycji materiały drogie i tanie. Te drogie to towar z fakturą. Zarejestrowany obrót producenta obciążony składką na ubezpieczenie robotników oraz podatkiem. Ten sam materiał bez faktury można kupić o jedną trzecią taniej.

Alchemik pojawił się o szóstej rano. Przez wąską bramę na zaśmiecone podwórko wjechały dwie ciężarówki wyładowane dechami, belkami, łatami, sklejką, styropianem, blachą i masą innych produktów. Zaraz też pojawiło się dwudziestu robotników. Zręcznie wdrapali się na dach i z ogromną wprawą przystąpili do demontażu nadwątłonej konstrukcji. O ósmej ze swego mieszkania wyrzwał właściciel kamienicy.

— Sprawnie im idzie — ocenił.

— Fachowcy najwyższej klasy — potwierdził Alchemik.

— Coś śniadzi ci fachowcy — zauważył w zadumie staruszek. — Skąd pan ich wytrzasnął?

— Powiedzmy że to uchodźcy. Z Kosowa.

Dziadek wyszczerzył w uśmiechu poźółkle od nikotyny i kawy zębiska.

— Powiedz pan z Czeczenii, to może uwierzę...
— Abchascy górale — Sędziwój spoważniał.
— Abchazja, coś mi to mówi...
— Dawniej prowincja Gruzji. Teraz się odrywa. To taki mały kraik na przedgórzu Kaukazu... Od Czeczenii dzieli ich całe pasmo górskie — alchemik nie wie, czemu dziadek ma coś do Czeczenów, ale woli wyjaśnić łopatologicznie.

Demontaż starego dachu, jeśli używa się nowoczesnych narzędzi, trwa stosunkowo krótko. Zerwali wszystkie dachówki. Nie nadają się już do ponownego użycia, ale zostały skrzętnie zgromadzone. Dalsza rozbiórka to robota dla dwudziestu chłopów na czternaście godzin. Robotnicy spali na dachu, dwu pilnowało materiałów. Jeszcze by lokatorom coś głupiego do łbów strzeliło...

Elementy konstrukcyjne z drewna klejonego. Szkielet postawili następnego dnia. Jeszcze jeden dzień zajęło im wykonanie pokrycia wewnętrznego i zewnętrznego oraz izolacji. Wreszcie robota najtrudniejsza: na nowy dach trzeba nałożyć warstwę starych dachówek, tak aby wyglądał z grubsza jak przed zmianą. Po co mają się czepiać cwaniaczki z nadzoru budowlanego?

* * *

Księżniczka Monika zrezygnowała z prób nawiązania kontaktu ze współlokatorkami. Nie dogadają się, choć są „rówieśniczkami”. Wszelkie porozumienie wykraczające poza zdawkowe uprzejmości okazało się niemożliwe. Czasem tak bywa. Dziewczyny siedzą we trójkę i plotkują o życiu jakichś idoli — przygłupów. Potwornie tracą czas. Są przecież ciekawsze rzeczy, o których można podyskutować. Przeżywszy przeszło milenium, nauczyła się cenić każdą spokojną chwilę. A zatem słuchawki na uszy. Siadła na łóżku po turecku, oparła się o ścianę i wcisnęła *play* na walkmanie ukrytym w kieszeni szarej koszuli.

Pobliska biblioteka ma specjalny dział przeznaczony dla niewidomych czytelników. Można tam pożyczać nagrania książek na kasetach magnetofonowych. Słucha całymi godzinami. Oswaja się z językiem. Nieważnie, kiedy znów ruszy w drogę, tak czy inaczej, jeszcze jedno opanowane narzędzie może jej się kiedyś przydać...

Ale nie chce stąd odchodzić. Stanisława... Miło spotkać kogoś, kto ją rozumie. Kogoś o podobnych doświadczeniach. Kogoś, kto pamięta jak dotkliwie gryzą pluskwy i jak niewiele światła daje oliwny kaganek. Dobrze mieć przyjaciółkę, która potrafi zrozumieć nas w pół słowa. I w sumie nie ma znaczenia ile mają lat. Bo i jak to liczyć? Przeżyła przeszło tysiąc. Nauczycielka raptem czterysta. Zużycie biologiczne organizmów jest zbliżone. Doświadczenie życiowe? Tu można by się spierać. Co lepsze: setki lat mieszkania w niewielkich bałkańskich, bizantyjskich i kaukaskich wioskach, czy czterysta lat włóczenia się po wszystkich zakątkach globu?

W czasie, gdy ona pędziła kozy na pastwiska, czując na sobie taksujące spojrzenia wioskowych starców, Stanisława stała się naprawdę światową damą. Jej charakter ukształtował się w miejscach, gdzie życie biegło szybko... Nie ma co porównywać.

Nie potrafi wyobrazić sobie nauczycielki inaczej, niż z książką w dłoni, podczas gdy ona czasem i przez dziesięć lat nie miała okazji przeczytać nic nowego... Gdy się urodziła, była księżniczką. Parę razy w życiu używała tego tytułu. Miała kilka domów... Potem fortuna odwróciła się, Monika była na górze, i znowu na dole...

Przymyka oczy. Najlepiej w sumie było w Gruzji. Lud pierońsko zabobonny. Raz żyła całe sto dwadzieścia lat we wsi i wszyscy wiedzieli, że jest wampirzycą, która nigdy się nie zestarzeje... Nie przeszkadzało im to. Postęp zaciska się pętlą na jej gardle. Wojny w Jugosławii miały jeden pozytywny aspekt. Totalny bałagan w papierach urzędów ewidencji ludności pozwolił jej stworzyć sobie fałszywe tożsamości... Ale teraz trafiła do bardziej cywilizowanych regionów Europy i zaczynają się kłopoty.

Jednocześnie czuje, że coś dziwnego wisi w powietrzu.

* * *

— Ze statystycznego punktu widzenia to niemożliwe — wyjaśnia Katarzyna.

Stanisława uciera w moździejku kardamon. Mało kto potrafi docenić niezwykle właściwości tej przyprawy. Alchemiczka unosi głowę i patrzy zaciekawiona na kuzynkę.

— Dlaczego?

— Ilu może być nieśmiertelnych? Na całym świecie?

Kuzynka milczy patrząc przez okno.

— Kamień filozoficzny podobno umieli uzyskać tylko Seton i Sędziwój — odzywa się. — Przy tym ten ostatni dostał recepturę od Setona. Wcześniej ponoć miał go Kelley, Anglik błąkający się po Europie Środkowej. Ale on nie umiał tego wytwarzać. Znalazł w starym grobie kulę z kości słoniowej wypełnioną proszkiem... A przynajmniej tak twierdził...

— Zastanawia mnie, czy przypadkiem... Jak stara jest alchemia? Chodzi mi o ideę.

— Hermetyści zawsze twierdzili, że sięga początków stworzenia, Hermesa Trismegistosa i inne takie bzdury. Sędziwój śmiał się z tego. Ale pod koniec XIX wieku znaleziono archiwa królów Asyrii w Niniwie, a wśród nich traktat zatytułowany „Wrota pieca”, pochodzący z VI wieku przed naszą erą.

— Jeśli wtedy stworzono tynkturę po raz pierwszy, to mogą po naszej planecie wędrować ludzie dwa lub trzy razy starsi niż Monika.

— Owszem. Ale nie sędzę. Statystyka, którą tak lubisz, wyklucza ich istnienie. Za którymś razem po prostu nie zdąży się uciec... Albo spadnie ze schodów.

— Niepokoi mnie ta mała. Jakie jest prawdopodobieństwo, że wampirzyca wpadnie właśnie na ciebie?

— Może coś ją przyciągnęło. Telepatia albo...

Katarzyna już wcześniej zauważyła, że myśli jej kuzynki są trochę leniwe. Brak jej sztuki dedukcji; umysł ma lotny, ale niekiedy zacina się. To kwestia innego wychowania, tego nie mogło zmienić doświadczenie życiowe...

— Telepatia... liczymy, że takich jak ty jest kilkaset. Zakładając, że alchemicy obdarzali tynkturą swoich uczniów, współpracowników i tak dalej...

— Mało prawdopodobne — wtrąciła.

— Dobra. Oblicz ile może być takich jak ty.

— Kelley nie żyje. Seton nie żyje. Avicenna... — zawahała się — nie wiem, to było kilkaset lat przed moimi narodzinami. Z uczniów Sędziwoja żyje jeszcze poza mną dwójka. Jeden to Jan Kopanicki, spotkałam go kilka razy; jakoś nie przywiązywał wagi do swego prawdziwego nazwiska. Jakie nosi obecnie?

— Skórzewski.

— Też ładnie... Sędziwój, o ile żyje... Nigdy nie spotkałam dwu pozostałych, a po tylu latach nawet nie pamiętam ich imion.

— Nie żyją — wyjaśniła Katarzyna, — dopadli ich ci, którzy usiłowali dorwać cię w szkole...

Zreferowała poznane w archiwach wyniki śledztwa.

— Kurczę, do dziś się zastanawiam, skąd oni wiedzieli?

— Mam hipotezę. Ktoś was wystawił. Ktoś, kto znał dobrze sekret Sędziwoja.

— Jest jeszcze jeden. Dymitr... — przypomniała

— Hmm. No właśnie. I o czym rozmawialiście?

W Katarzynie poprzedni zawód wyrobił pewne nawyki.

— Zapytałam o Sędziwoja. Powiedział, że od dawna go nie widział. I narzekał, że życie mu zbrzydło. A, chciał też wiedzieć, czy mieszkam w Krakowie. Tyle.

— Tamci dwaj zostali zamordowani w Krakowie... Mógł ich po prostu wystawić. Wyobraź sobie taką sytuację... Dymitr lubi sobie pożyc na wysokim poziomie i od czasu do czasu zabawić się.

— Fakt. Garnitur, który nosił, wyglądał jak prosto z katalogu...

— Ma do dyspozycji zapas tynktury, ale jak wiesz, można jej użyć na dwa sposoby. Albo przerobić na złoto, albo żyć dłużej. Złoto to pieniądze... Ale za posiadanie pieniędzy zapłacić musi krótszym życiem. Chyba że...

— Znajduje kilku mocno religijnych ludzi. Wmawia im, że jesteśmy wampirami, zresztą nieważne, co im powiedział. Tamta dwójka ginie w odstępie kilkunastu lat. Potem przychodzi kolej na mnie...

— Właśnie. Przy każdym zabitym znajduje porcję tynktury. Zresztą może nie zawsze się to udawało. Z pewnością nie wszyscy trzymali ją w domu albo przy sobie.

— Jeśli to prawda... — sięgnęła do torebki i wyjęła nagana.

Zakręciła bębenkiem. Sześć kul zawirowało w śmiertelnym tańcu.
— Właśnie, czy to prawda? Bo możemy się mylić — uspokoiła ją kuzynka.
— Jak to zweryfikujemy?
— Jeśli to on, niebawem należy liczyć się z odwiedzinami kilku skrytobójców...
— Ustalenie adresu nie będzie łatwe.
— Ale mogą cię wyśledzić. Trzeba zachować środki ostrożności...
— Co proponujesz?

* * *

Księżniczka Monika śmiga na łyżworolkach Plantami. Nieźle jej to idzie. Jakieś sześćdziesiąt lat temu jeździła na wrotkach, ale równoległe ustawienie kółek nie dawało takich możliwości jak obecne rozwiązanie...

Łyżworolki dostała od Stanisławy. Nauczycielka najwyraźniej zaakceptowała to, że żyje ponad tysiąclecie, ale podświadomie traktuje ją jak szesnastolatkę. I bardzo dobrze. To w obecnych czasach całkiem fajny wiek. Nie wymagają od człowieka odpowiedzialności... W Bizancjum już w jako czternastolatka była uważana za dorosłą kobietę. Jej kuzynka wyszła za mąż w wieku dwunastu lat, co nie było wcale czymś nadzwyczajnym. Przyjemnie czasem na parę godzin uwolnić się od trosk, które niesie ze sobą dojrzałość...

Pędzi naprawdę szybko. Kiedy to ostatni raz jeździła na łyżwach? W 1913? Chyba tak, rok przed wojną, która unicestwiła niepodległą Serbię i kilka innych krajów. A przecież od razu odnalazła tamten rytm.

Pęd powietrza rozwiewa jasne włosy. Przechodnie odprowadzają ją wzrokiem. Na uszach ma słuchawki od walkmana. Przemyka koło trzech policjantów. Jeden z nich ogląda się zaskoczony.

— O rany, jaki śliczny cielaczek — mówi.

Dlaczego wszystkim kojarzy się z tym właśnie zwierzątkiem? Pozostali kiwają głowami. Przeleciała koło nich tak szybko, że nie zdążyli dostrzec twarzy, a jedynie rozmazaną smugę złocistych włosów.

Mija przejście podziemne prowadzące w stronę dworca kolejowego i przyspiesza. Tu trasa prowadzi nieco w dół. Jeszcze szybciej. Szkoda, że musi uważać przeskakując ulice przecinające Planty. Ten, kto projektował ten zabawny park wokół Starego Miasta, powinien iść na całość i zaorać także uliczki. Budynek Akademii Muzycznej. Dziewczyna mija grupkę roześmianych studentek. Futerały na instrumenty. Może warto kupić sobie skrzypce? Gra uspokaja... Ale czy musi się uspokajać? Tak. Szósty zmysł podpowiada jej, że coś wisi w powietrzu. No to kupi. Jak tylko zdobędzie pieniądze.

Wawel. U stóp wzgórza, niemal dokładnie pod basztą zwaną Kurzą Stopką, stoi wyciosana z piaskowcowego bloku kopia pogańskiego posągu. Powszechnie zwany jest Światowidem, choć przedstawia Swarożycza. Wokoło płonie kilka zniczy. Paganie trzymają się mocno.

Spluwa finezyjnie na ten widok. Była chrześcijanką jeszcze w czasach, gdy miejscowe dzikusy zarzynały niemowlęta na ofiarę swoim bałwanom. Podjazd na wzgórze jest stromy i pokryty brukiem. Z boku ciągnie się wąski chodnik... Ostry kąt, ale ona się nie poddaje. Brama. Wjeżdża na teren zamku. Gdzieś tu jest ławeczka. Tak. Resztki ruin na dziedzińcu, odkryte i zabezpieczone przez archeologów, odcinają się jasną barwą wapiennej skały na dużym trawniku. Wokoło betonowe bloki wpuszczone w podłoże służą jako ławki. Siada na jedynym wolnym i wsłuchuje się w reakcje swojego ciała. Lekko się zadyszała, serce bije jak werbel, wygrywając triumfalną nutę. Końska krew krąży w jej żyłach, pot pachnie trochę inaczej. Ale za kilka dni to minie. Dzień jest piękny, świetlista złota polska jesień.

Przekłada kasetę na drugą stronę. Jeszcze pięć minut i ruszy dalej. Na sąsiedniej ławce siedzi chłopiec, na oko sądząc, czternastoletni. Zatopił się w lekturze jakiejś opasłej księgi. Dobrnął do końca rozdziału i zatrząskuje ją z ulgą. Kładzie na nagrzanym słońcem desce, tytułem do góry.

Młody człowiek unosi twarz do słońca, przymyka oczy porażone jego blaskiem. Potem przetacza wzrokiem po zabudowaniach Wawelu i nieoczekiwanie spostrzega dziewczynę. Przez ułamek sekundy kontempluje jej urodę, prześlizguje się po twarzy i spuściwszy wzrok zauważa rolki. Uśmiecha się nieśmiało, tak jak można uśmiechnąć się na widok pięknej i nieznajomej dziewczyny. Potem wydobywa z torby kolejny opasły tom.

Księżniczka wstaje. Jeszcze chwila na rozruszanie kostek oraz stóp i może pędzić dalej. Teraz będzie z górki. A potem? Chyba lekkie wzniesienie, gdy dotrze na Planty. A może pojechać przez miasto? Nie, część ulic jest brukowana, a nie pamięta które. Szkoda kółek. A zatem w drogę. Chłopiec odkłada książkę i odprowadza dziewczynę wzrokiem. Jego spojrzenie jest czyste i jasne. Nie ma w nim pożądania, a jedynie zachwyt. A ona już pędzi w dół, mijając długi mur zawieszony tabliczkami z nazwiskami sponsorów, którzy przyczynili się do konserwacji zamkowego wzgórza. Od dawna jest tam wyjątkowo koszmarny, nierówny bruk. Poza tym zjazd jest bardzo stromy i praktycznie kończy się na ruchliwej ulicy. Ale radzi sobie. Kółka są z twardej gumy, listwy — z włókna węglowego. Utrzymanie równowagi to fraszka.

* * *

Katarzyna siedzi wygodnie na obrotowym krześle przed komputerem. Jej kuzynka musiała jakoś przeboleć ustawienie tego szumiącego pudła w saloniku, choć nowoczesne urządzenie zupełnie nie pasuje do zagraconego starymi meblami wnętrza. Alternatywą było umieszczenie maszyny w sypialni... Katarzyna potrafi całymi dniami oddawać się pracy. Cóż, jest przedstawicielką nowej epoki. Stanisława nadal bardziej wierzy w potęgę kartki papieru i długopisu. Gdy robiła interesy na pograniczu Sudanu i Etiopii, wystarczały jej zeszyt i wieczne pióro. Wiedziała kto, kiedy i za ile... Ale skoro komputery mogą im pomóc, należy z nich skorzystać.

Kuzynka Katarzyna stuka spokojnie w klawisze. Obrabia fotografię z prototypowej kamery. — Hmm — mruczy do siebie.

— Znalazłaś coś?

— Zobacz sama. Wczoraj zawiesiłam kamerę o szesnastej z minutami. A tutaj... — pokazuje zdjęcie zrobione o dwudziestej.

Światło latarni wydobyło z mroku sylwetkę człowieka stojącego w drzwiach szkoły.

— Nauczyciel biologii. Jak mu tam, Sieklucki — identyfikuje Stanisława. — Dziwne... Czego szukał o tej porze w miejscu pracy? Przecież zajęcia dodatkowe skończyły się o szesnastej.

— To jakiś dziwny typ — Katarzyna marszczy brwi. — Wyczuwam w nim coś niepokojącego.

— Ja też — kiwa głową Stanisława. — Ma jakieś wredne spojrzenie. Uczennice też go chyba nie lubią.

— Niewiele wiemy o naszych podopiecznych. Ale, z drugiej strony, nic nie stoi na przeszkodzie, by uzyskać więcej informacji. Mamy wśród nich potencjalna agenturę.

Starsza z dziewcząt uśmiecha się. Jej kuzynka na skutek pracy w CBS nabrała dziwacznych przyzwyczajęń...

— Masz na myśli Monikę?

— Właśnie. Nasza mała wampirzyca... Wampirka? Cholera, nie wiem jak to odmienić czy zdrobnić.

* * *

Długa przerwa. Monika wymyka się ze szkoły. Pół godziny to sporo czasu. Zakłada rolki. Pięć minut naprawdę szybkiej jazdy. I już. Nieduży salon, gdzie można kupić telefon komórkowy. Lokal mieści jeszcze lombard i komis sprzętu elektronicznego. Wypytała Katarzynę, jak działa komórka i teraz, zadowolona, nabywa elegancki, choć tani, aparat oraz kartę startową. Zapisuje sobie na kawałku papieru numer i uśmiecha się w duchu. Nosila książęcy diadem. Posiadała w swojej biblioteczce książki, za które obecnie każdy antykwariusz dalby sobie odciąć rękę. Kiedyś, dawno temu, miała własną willę nad brzegiem Morza Śródziemnego i niewolnicę do posług. Jeździła kareta i na klaczy czystej krwi arabskiej. Na łydce nosi sztylet z bułotowej stali, dla kolekcjonera wart każdych pieniędzy. Nigdy jeszcze nie miała własnego telefonu... Sprawdza. Aparat działa..

— Czym jeszcze możemy służyć? — pyta z rozbawieniem sprzedawca.

Nie zorientowała się, że to żart. Jej spojrzenie przesuwają się po wystawionych na półkach urządzeniach. Przy każdym jest kartka z ceną. Decyduje się w ułamku sekundy.

— Poproszę to.

Spogląda na zegarek. Lekcje zaczynają się za sześć minut. Całe szczęście, że teraz czas na informatykę z Katarzyną. Wybaczmy drobne spóźnienie. Gdyby to był francuski z jej kuzynką, zostałyby zrugana za każdą minutę oddzielnie...

* * *

Lubi pracować nocami. W Polsce jest dwudziestoprocentowe bezrobocie... A ona znowu miała szczęście. Wpadła na filologię, zawiesiła swoje ogłoszenie i nim zdążyła wyjść z budynku, telefon zadzwonił dwa razy. Dwaj pierwsi klienci nieco się zdziwili na widok jasnowłosej szesnastolatki. Krótka wymiana grzeczności po łacinie i w grece rozwiała ich wątpliwości. Potwierdzili jej przypuszczenia. Rynek na te usługi jest głęboki. Zwłaszcza, że oferuje konkurencyjną cenę, o połowę mniej niż normalni tłumacze. Dostała nawet zaliczkę.

Stary, używany laptop z procesorem 486 i czarno-białym wyświetlaczem kosztował zaledwie czterysta złotych. Bardzo dobra inwestycja. Jest na tyle niewielki, że można go upchnąć w torbie. Monika Stiepankovic siedzi sobie na krawędzi wanny. Szparę pod drzwiami łazienki zabezpieczyła zrolowaną szmatą od podłogi: lepiej żeby blask nie padał na korytarz.

Regulamin wprawdzie nie zabrania zajmowania się nocami pracą zarobkową, ale ma dziwne przeczucie, że gdyby została nakryta, skończyłoby się to dziką awanturą. Poza tym jest punkt mówiący o tym, że światło musi być zgaszzone o dwudziestej drugiej. Nie jest pewna, czy odnosi się on tylko do pokoju, czy także do łazienki.

Kilkanaście kartek ksero pokrytych tekstem przyszpiliła do ściany. Greka odrobinę różni się od tej, której używała mieszkając w Myrze, ale radzi sobie bez słownika. Palce uderzają w klawisze bardzo szybko, lecz nie jest w stanie zrobić więcej niż cztery strony tłumaczenia na godzinę. Zegar w rogu ekranu pokazuje drugą. Pora się trochę zdrzemnąć, bo jutro będzie nieprzytomna. Zapisuje pracę i składa laptopa.

* * *

Ósma rano. Uczennice jeszcze drzemią. Siedzą w ławkach, ale powieki wyraźnie im ciążyą. Pracownia biologiczna nie należy do sympatycznych miejsc. Długie, stare, drewniane gablotki ciągną się wzdłuż wszystkich ścian. Zostawiono tylko miejsca na okna. W gablotach stoją słoje pełne rozmaitych preparatów, zazwyczaj dość obrzydliwych. Do tego kompletny ludzki szkielet przechyla w zadumie czaszkę. Jest prawdziwy, można to poznać po kolorze kości. Gipsowe kopie są innej barwy. Koło tablicy, w wysokim terrarium, na wielkim drewnianym konarze wygrzewa się kilka węży. Znacznie więcej mieszka w akwariach na zapleczu.

Nauczyciel mówi spokojnie referując temat lekcji. Jednocześnie, lekko przymrużywszy oczy, obserwuje dziewczęta. Monice nie podoba się jego spojrzenie. Raz w życiu, gdy w XIV wieku Turcy najechali armeńskie wsie u stóp Araratu, trafiła w ręce handlarzy niewolników. Paskudna wpadka, cholernie nie lubi zabijać, a wtedy musiała aż jedenastu na raz... Sieklucki ma takie samo spojrzenie, jak oni. Patrzy na klasę, jakby szacował wartość żywego towaru. Na jego wąskich jak u węża wargach błąka się mimowolny uśmieszek. To bydlę kombinuje coś naprawdę wrednego. Ciekawe co? Tak czy siak, trzeba będzie zwrócić na niego uwagę... Księżniczka jest zła. Przyjechała do Polski, by trochę odetchnąć... Atmosfera zagrożenia nie sprzyja wypoczynkowi.

Biolog przerywa wykład i wydaje krótkie, treściwe polecenie. Trzeba przeczytać kawałek podręcznika i wypełnić ćwiczenia na końcu rozdziału. Znika na zapleczu. W sześciu szklanych butlach, wypełnionych pożywką, ciemniejszymi plamami odznaczają się krople starej szczepionki znalezionej w zrujnowanej aptece. W pięciu bańkach nic się nie zmieniło. Za to w szóstej... Tak, wzrok go nie myli. W szóstej najwyraźniej coś się zaczyna dziać. Plama powiększyła się wyraźnie. Szlifowany korek dodatkowo podlano olejem. Butla jest całkowicie szczelna, a mimo to profesor czuje liźnięcie chłodu na karku. Gdyby tak szkło pękło...

Wyjmuje z kieszeni telefon komórkowy. Ma w niego wbudowany kalkulator. Liczy. Szesnaście uczennic. Wszystkie urodzone po 1983 roku. Prawdopodobieństwo zakażenia siedemdziesiąt pięć procent, po dwanaście sztuk z każdej klasy. Sześćdziesiąt do osiemdziesięciu w szkole... Obliczał to już wielokrotnie. I za każdym razem wychodzi mu podobny wynik. Te głupie krowy będą warte milion dolarów.

Jak to zrobić? Bardzo prosto... Aż dziwne, że nikt przed nim na to nie wpadł... Dłonią delikatnie muska gładką powierzchnię szkła. Najlepsze rozwiązania najtrudniej wymyślić. Nawet jemu zajęło to kilka lat. Ale jeszcze trochę i będzie bogaty. Ile podziałów komórkowych muszą przejść bakterie, by zamienić się w pełnowartościowy materiał?

* * *

Historia. To może być ciekawe. Nauczycielka mówi o czasach wypraw krzyżowych, oblężeniu i upadku Konstantynopola. Niewiele wie na ten temat, nie chciało jej się nawet solidnie doczytać.

Monika Stiepankovic napina się wewnątrz. Denerwuje ją bezrefleksyjność wykładu. Dla historyczki to tylko data w książce. 29 maja 1453... Dla niej — makabryczna noc, gdy pod ogniem tureckiej artylerii padły odwieczne mury. Chaos, pożar, paniczna ucieczka ze świadomością, że w zasadzie nie ma dokąd... Zostawiła za sobą więcej trupów niż kiedykolwiek wcześniej czy później. Turcy trzy dni i trzy noce grabili miasto oraz mordowali mieszkańców... Trzy dni wdzierali się do domów i kościołów, zabijali mężczyzn, gwałcili kobiety. Pod koniec trzeciego dnia znalazła w rynsztoku zwłoki kuzynki. Wtedy po raz ostatni widziała kogoś ze swego rodu...

Kolejne lata, Konstantynopol upadł, ale jego dominia jeszcze trwały. Wtedy łudziła się, że znajdzie sobie miejsce, gdzie mogłaby żyć... Ale kraje na Bałkanach ginęły jedno po drugim. I wreszcie nie było dokąd uciekać... Czuje na nodze dotyk skórzanej pochwy. Bułatowy sztylet był przy niej tamtej nocy. Ile razy musiała zabijać? Już drugiego dnia pogubiła się w rachunkach...

* * *

Ciepłe, jesienne popołudnie. Stanisława prowadzi swoją kuzynkę i księżniczkę Monikę ulicą Floriańską. W którymś z pobliskich zaułków uruchomiono gruzińską restaurację. Lekcje skończyły się wcześniej, pora akurat obiadowa. Należy zatem spróbować prawdziwego chaczapuri i popić je łykiem wina ałazni. Zeszły rok był w Gruzji czasem urodzaju na winogrona. Młode wino, dojrzewające w podziemnych stągwiach, na dobrze nasłonecznionych stokach opodal klasztoru Szwiomgwime, nie ma sobie równych. Niech się schowają francuskie sikacze...

Księżniczka poczyniła znaczne postępy w poznawaniu subtelnych niuansów polskiego języka, toteż widząc na szyldzie napis „Piwnica pod złotą pipą”, parsknęła delikatnym, dziewczęcym śmiechem.

— A cóż to za wszeteczny lokal?

— Pipa to chyba staropolskie zdrobnienie imienia Felicja? — Katarzyna podniosła wzrok na kuzynkę. Stanisława kiwnęła głową.

— Dawniej nazywano tak urządzenie służące do pompowania piwa z beczki — wyjaśniła i pociągnęła je dalej.

Głód nieco jej już dokuczał. Wprawdzie umiała wytrzymać bez jedzenia nawet kilka dni, ale trudno zaliczyć to do przyjemności.

* * *

Podziemia starej części Krakowa ciągną się kilometrami. To zupełnie inny świat, niedostrzegalny z powierzchni. Z niepozornej bramy schodki prowadzą w dół. A potem zaczyna się labirynt. Jedna piwnica, pasaż, druga, dziesiąta... Czasem leżą na jednej kondygnacji, czasem na dwu lub trzech. Zazwyczaj jeden system zajmuje przestrzeń pod jedną działką miejską. Czasem jednak, jeśli kilka kamienic przy ulicy należało do tej samej osoby, ich lochy łączą się ze sobą. Ba, trafiają się nawet eksterytorialne korytarze biegnące pod posesjami sąsiadów.

Kraków od dawien dawna był miastem kupieckim. Niegdyś w tych przepastnych podziemiach kwitło życie. Po zamurowanych dziś pochylniach staczano i wytaczano beczki z piwem, miodem i węgrzynem. Przez szyby prowadzące na powierzchnię, na bloczkach zjeżdżały worki z towarami, okute drewniane skrzynie, pęki skórzanych kapci. Kupcy odeszli, pozostało po nich tylko tchnienie wielu szczęśliwych stuleci. Dziś w piwnicach rozłożyły się dziesiątki lokali. Restauracje, puby, winiarnie. Śpiewy i toasty biją w ceglane stropy spojone doskonałą XVI-wieczną zaprawą. Do lochów, po latach zaniedbania, powróciło życie.

W „Piwnicy pod złotą pipą” jest drogo, ale dość sympatycznie. Teraz, w porze obiadowej, nie ma specjalnie dużo klientów. W niedużej salce siedzi ich dwu. Gdyby Stanisława przypadkiem zajrzała do tego pomieszczenia, zdziwiłaby się zapewne niepomierne. Przy kuriach piwa obgadują swoje sprawy dwaj wspólnicy. Jeden z nich to jej stary znajomy, Dymitr, uczeń alchemika Sędziwoja. Drugi to Sieklucki, nauczyciel biologii z ich szkoły.

— Mam jej adres — powiedział biolog wyjmując z portfela kartkę złożoną we czworo. — Był w podaniu o pracę.

— Ciekawe tylko, czy autentyczny — westchnął drugi mężczyzna. — Mogła się dobrze zamaskować. Jesteś pewien, że to ona?

Wyjął z kieszeni fotografię wykonaną około 1880 roku i w zadumie obrócił ją w palcach.

— Całkowicie. Wyjaśnisz mi to?

Wahanie. Co powiedzieć kumplowi? Prawdę, półprawdę, skłamać?

— Ona żyje bardzo długo i nie starzeje się — odezwał się wreszcie. — Mój pradziadek i dziadek usiłowali ją dopaść.

— To przecież niemożliwe...

— Oczywiście — uśmiechnął się podsuwając mu zdjęcie. Wspólnik widział je wiele razy. Istotnie, podobieństwo prawie wyklucza pomyłkę.

— I co robimy dalej?

— No cóż, skoro wiemy, gdzie mieszka, trzeba będzie ją zabić.

— Tak po prostu zabić? — zafrasował się.

— No, nie zabić. Zlikwidować. Wampiry się likwiduje. Będziesz sobie potem mógł zrobić sekcję zwłok, to może być ciekawe. Nie mów, że masz opory. Twój błyskotliwy plan zdobycia milionów dolarów pochłonałby więcej ofiar...

— Niekoniecznie — zastrzegł natychmiast. — Zaraźliwość nie jest aż tak duża, a w obecnych czasach można to leczyć. Liczę się z tym, że liczba zgonów nie przekroczy dziesięciu procent.

— Naprawdę Światowa Organizacja Zdrowia przyznaje piętnaście tysięcy dolarów za każdy stwierdzony przypadek czarnej ospy? — zdziwił się Dymitr.

— Tak. I od 1974 roku nie odnotowano ani jednego. Choroba w zasadzie wymarła. A ściślej, została wytępiona przez człowieka. Aż do tej chwili. Mam na zapleczu pracowni ośmiolitrowy baniaczek, a w nim kultury bakterii wyizolowane ze starych szczepionek. Teraz powolutku się namnażają na pożywce... Trzeba będzie poczekać kilka tygodni.

— Potrzebujesz aż tyle? Nie patrz z takim wyrzutem, to ty jesteś fachowcem od mikrobiologii.

— Nie, wystarczy kilka kropli, ale problem w tym, że bakterie w szczepionce były chemicznie wykastrowane. Rozmnażają się bardzo wolno. Każde następne pokolenie przechodzi selekcję naturalną. Najsłabsze giną, najsilniejsze rozwijają się najszybciej. Po kilkudziesięciu cyklach odzyskują dawny wigor. Wtedy będzie można się pobawić.

— Czarna ospa...

— Można powiedzieć, że walczę o przywrócenie bioróżnorodności — uśmiechnął się lekko nauczyciel. — Ratuję przed ostatecznym wyginięciem gatunek istot żywych.

— Jasne... I w nagrodę zainkasujesz milion dolarów. Szkoda, że nie nagrodę Nobla.

— Jeśli ta Stanisława faktycznie jest wampirem i żyje ponad sto lat, to przebadanie jej organizmu może dać nam wiedzę wartą nagrody Nobla..

— Wybij to sobie z głowy. Twój plan z ospą jest wystarczająco ryzykowny...

Sztylety spojrzeń nad stołem. Spiskowcy znają się już ładnych kilka lat. Czasem się kłóca, ale przeważnie dogadują w pół słowa. Obaj jasno definiują swoje cele życiowe. Pożądamy władzy, jaką dać może najpotężniejsza ich zdaniem siła istniejąca na świecie. Forsa.

* * *

Gruzińska restauracja jest szalenie sympatycznym miejscem, ale Stanisława ma zastrzeżenia. Jej zdaniem lawasz należy smażyć na oleju wyciskanym z orzechów, zaś fakt, że w karcie nie ma żadnego gruzińskiego wina, woła o pomstę do nieba. Księżniczka i Katarzyna z trudem powstrzymują chichot. Po prawdzie ma nieco racji... Monika spędziła wiele lat w Gruzji i tajniki tamtejszej kuchni nie są jej obce.

Zjadły obiad i teraz przy kawałku ciasta można spokojnie porozmawiać.

— Jeśli numer z kamerami nie powiedzie się, trzeba będzie namierzyć Sędziwoja inaczej — zaczyna Katarzyna.

— Dlaczego miałyby się nie powieść? — kuzynka spogląda na nią z niepokojem.

— Nie mówię, że tak się stanie, ale trzeba zabezpieczyć się na wszelki wypadek. Tego typu polowanie przeprowadza się wielotorowo... Potrzebuję czegoś, co nasza sekcja behawioralna określa mianem portretu psychologicznego...

Księżniczka Monika siedzi obok i słucha w skupieniu.

— Mężczyzna w wieku około czterdziestu pięciu lat, ale wyglądający nieco młodziej — mówi Stanisława. — Lubił chodzić w brązowym płaszczu z białą kryzą po brodą... Oczywiście od dawna nie używa tego stroju.

— Lubił się dobrze ubierać, czy też może nie przywiązywał do tego wagi? — pyta Katarzyna.

— Zawsze nosił czyste szaty. W tamtych czasach było to dość niezwykle. Po prostu mało kto zwracał na to uwagę... On w pewien sposób nadążał za modą, a ściślej, narzucał otoczeniu swój styl.

Katarzyna notuje na kartce ubiór i stawia mały znak zapytania.

— Jego ulubione trunki? — pyta.

— O rany, lubił piwo. Tyle że wtedy każdy pił piwo, od małych dzieci po zniedołężniałych starców.

Była agentka przenosi zaskoczone spojrzenie na księżniczkę. Ta kiwa głową na potwierdzenie.

— Napój jak każdy inny — wzrusza ramionami. — Ale zupełnie nie przypominało waszego. Było gęściejsze i bardziej słodkie. I dużo słabsze. Zresztą na Bałkanach nie cieszyło się specjalną popularnością pijaliśmy raczej wino.

— Inne piwo — mruczy Katarzyna notując na kartce. — Mam pewien pomysł. Pijał wino?

— Czasami — jej kuzynka wyteża pamięć. — Zazwyczaj węgryna...

— Czyli tokaj — głośno myśli. — Wtedy był drogi?

— Owszem.

Notuje.

— Ulubione rozrywki?

Wzrok jej kuzynki pełen jest łagodnego wyrzutu.

— Rozrywki, moja droga, mieliśmy nieco inne niż wy. Czytało się Biblię i pobożne pisma, haftowało, grało w karty lub w kości, grało na instrumentach, czasem oglądało przedstawienia kuglarzy lub egzekucje złoczyńców. Ale od razu ci powiem, że z tego wszystkiego Sędziwojowi do gustu przypadło chyba tylko czytanie ksiąg. Spędzał nad nimi każdą wolną chwilę. Miał ich ze dwadzieścia, czyli, jak na tamte czasy, wcale pokaźny zbiorek.

— Tak... — mruczy cicho Monika. — Czasy upadku.

— Mała, nie pozwalaj sobie — Stanisława z miejsca się nastroszyła. — Dwadzieścia ksiąg to była niezła biblioteczka...

— Miałam przeszło sześćset zwojów papirusu w Myrze — wampirka spogląda wyzywająco. — Trochę klasyki, ale też pisma religijne, poezję... Żyliśmy na zupełnie innym poziomie.

— Może to dlatego, że byłaś księżniczką? — zauważa Katarzyna.

— Może — to już przyznanie się do błędu.

— Książki — dopisuje agentka. — Mało tego...

— A co chcesz zrobić? — Stanisława zapomina o kłótni niemal natychmiast. Nie chowa długo urazy.

— W sumie to dość proste. Wytypować ulubione rozrywki i egzotyczne produkty spożywcze, do których jest przyzwyczajony. Włamać się do baz danych banków działających w systemie kart kredytowych Visa. Poszukać ludzi, którzy będą robili zakupy według określonego przez nas algorytmu, z uwzględnieniem konkretnych grup produktów. Potem, po ustaleniu numerów kart, rąbnąć dane z centralnego archiwum klientów i obejrzeć sobie zdjęcia...

Monika Stiepankovic i Stanisława Kruszevska urodziły się bardzo dawno temu. Ich doświadczenie życiowe determinuje sposób patrzenia na rzeczywistość. Dziesięć ostatnich lat istnienia Internetu to dla nich ledwo zauważalny detal historii. Zwłaszcza, że obie żyły w krajach, gdzie tego typu rozwiązania techniczne jeszcze się nie przyjęły. Stanisława patrzy na kuzynkę z niepokojem. Teraz dopiero zdała sobie sprawę, jaką władzę skupia w ręce jej krewniaczka. Jaką potęgę...

Księżniczka też milczy i też jest przestraszona. Przeczucie mówi jej, że za dziesięć, może dwadzieścia lat, przyjdzie jej stoczyć walkę z systemami komputerowymi. Oszalamiające możliwości, o których mówi nad filiżanką herbaty nauczycielka, to dopiero początek... Monika raz już musiała uciekać. Opuściła Konstantynopol, zostawiła dom, pokój pełen książek i na całe stulecie została dziką góralką... A teraz... teraz nawet nie będzie namacalnego wroga, któremu można by rozplątać brzuch bułatowym sztyletem. Teraz niebezpieczeństwo kryło się będzie gdzieś tam, w pajęczynie magistrali światłowodowych, łączących serwery i banki danych.

— Skąd podejrzenie, że używa karty? — pyta Stanisława.

Ona sama ma dwie. Jedną wystawił bank na Jersey, drugą Narodowy Bank Tuwalu. W razie gdyby ktoś zechciał walczyć z trzymaniem oszczędności w jednym raju podatkowym, Stanisława przepompuje je do drugiego.

— To w dzisiejszych czasach najlepsza metoda rozporządzania gotówką, oczywiście jeśli się nią dysponuje. A on miał miesiąc temu około trzydziestu tysięcy złotych za sprzedaną sztabę — cierpliwie tłumaczy była agentka. — Dlatego założyłam, że posługuje się kartą... Ale skoro nie potrafimy określić dokładnie, co za nią kupuje, to kicha.

— Słyszałam, że w Warszawie jest specjalistyczny sklep z winami bułgarskimi. Oczywiście mają w ofercie także te, jak to się mówi, z górnej półki. Być może istnieje taki sam z winami typu tokaj. Jeśli Sędziwój zechce delektować się jakimś rzadkim rocznikiem... Chyba warto to sprawdzić?

— Niewykluczone, że masz rację... Ale ja wymyśliłam coś jeszcze. Skoro lubi tradycyjne piwo, takie jakiego nikt już dziś nie produkuje, to może warto uwarzyć beczkę i zastawić pułapkę? Tylko, choroba, jak zdobyć przepis sprzed czterystu lat?!

Stanisława patrzy na kuzynkę z zainteresowaniem.

— Uwarzyć mogę nawet u nas w domu...

— Umiesz? — oczy Kasi robią się okrągłe ze zdumienia.

— A co za filozofia? Za trzy tygodnie będzie gotowe. Tylko problem z tym, jak je sprzedać... Ustawimy się na rynku z transparentem?

— Jeden z lokali na Starym Mieście jest własnością CBS — zniża głos. — Urozmaicimy nieco ofertę serwowanych trunków.

— Już nie pracujesz w CBS.

— Ale nadal posiadam kilka użytecznych kontaktów... Trzeba nawarzyć tego piwa...

Bośniacka księżniczka nie zna polskiego przysłowia. Przyjmuje wypowiedź informatyczki zupełnie naturalnie.

* * *

— Jak ją zlikwidować? — pyta biolog.

Przełyka nerwowo ślinę. Dymitr spogląda na niego mrużąc oczy.

— Przede wszystkim uspokój się, człowieku — warczy, — jeśli chcesz w życiu coś osiągnąć, to musisz nauczyć się zabijać. Chciałeś wykończyć setkę dziewczuszek, a masz opory przed stuknięciem w łeb jednej kobitki?

— W łeb...

— Tak tylko pomysł rzuciłem. Można przecież inaczej. Najlepiej będzie, jeśli uporzujesz wypadek.

— A może wpuścić jej jadowitego węża?

Wspólnik patrzy na niego uważnie. Rozważa pomysł.

— Tylko jakiego?

— Na pewno nie żmiję. Jej jad działa za słabo. Wystarczy mieć mocne serce i godzinę poleżeć. Może żaraka? To agresywne bydlę, ma pół metra długości...

— Skuteczność?

— Sto procent. Jeśli antidotum poda się w ciągu dwudziestu minut po ukąszeniu, spada do sześćdziesięciu. Ale skąd w tym mieście w dwadzieścia minut zdobędą surowicę? Tylko pytanie, czy jad działa na takie jak ona.

— Tak.

— Skąd wiesz?.

— Zaufaj mi. Mam swoje doświadczenia... Jak sądzę, weźmiesz węża ze swojej hodowli?

— Oczywiście.

— Ktoś może cię namierzyć?

— Nie są nigdzie rejestrowane, a i kupiłem z lewego źródła...

— Handlarza dorwaj i dla złagodzenia wyroku sypnie także ciebie... Nie pomyślałeś?

— Spokojna marchewka. Nie wie kim jestem i kojarzy mnie tylko z widzenia. Za kilka dni będę gotowy...

* * *

Środowa noc jest chłodna. Księżniczka Monika Stiepankovic pracuje nocami. W łazience nie ma gdzie podłączyć laptopa. Na szczęście naród radziecki już dawno rozwiązał ten problem. Wykręciła jedną żarówkę, w gniazdo wetknęła kupionego od Ruskich „złodzieja”. Kabel ledwo starczył... Pracuje. Dwa specjalistyczne słowniki, wydane jeszcze przed pierwszą wojną światową, zdobyła w antykwariacie. Czasem musi z nich skorzystać — jak się okazało, zapomniała niektórych słów. Inne brzmią jej zupełnie obco. Greka, którą się posługiwała, nieco różni się od tej z czasów Peryklesa.

Pięć godzin pracy, dochodzi trzecia. Dwadzieścia stron tłumaczenia, po piętnaście złotych za stronę... Niezła zapłata za zarwaną noc. Ale ma jeszcze cztery godziny, które można poświęcić na sen. Śpi zawsze bardzo głęboko, szybko odzyskuje siły.

Kierowniczka skrada się jak stara hiena. Monika słyszy jej kroki, gdy ta jest o nie więcej niż dwa metry od drzwi. Ups, wpadka. Nie zdąży poskładać swojego kramiku. Co robić? No to gramy va banque.

Baba otwiera drzwi zniecierpliwiona. Co sobie wyobrażała? Wszystko tylko nie to... Zakładała kilka hipotez roboczych: potajemne palenie marihuany, picie alkoholu, może uprawianie seksu z jakimś przemyconym chłopakiem? Tymczasem zastaje swoją podopieczną, która w zadumie studiując opasłą księgę, z wprawą stuka w klawisze laptopa. Monika udaje, że z zamyślenia wyrwał ją dopiero skrzyp drzwi, podnosi wzrok i widząc kierowniczkę obdarza ją uśmiechem, po czym spokojnie wraca do pracy. Dobrze gra, wygląda zupełnie naturalnie.

Kobieta przeżywa chwilę głębokiej konsternacji. Widok uczennicy pogrążonej w lekturze w pierwszej chwili ją uspokoił. Nie dzieje się nic złego, Serbka coś sobie przepisuje siedząc na wannie. W następnej sekundzie w głowie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zapalają się kolejne paragrafy regulaminu. Wychodzi na to, że dziewczyna złamała co najmniej połowę.

— Co ty tu robisz? — z gardła baby dobiega warkot.

Czyli nie udało się...

— Uczę się starożytnej greki — odpowiedź jest konkretna i rzeczowa. — Fascynujący język..

Nie znać w niej lęku, jak gdyby robiła najbardziej naturalną rzecz pod słońcem.

— W środku nocy? — sapie ze zdumienia kierowniczką.

— Nie mogę zasnąć...

Już wie, że popełniła fatalny błąd taktyczny, zaczęła się tłumaczyć... niedobrze.

— Regulamin mówi wyraźnie, że o dwudziestej drugiej macie być w łóżkach — syczy kobieta. — A tobie się wydawało, że cię to nie dotyczy? Bez przerwy wycinasz jakieś numery, włóczysz się nie wiadomo gdzie... Od jutra masz szlaban.

— Co to znaczy? — dziwi się księżniczka.

Zna słowo „szlaban”, ale kojarzy jej się wyłącznie z budką dróżnika i przejściem przez tory.

— Będiesz, moja droga, siedzieć na tyłku pod kluczem, dopóki nie wyjaśnimy sobie paru faktów — cedzi słowa. — Dziś po południu przyszedł list od dyrekcji szkoły... Podobno pojawiła się tylko pierwszego dnia i tylko na dwóch lekcjach.

Mózg przez chwilę analizuje informacje. Co ta kobieta bredzi? Ach, jasne. Zapisali ją przecież do tamtego obrzydliwego ogólniaka, z którego zwała. Cholera. Może trzeba było poinformować kierowniczkę o zmianie miejsca nauki?

— Marsz do łóżka, jutro się z tobą rozprawię — warczy baba i znika w drzwiach.

Co zatem robić? Możliwości jest sporo... Najpierw musi zapisać pracę a później umyć się dokładnie. Wraca do sypialni. Cztery pozostałe dziewczyny śpią głęboko. Księżniczka nie lubi awantur. A ta, która nastąpi jutro, będzie naprawdę solidna. W dodatku babsztyl poważnie chce potrzymać ją pod kluczem. Draka zacznie się pewnie zaraz po śniadaniu. Potrwa godzinę albo i lepiej, a przecież o ósmej trzeba być w szkole. Gdyby opuściła francuski, Stanisławie będzie przykro...

A zatem? W drogę. Pakuje się szybko i metodycznie, nie zapalając światła. Nie musi. Wdzi w ciemności jak kot, choć już na przykład czytanie po ciemku bardzo męczy jej oczy. W sumie nie ma specjalnie dużo rzeczy. Trzy tomy słownika, laptop, walkman, kilka kaset. Tymczasowe dokumenty, choć na wiele jej się nie przydadzą, bielizna, sweter na zmianę. Pieniądze, cienki pliczek banknotów... W kieszeń. Ubiera się cicho i ściela łóżko. Lubi zostawiać po sobie porządek.

Można by jeszcze napisać list pożegnalny. Tylko właściwie do kogo i po co? Trzeba. Kultura być musi, gościna była jaka była, ale wypada za nią podziękować. Na kartce z zeszytu skrobie krótkie pożegnanie i kładzie na poduszce. Rano znajdą. Spogląda na zegarek. Czwarta. Rolki do

plecaczka. Drzwi na dole są zamknięte, w oknach na parterze kraty. Ale tu, na drugim piętrze, ich nie ma... Zatem torba na ramię. Otwiera okno i wychodzi na wilgotny od rosy gzyms. Do rogu budynku dziesięć kroków bez asekuracji. Bywało gorzej...

Piorunochron ze stalowej linki. Solidne zaczepy wpuszczone w mur jeszcze w trakcie budowy. Spuszcza się na dół z wprawą. Jeszcze tylko dwumetrowe ogrodzenie z siatki na stalowej ramce, i już stoi na chodniku. Maszeruje dziarsko w noc. Na piętrze w sypialni jej grupy zapala się światło. Kierowniczką postanowiła ją ponownie skontrolować i odkryła ucieczkę... Ale oczywiście jest już grubo za późno...

Supermarket czynny jest całą dobę. To pewne ryzyko. Herod-baba z pewnością wisi już na telefonie wydzwaniając na komendę. Radiowozy dość często patrolują tę okolicę. Ale trzeba.

W dziale ze sprzętem turystycznym kupuje karimatę i śpiwór. Ogląda namioty. Straszna tandeta, ale pal diabli. Sezon skończył się, trwa chaotyczna wyprzedaż sprzętu. Czterdzieści złotych nie jest przesadnie dużym wydatkiem. Obok mają jeszcze rowery. Cena też jest promocyjna, ale i tak zdrowo trzepnęłaby ją po kieszeni. A przecież ma rolki. Odpuszcza. Kasjerka jest tak kompletnie zaspana, że nie dziwi jej nic. Nawet nastolatka kupująca w środku nocy namiot.

Księżniczka przemierza uśpione miasto. Samochodów jeszcze nie widać, pędzi więc środkiem ulicy. Gdzieś zgrzyta pierwszy tramwaj. Dziewczyna niknie przed siebie na rolkach. Dociera na łękę za stadniną w niecałe pół godziny. Ścieżka i na wpół zatopiona kładka. Przeprowadza się na drugą stronę. Gęsty, brzozowy zagajnik. Znajduje sympatyczne miejsce, rozstawia namiot, wrzuca do środka karimatę, na nią śpiwór. Dochodzi piąta rano. Ustawia budzik w telefonie na siódmą i zapada w sen. Dwie godziny to niewiele, ale gdyby w ogóle się nie zdrzemnęła, to w szkole czułaby się jak zombie. Nie lubi czuć się jak zombie, jest przecież wampirem...

W powietrzu widać białą mgiełkę jej oddechu. To znak, że temperatura spadła poniżej dziesięciu stopni Celsjusza... Na szczęście śpiwór jest gruby i ciepły...

* * *

Stanisława w zadumie wodzi wzrokiem po klasie. Uczennice pracują pilnie. Księżniczka Monika Stiepankovic szkolona jest indywidualnym trybem. Potrafi to wszystko, czego jej koleżanki dopiero się uczą. Nie ma sensu tracić czasu. „Nędznicy” Victora Hugo w oryginale to odpowiednia lektura, by poprawić znajomość francuskiego. Stanisława przegląda jej poprzednie wypracowanie. Sądząc z niektórych rodzajów błędów, to cielę uczyło się francuskiego w latach dwudziestych w Libanie lub Palestynie. A zatem powinna znać też arabski. Ciekawe, na ile ten dialekt różni się od sudańskiego?

Od wczoraj coś się nieznacznie zmieniło. Wcześniej nigdy nie podczepiała laptopa do gniazdka w klasie, a teraz wyraźnie ładuje akumulator. Lektorka nigdy nie widziała też liści i słomek we włosach swojej uczennicy. Dziś po lekcjach miały warzyć piwo, jednak Monika przeprasza. Jest bardzo zajęta. Zresztą nigdy tego nie robiła. Za to gdyby kiedyś chciały dobrego wina...

Piątego dnia alchemik wszedł na swoje poddasze. Sto metrów kwadratowych to sporo miejsca. Ma sześć okien, wychodzą na ulicę i na podwórze. Sprawdził, czy jest woda w kranie. Dobrze, podłączyli... Wyrzał przez okno i uśmiechnął się szeroko. Kamienica jest ciut wyższa niż okoliczna zabudowa. Góruje też nad drzewami. Sędziwój przed sobą ma widok na szeroką, zieloną wstęgę — Planty — a za nią czerwone dachy Starego Miasta. Pod nogami gustowne panele. Bynajmniej nie z supermarketu. Przetną się nie wcześniej niż za trzydzieści lat, ale on i tak nie zamierza długo tu mieszkać.

Robotnicy stoją opodal. Za nimi kominek, na razie jeszcze wygaszony.

— Umowa została wykonana — majster będący jednocześnie głową klanu wysuwa się przed szereg. — Zrobiliśmy dzień wcześniej. Płacisz za sześć dni?

Sędziwój uśmiechnął się w odpowiedzi.

— Abchazja to biedny kraj, spustoszony wojną — mówi spokojnie po rosyjsku. Jego akcent jest trochę archaiczny. — Macie tam rodziny, którym musicie wysyłać pieniądze. Daję podwójnie...

Z teczki wyciąga plik stuzłotówek. Siada na krześle przy parapecie i spokojnie odlicza do dwustu pięćdziesięciu. Gdy kończy, w ręce zostają mu cztery banknoty. Spogląda na nie z fraunkiem, a potem uśmiecha się i dorzuca je na stosik.

Wygląda przez okno, cieszy się widokiem. Gdy się odwraca, jego nowe mieszkanie jest zupełnie puste. Robotnicy odeszli. Właściciel sapiąc wspina się po schodach.

— Opłacało się panu? — zagaduje. — Taka wymiana dachu, jak mi mówili, to ponad dwieście tysięcy stoi...

— Czasem można się utargować — Alchemik wrzuca resztki desek i łat do kominka.

Zaraz podłoży ogień.

— Pan się targował z tymi Czeczeńcami? — staruszek gwizdże przez zęby. — To pan jesteś twardszy gość niż wyglądasz...

Nowy lokator w zadumie pochyla głowę. Dziadek wie już, że palnął właśnie głupotę. Ten człowiek od samego początku wyglądał na prawdziwego mężczyznę...

— Tu są pieniądze dla pana — Alchemik wyjmie z teczki drugi plik banknotów. — Za strych. Proszę przeliczyć, powinno być równo trzydzieści tysięcy...

Podkłada do kominka. Z kieszeni wyjmie stare, szesnastowieczne jeszcze krzesiwo. Po chwili gazeta zajmuje się płomieniem. Zamyka drzwiczki. Płomienie odbijają się na twarzy liczącego banknoty właściciela. W oczach migają mu iskierki. Alchemik patrzy na starego i dostrzega pewne podobieństwo. Pieniądze jako takie nie interesują ich. To tylko środek do osiągnięcia celu...

Jak uwarzyć dobre piwo? A co za filozofia? Po pierwsze potrzebny jest słód. Tak z worek lub pół. Zrobienie słodu w zasadzie nie stanowi problemu. Trzeba rozsypać ziarno na plandecę, zrosić je wodą, ale uważać żeby nie przesadzić, bo zgnije. Po dwu dniach zboże wypuści białe, wyglądające trochę jak pajęczyna korzonki. Przez cały czas trzeba utrzymywać je lekko wilgotne. Po dalszych dwu dniach z ziarna zaczną wyrastać kielki. Gdy osiągną długość około dwu centymetrów, należy zebrać i wysuszyć zboże. Do tego czasu zawarta w nim skrobia zamieni się w prostsze cukry. Teraz wszystko trzeba przepuścić przez śrutownik w celu rozdrobnienia...

Podstawową barierą, której Stanisława nie jest w stanie przejść, jest zdobycie śrutownika w środku miasta. Oczywiście problem ten można rozwiązać bardzo łatwo. Na Zachodzie warzenie piwa w domu jest dość popularne. Można tam znaleźć specjalistyczne sklepy. W Polsce zajmuje się tym jedynie garstka hobbystów, ale są nieźle zorganizowani. Wystarczy odszukać ich w Internecie i zamówić dwudziestokilowy worek ześrutowanego słodu pilzneńskiego. Jeśli ktoś z handlarzy mieszka w naszym mieście, możemy zabrać się do dzieła od razu, gdy tylko przywieziemy worek od sprzedawcy do domu. W ofercie mają też drożdże piwowskie, ekstrakt słodowy, granulat chmielowy, butelki, kapsle, kapsłownice, nawet etykiety. Urządzenie browaru we własnym mieszkaniu to wydatek rzędu kilkuset złotych. Zwróci się, bo domowe piwo, po odliczeniu kosztu składników, jest o połowę tańsze od najtańszego dostępnego na rynku. Poza tym, to warzone w domu charakteryzuje się nieporównywalnie lepszą jakością...

Oczywiście zrobienie naprawdę dobrego wymaga wprawy. Stanisława ją posiada. Zabrała się do roboty zaraz po lekcjach. Dopłaciła trochę i wszystko dostarczono jej pod same drzwi.

Wojskowy gar na grochówkę nakrywa wszystkie cztery palniki kuchenki. Czterdzieści litrów wody, worek słodu. Temperaturę ocenia na oko, na początek wystarczy około 35°C. Przystawiła sobie drabinkę i łyżką wazową miesza zawartość.

— Ten etap nazywa się zacieranem — wyjaśnia kuzynce.

Ta marszczy nieco nos. Woń gotującego się słodu jest bardzo dziwna.

— Sąsiedzi podkablują, że pędzimy bimber — zauważa.

— Furda. To, co robimy, jest jeszcze legalne — kuzynka uśmiecha się z wdziękiem.

Minęło kolejne pół godziny. Podkręca palniki, znowu mozolne mieszanie i jeszcze jeden, trzeci skok temperatury. Na koniec doprowadza jęczmienną zupę prawie do wrzenia. Czerpakiem odławia wygotowane, wylugowane resztki ziarna. Zbiera się go prawie całe wiaderko. Ciecz w kotle jest żółta. W chwili gdy Stanisława wystawia wiadro na balkon, Katarzyna nalewa sobie pół szklanki płynu. W zapachu nie przypomina piwa, w smaku tym bardziej.

— Ej, nie łaska poczekać aż dojrzeje? Skosztujemy za dwa tygodnie.

— Co to jest?

— Brzeczka...

Podkręca palniki, aby doprowadzić do wrzenia. Ekstrakt chmielowy w granulacie pachnie bardzo ostro, dosypuje go pół torebki i znowu miesza.

— Dobra, niech się godzinę pogotuje — mruczy. — Odparuje się nadmiar wody

— Bardzo pracochłonne... — zauważa jej kuzynka. — A tak właściwie, to gdzie zrobimy obiad? — spogląda na zajętą kuchnię jakby z lekkim wyrzutem.

— Zjemy kanapki. Albo zamówimy sobie pizzę na telefon.

Warzenie piwa ma w sobie coś z alchemii... Gorąca brzeczka trafia do dwu wiader z pokrywami, wiadra na balkon. Niech się chłodzi. Z supermarketu przywiozły stulitrową, plastikową beczkę. Nie jest chyba przystosowana do trzymania w niej artykułów spożywczych, ale trudno. Innej nie mają... Teraz zawartość wiader trzeba wlać do zbiornika, dopełnić wodą oligoceńską z dwu kanistrów, dodać drożdże i wywalić cały kram na balkon. W pokrywie jest dziurka, zatkana rurką fermentacyjną. Będzie zdrowo buzować.

— Za dwa tygodnie możemy zawieźć do knajpy — stwierdza z zadowoleniem alchemiczka.

* * *

Namiot rozbity w brzozowym zagajniku, z dala od ludzkich oczu. Karimata, śpiwór, czego jeszcze chcieć od życia? Poprawy warunków bytowania... Księżniczka odwiedza supermarket budowlany, trudno, przepuści zapłatę za nocną pracę, ale przecież po to zarabia się pieniądze, żeby je wydawać... Zamówienie taksówki bagażowej to fraszka. Przed supermarketem stoi ich zawsze kilka. Przewiozła zakupy do przystanku przy pętli autobusu.

Upchnęła je w krzakach i stopniowo przeniosła do zagajnika. Większość sprawunków jest stosunkowo lekka. Konie obserwują ją, gdy drepta ścieżką objuczona dechami. Ostatnio się nie boją. Uśmiecha się do zwierząt. Już nie są jej do niczego potrzebne, zaspokoila pragnienie. Ale kocha dotyk ciepłych chrap szukających w dłoniach kostek cukru. Lubi ciepły zapach stajni. Ścieżka rozwidla się. Dobrze wydeptany trakt biegnie w lewo, tędy chodzą zazwyczaj ludzie wyprowadzający pieski na spacer. Ledwo widoczna odnoga wiedzie w prawo. Do jej królestwa.

Nikt tu nie chodzi. Z trzech stron rowy melioracyjne i bagienka, z czwartej wysoki, betonowy mur. Za nim coś podpisanego na planie miasta jako „Telefonika”. Drzewa wysiały się chyba same, od strony łąki jej obozowisko będzie zupełnie niewidoczne... Spanie pod namiotem jest fajne, ale idzie jesień... Solidniejsze schronienie jest niezbędne. Dwadzieścia belek, ręczna wiertarka. Łączy drewno, tworząc szkielet dwuspadowego dachu. Chatka nie będzie duża, dwa na cztery metry. Ale po co jej większa?

Dziesięć paczek desek podłogowych. Uczciwa sosna, tylko że kiepskiego gatunku. Nie były przesadnie drogie. Na ziemię styropian, żeby nie ciągnęło od gruntu. Na to oczywiście podłoga z desek. Trzeba dbać o estetykę miejsca, w którym się mieszka. Reszta po nawierceniu zostaje przybita do dachu. Na to — dziesięć centymetrów styropianu i trzy warstwy folii budowlanej. Solidnym majchrem wycina płyty darni. Pokrywa nimi dach. Z odległości kilkunastu metrów

jej domek będzie niewidoczny. Deski tworzą też ścianę frontową. Kupiła nawet drzwiczki. Pianką montażową uszczelnia wszystkie szpary, żeby nie wiało. Sześć godzin ciężkiej pracy i ma dach nad głową... Nie rozumie bezdomnych koczujących na dworcach. Przecież przyjemniej chyba na własnym?

Materac z pianki, na to gruby koc oraz śpiwór. I można mieszkać. Na dniach dokupi jeszcze piecyk typu koza...

W miejscu, gdzie rów wije się, koło zagajnika, rosną wysokie trzciny. Przy samym brzegu jest jednak niewielkie oczko wodne. Monika buduje sobie mały, drewniany pomost. Cycleron napisał kiedyś, że czystość jest oznaką intelektu. Warto czasem studiować klasyków. Budowa trwała strasznie długo, lekcje na jutro musi odrabiać przy blasku świec. Usiłuje sobie przypomnieć ceny sprzed tysiąca lat. Co było droższe: oliwa do lamp czy świece z wosku? Zazwyczaj używała kaganka... Tak wiele szczegółów zatarło się jej w pamięci... Uruchamia laptopa. Palce bolą trochę po całym dniu używania młotka i piły, ale trzeba popracować. Zleceń ma tyle, że musi odsyłać klientów...

* * *

Pomysł z piwem jest interesujący, pomysł z miniaturowymi kamerkami jeszcze lepszy. Jednak Katarzynie i to nie wystarcza. W CBS przywykła do tego, że śledztwa i poszukiwania prowadzi się wielotorowo. Kuzynka śpi jak zabita, a ona siedzi przy komputerze. Alchemik, jeśli instaluje się na dłuższy pobyt, pewnie będzie się starał zdobyć polskie obywatelstwo, ewentualnie zrobił to jakiś czas temu. Z pewnością unika opłacania składki na ZUS. Przy ostatnim spisie powszechnym okazało się, że liczba Polaków w wieku produkcyjnym, nie figurujących w wykazach Zakładu, wynosi ponad półtora miliona. To zrozumiałe. Ludzie nie lubią być rabowani...

Alchemik pewnie też nie. A zatem trzeba porównać bazę danych ZUS z bazą danych numerów PESEL. Wyselekcjonować grupę ludzi w wieku 35-50 lat, mężczyzn. Z Urzędu Imigracyjnego pobrać informacje o naturalizacji lub nadaniu polskiego obywatelstwa w ciągu ostatniego roku. Z tej liczby odsiać tych, którzy posiadają konta w polskich bankach. Alchemik zapewne, tak jak ona i Stasia, trzyma pieniądze z dala od lepkich palców miejscowych władz...

A może jeszcze prościej? Może wystarczy wyszukać informację o przelaniu na zagraniczne konto sumy około trzydziestu tysięcy złotych? Sprzedał sztabę swojego złota. Przecież nie będzie chował pieniędzy w pudełku pod łóżkiem. Choć z drugiej strony i tego nie można wykluczyć.

Niestety jej pomysł na kilka wad. Po pierwsze, nie da się stwierdzić, czy Sędziwój nie przebywa w Polsce korzystając z zagranicznego paszportu. Po drugie, nie jest wykluczone, że poszukał sobie jakiegoś zatrudnienia i jednak figuruje w rejestrach ZUS. Może używać fałszywego numeru ewidencyjnego... Każdy fachowiec od legalizacji obcych agentów podpowie tu ze czterdzieści innych sztuczek. Trzeba zatem znaleźć klucz i zidentyfikować alchemika jeszcze inaczej.

Druga w nocy. Jeśli chce jutro w pracy być przytomna, musi iść spać.

* * *

Piątkowy poranek jest paskudny, deszczowy. Katarzyna idzie obok kuzynki. Omijają co większe kałuże.

— Zazwyczaj przy lokalizowaniu podejrzanego identyfikujemy grupę jego przyjaciół albo krewnych — zauważyła agentka.

— Przyjaciele? Niewiele ich było. Sędziwój był typem raczej samotniczym. Zresztą jego znajomi dawno rozsypali się w proch... Minęły prawie cztery stulecia...

— Załóżmy, że pojawił się w Krakowie. Jak sądzisz, co by zrobił?

— Nie wiem. Gdy go poznałam, zajmował się alchemią. Całe dni pracował w laboratorium. Wreszcie wyprodukował kamień filozoficzny, zwołał wszystkich domowników, każdemu rozdał po garści proszku zawiniętego w paperek, zażyliśmy pierwszą dawkę... Rozstaliśmy się. Każde poszło w inną stronę.

— Może znowu zajmie się alchemią.

— Niewykluczone. Zapolujemy na niego przed sklepem chemicznym?

— Hmmm. Szkło laboratoryjne, odczynniki... Jeśli siedzi tu już od pół roku, to zaopatrzył się w to wszystko dawno temu. Z kim się spotykał, jakiego typu byli to ludzie?

— Miał przyjaciół wśród żydowskich znawców Kabały. W Kazimierzu.

— Na Kazimierzu — poprawia odruchowo.

— Wtedy „w”, to było oddzielne miasto. Tam gdzie teraz jest ulica Dietla, płynęła odnoga Wisły. Kazimierz miał nawet własne mury obronne, ale obowiązywało tam inne prawo. Mieszczanin czy szlachcic, przechodząc przez bramę, brał na siebie odpowiedzialność przed sądami rabinackimi. Chodziłam z nim kilka razy słuchać dyskusji na temat alchemii.

— Żydów na Kazimierzu już w zasadzie nie ma — mruczy Katarzyna, — ale jest tam pub o nazwie „Alchemia”. Chyba trzeba będzie zawiesić naprzeciwko kamerę. Tak na wszelki wypadek. Hmmm, przyjaźń z intelektualistami... Macie tu w Krakowie jakieś kluby dyskusyjne, lokale w których zbierają się fizycy lub matematycy? Coś jak słynna lwowska Kawiarnia Szkocka, gdzie schodzili się uczniowie i przyjaciele Stefana Banacha?

— Nie mam pojęcia, o niczym takim nie słyszałam.

— Cholera.

— Może założymy ośrodek studiów kabalistyczno-alchemicznych? — proponuje Stasia.

— Świetny pomysł... — w głosie słychać sarkazm.

* * *

Szkoła. Ściany mokre od deszczu, w środku czuć woń zawilgłej odzieży... Księżniczka przyjechała autobusem. Jazda na rolkach po kałużach nie jest dobrym rozwiązaniem... Siedzi teraz grzecznie i słucha biologa.

— Często zadajemy sobie pytanie, jak jedne gatunki zamieniają się w inne. A tymczasem, to bardzo proste. Sięgnijmy do teorii Darwina o ewolucji i powstawaniu gatunków. Przodkami dzisiejszych żyraf były antylopy, podobne nieco do okapi. Ich pożywienie znajdowało się wysoko: jadły liście z drzew porastających sawannę. Siłą rzeczy musiały wyciągać szyje, aż po kilkudziesięciu pokoleniach ta część ciała uległa wydłużeniu.

Księżniczka ostatni raz uczyła się biologii studiując książki jeszcze przed pierwszą wojną światową. Natychmiast wyłapuje fałsz. To nie jest teoria Darwina. Darwin powiedziałby, że antylopy o najdłuższych szyjach miały największe szansę przeżycia. Sieklucki tymczasem referuje im dawno zarzuconą teorię Lamarcka.

Monika uśmiecha się do swoich myśli. Ta koncepcja wydaje jej się dużo bardziej prawdopodobna... Ciekawe tylko, czy nauczyciel jest zakamuflowanym lamarkistą, czy też ewidentny błąd wynika z jego totalnego nieuctwa... Trudno ocenić. Wyczuwa w tym typku pewną dozę sprytu. Jeśli połączy się spryt z brakiem zasad moralnych, efekty mogą być wyjątkowo mało ciekawe.

Wreszcie język polski. Księżniczka czyta wypracowanie. Nauczyciel słucha jej w zadumie, od czasu do czasu poprawiając przekręcone końcówki wyrazów. Mała świetnie sobie radzi... Dzwonek — koniec lekcji. Tłum dziewczyn wysypuje się ze szkoły. Monika, brykając jak młody żrebak, zbiega razem z nimi po schodach, jednak gdy tylko rozchodzą się w różne strony, natychmiast poważnieje. Czeką pod drzwiami. Obie nauczycielki zaraz wyjdą. Znowu zaczyna padać deszcz. Co za paskudny dzień...

— Może wpadniesz do nas na obiad? — Stanisława staje u szczytu schodów.

Księżniczka uśmiecha się radośnie.

— Z przyjemnością.

* * *

Deszcz leje jak z cebra, zrobiło się niemal zupełnie ciemno. Wdrapują się po lekko skrzypiących, drewnianych schodach. Na podeście, pod drzwiami Stanisławy, leży żararaka. W półmroku jest prawie niewidoczna. Oczy węży nie odbijają światła.

Stanisława pierwsza spostrzegła zagrożenie. Gwałtownie odepchnęła przyjaciółki ramionami. Błyskawicznie sięgnęła po rewolwer.

— Ja — powiedziała Monika nurkując pod jej ramieniem.

Wąż syknął, unosząc trójkątny łeb. Rzuciła torbę z zakupami na podest. Żmija wystrzeliła do przodu jak sprężyna. Węże mają małe mózgi, napędza je głównie instynkt, nakazujący atakować wszystko, co się rusza...

Księżniczka zrobiła krok do przodu i złapała żararakę za koniuszek ogona. Jedno gwałtowne szarpnięcie...

Żmija trzymana za ogon, jeśli wisi głową w dół, nie ma szans odwrócić się i ugryźć. Istnieją dwie szkoły. Pierwsza, beduińska, nakazuje w tym momencie umiejętnie strzelić węzem jak z bata. To zazwyczaj wystarcza, by zerwać mu rdzeń kręgowy i uśmiercić... Druga, praktykowana przez bałkańskich górali, zakłada, że mamy pod ręką kamień lub drzewo. Ostatecznie może być i ściana. Ta metoda wymaga mniejszych umiejętności, w zasadzie sprowadza się do takiego dobrania odległości i kąta uderzenia, aby główny impet ciosu rozwalił gadzinie głowę. Ale można postąpić też i bardziej ekologicznie...

Stanisława pospiesznie otworzyła drzwi i przybiegła z, plastikowym wiadrem, które poprzedniego dnia służyło przy warzeniu piwa. Wiadro ma pokrywkę. Monika wrzuciła żararakę do środka i przyładowała jej lekko pokrywą po głowie, żeby nie wyłaziła. Przygmiotła jednatomową encyklopedią.

— Co z tym zrobimy? — zapytała.

— Możliwości jest kilka... Po pierwsze obiad — mruknęła Stanisława.

— Jadowite mają niedobre mięso — zauważyła księżniczka. — Choć pomaga na niektóre choroby.

— Skąd wiesz, że to jest jadowity wąż? — zdziwiła się Katarzyna. — Ja, szczerze powiedziawszy, widzę takie paskudztwo pierwszy raz w życiu.

— Ja też, ale... — pokazała ciemną plamę na powierzchni torby — to chyba jad...

— Możemy sprzedać do ZOO — zaproponowała Stanisława. — Jeśli to coś rzadkiego, niewykluczone, że dostaniemy trochę pieniędzy... Zaraz sprawdzimy — sięgnęła po atlas gadów. — O, jest. Żararaka. Występuje w Ameryce Południowej. E, niestety pospolita... No to może jednak do gara?

Kuzynka zamyśliła się głęboko.

— Dlaczego ktoś podłożył ją właśnie nam? — zapytała.

— Oj tam podłożył — parsknęła Stanisława, — pewnie przypełzła z Plant.

— Chłodno się robi, szukała zacisznego miejsca, by zapaść w sen na zimę — dodała Monika. — W górskich wsiach w Bośni zdarzało się. Te niejadowite nawet czasem trzymano w domach, załatwiały myszy skuteczniej niż kot.

— Chyba was pogięło! Egzotyczny wąż w środku miasta, a wy mówicie, że sobie przypełznął?! To nie jest brazylijska selva ani Kosowo — agentka nieco się zdenerwowała.

— No fakt — mruknęła Stanisława. — Może komuś uciekła? Ludzie teraz chętnie hodują różności... Przecież nie mamy wrogów. Chyba że...

— Chyba że jednak Dymitr — uzupełniła jej kuzynka. — Trzeba go odszukać, skoro jest w mieście. Jak go już znajdziemy, utniemy sobie z nim krótką, miłą pogawędkę... Wyjaśni się przy okazji to i owo. A po obiedzie wezmę taksówkę i odwieziemy to paskudztwo do ZOO.

— Tak, trzymanie czegoś takiego w domu to kłopot...

Zamyśliła się na chwilę.

— Prawdziwy problem będziemy mieli, jeśli Dymitr znajdzie Sędziwoja przed nami — powiedziała poważnie.

* * *

Przyjemnie pełny żołądek, ciepła kurtka, rolki które trzeba odpiąć idąc przez łąkę. Konie dziś nie zostały wypuszczone na pastwisko. Jest zbyt mokro, a i stajennemu nie chciało się iść taki kawał... A tu jeszcze trochę roboty do wykonania. Odpowiednią blachę kupiła w supermarkecie. Literki z folii samoprzylepnej, puszka czerwonego lakieru samochodowego, puszka bezbarwnego... Godzinę później drzwi jej domku zdobi ponura, urzędowa tablica z białymi literkami:

Centralny magazyn odpadów promieniotwórczych
Mogilnik nr 6

Poniżej przybija jeszcze dwie. Jedną z trupią czaszką i skrzyżowanymi piszczelami, drugą z międzynarodowym symbolem promieniotwórczości — jako tłumaczenie dla analfabetów. Teraz trzeba zająć się tylną ścianą szałas. Nie ma już wystarczającej ilości desek, ale co za problem. Zostały dwie. A zatem zrobimy sobie mur... Nad rowem, opodal jej „łazienki”, znajduje się pokład gliny. Drobne, białe kamienie leżą na stosach koło pastwiska. Widocznie kiedyś było to pole, ktoś zbierał wyorane... Dwie deski, glina, kamienie, dobrze udeptać i następna warstwa. Ściana szybko rośnie w górę. Gdy wyschnie, nabierze twardości betonu.

W niewielkiej niszy piecyk typu koza. Monika wilgotną jeszcze glinę maluje na biało farbą akrylową. Niech wygląda jak murowana. Żeby nie kusiło... Kupiła solidny kawał surowej, wołowej szynki. Namacza ją teraz w wiaderku z solanką. Za kilka dni uwędzi i zawiesi u powały. Niech żyje choroba szalonych krów. Napaliła w piecu chrustem, na to podsypała warstwę węgla drzewnego. Wyciągnęła się na materacu z książką w ręce. Narzuciła owczą skórą kupioną od górali przy dworcu. I wreszcie poczuła, że jest u siebie. Dobrze mieć własny dom.

* * *

Alchemik wytrząsnął na stół zawartość małego, skórzanego woreczka. Dobre dwa gramy czerwonych kryształków. Dzieli to na dwie części. Z odrapanej walizki wyciąga niedużą wagę, kilka lasek ołowiu i grubą, blaszaną puszkę. Starannie odważa metal. Puszkę z ołowiem umieszcza w kominku. Za pół godziny się stopi. Połowę proszku wsypuje z powrotem do woreczka. To rezerwa na czarną godzinę. W powietrzu unosi się przyjemny zapach palonego drewna. Kominek dobrze grzeje, wiatr świszcząc pomiędzy dachówkami. Po niebie suną niskie, burzowe chmury. Jesień...

Sięga pamięcią wstecz. Minęło sporo czasu, prawie cztery stulecia, ale wspomnienie pali go jak zadra. Deszcz rozbijający się o oprawione w ołów gomółki szkła w oknie... Umierający przyjaciel udziela mu błogosławieństwa...

Seton Cosmopolita podawał się za Anglika. Ciemne oczy i śniada karnacja przeczyły temu, lecz w tamtych czasach nikt się nad tym nie zastanawiał. Wspaniała epoka, wtedy nie używano paszportów, każdy był tym, za kogo się podawał... Tylko on znał jego prawdziwe imię. Arabski alchemik Geber, człowiek który jako pierwszy wydarł przyrodzie sekret destylacji alkoholu i tajemnicę kamienia filozoficznego. Przeżył prawie osiemset lat, by zginąć na skutek ludzkiej chciwości i własnej głupoty. Ech, druhu...

Ołów stopił się. Teraz na gorącą powierzchnię metalu alchemik rzuca szczyptę proszku. Miesza starannie. Trzydzieści obrotów wystarczy. Niedużą, stalową formę umieścił na parapecie, kładąc pod spód płytkę terakoty. Leje z puszki żółty metal. Formę łapie cęgami, zanurza w garnku z wodą. Syk i kłęb pary. Po pół godzinie można wyjąć sztabkę. Wygląda bardzo dobrze, ma szwajcarskie oznaczenie Credit Bank Suisse oraz informację o masie — 1 kilogram.

Alchemik kładzie ją na wadze. Kilogram i piętnaście gramów. Nigdy nie udaje się precyzyjnie trafić... Ale pewnie się nie pogniewają, jak kruszcu będzie odrobinę więcej. Co jeszcze? Prawdziwe sztabki mają wybity numer. Żaden problem. Z walizki wyjmuje punce i młotek... Zrobić złoto to nie kłopot. Ale wymienić je na gotówkę — tu zaczynają się schody. W XVII i XVIII wieku bił holenderskie dukaty. Wtedy groził za to strychezek. Ryzykował, ale jego monety miały próbę nawet nieco lepszą niż prawdziwe, nigdy nie wpadł... Ciekawe, swoją drogą, co by mu zrobili współcześni Szwajcarzy?

* * *

Dziesiąta wieczorem. Monika dawno się ulotniła, żararaka stuka łbem o pokrywkę wiaderka. Katarzyna przeciąga się kusząco.

— Mam ochotę na małą przechadzkę — mówi. — Z gadem na smyczy, to znaczy w pudełku.

— ZOO już zamknięte — zauważa Stanisława.

— Owszem, ale pomyślałam sobie, żeby zanieść to paskudztwo do szkoły i odłożyć na miejsce...

— Sądzisz, że to Sieklucki?

— Może... Nie podoba mi się ten typek. Ma na zapleczu pracowni kilka akwariów z gadami. Myślę, że warto by sprawdzić, czy któreś nie jest czasem puste.

— Ale szkoła jest zamknięta na głucho...

Kuzynka pokazuje jej pęk kluczy. Wychodzą w chłód i wilgoć październikowej nocy. W taka pogodę żule zapadli na melinach, nie wyściubiają nosa za próg. Szkoła stoi ciemna, po murach spływa woda... Drzwi podłączone są do alarmu, ale Katarzyna już dawno poznała kody. Zatrzaskuje ciężkie, dębowe skrzydło. Zapala światło. Jeśli ktoś z zewnątrz zauważyłby błysk latarki, może zadzwonić po policję. A zatem do pokoju nauczycielskiego po klucze od pracowni i zaplecza.

Pakamera powitała ich kwaśnym zapachem amoniaku, wonią odchodów węży...

— O, niezła kolekcja — Stanisława kręci głową patrząc na solidny, stalowy regał.

Rusztowanie ciągnie się od podłogi do sufitu. Akwaria z rybkami, terraria z jaszczurkami, węży jest kilkanaście. Największe wrażenie robi dwumetrowy pyton. Na widok kobiet unosi płaski łeb i wysuwa rozwidlony języczek.

— Nie pokazuj języka, bo ci krowa nasika — mruczy Katarzyna i nie widząc zgorszonego wzroku kuzynki rozgląda się po pomieszczeniu. Wszystkie akwaria są pełne rozmaitej zwierzyny. Żadne nie stoi puste.

— Cholera, to chyba nie jego robota — wzdycha.

— To co robimy z naszym ciapusiem?

Kuzynka wypatrzyła duży słój z dziurkowaną pokrywką. Pewnie do trzymania owadów.

— Trudno, do rana jakoś się przemęczy.

Spokojnie wytrząsa jadowitego węża na blat, szybko, zanim się zorientuje, przygniata do desek rozwidlonym kijkiem. Stanisława chwytą żararakę za kark tuż przy głowie i pakuje do słoja.

— Zobaczymy reakcję pana profesora — mówi. — Zdziwi się, czy się nie zdziwi... Tak czy siak, da mu to do myślenia, niezależnie od tego, czy jest winny, czy nie. Co ty na to, żeby się tu troszkę rozglądnąć?

— Doskonały pomysł.

Pierwsza szafa wypełniona jest preparatami w słojach. Nic ciekawego, jakieś chrząszcze. W drugiej ośmiolitrowa butla z mlecznobiłą zawartością.

— O — cieszy się Stanisława. — Zacieru nastawił i bimberk będzie pędził...

Jej kuzynka oświetla zawartość latarka. Kręci głową.

— To nie bimber tylko hodowla jakichś kultur bateryjnych, ciekawe...

— Ano nic tu po nas. Chodźmy...

Na dworze zacina deszcz. Ochłodziło się, para z oddechów jest wyraźnie widoczna w ciemnościach.

— Niepokoi mnie jedno — wzdycha Stanisława. — Jeśli ktoś ma do nas jakiś żal, wie gdzie mieszkamy...

— Hmm... uhum — kuzynka sprawdza, czy czeczeński rewolwer tkwi dobrze na swoim miejscu w kieszeni. Dawno nie strzelała... Ma nadzieję, że nie wyszła z wprawy.

* * *

Księżniczka Monika budzi się w swoim szalasie. Spogląda na wyświetlacz telefonu komórkowego. Szósta rano. Na zewnątrz po deszczu jest mokro. W środku sucho i ciepło. Materac, dwie baranie skóry, śpiwór. W piecyku dogasa żar. Ubranie zawiesiła na kołkach wbitych w ścianę. Powietrze pachnie dymem. Większość ludzi uznałaby te warunki za skrajnie prymitywne. Ale jej tu dobrze. Laptop w zasięgu ręki, książki... Czego jeszcze chceć od życia? Centralnego

ogrzewania i ciepłej wody w kranie? Po co? Wstaje i przeciąga się, aż strzelają jej stawy. Lubi sypiać nago, lepiej wtedy kontroluje ciepłotę ciała. Łatwiej wychwycić moment, kiedy należy się obudzić i dorzucić do pieca. Spogląda w lustro. Nadal jest bardzo chuda, ale dwa miesiące dobrego odżywiania pozwoliły jej odrobinę odzyskać ciało. Nie lubi chodzić głodna.

Włosy ma już nieco przetłuszczone, trzeba umyć. Narzuca na siebie szlafrok i wychodzi z szałas. Trawa, zmoczona całonocnym deszczem, przyjemnie chłodzi jej stopy. Wiatr ciągnący od strony łąki jest zimny, ale przywykła. Ludzie boją się niskich temperatur, ubierają zbyt grubo, a potem jedna noc pod gołym niebem skutkuje zapaleniem płuc. A przecież można się zahartować. Można sprawić, by ciało było twarde jak deska, odporne, okrzepłe. Trzeba tylko chcieć... Trzciny i pomost. Tu nikt jej nie zobaczy.

Zrzuciła szlafroczek i zaczerpnęła miskę wody. Przyjemnie poczuć na nagiej skórze uderzenie wiatru. Zmoczyła włosy i natarła je szamponem. W zimnej wodzie nie chciał się pienić, ale chwila tarcia i detergent zrobił swoje. Spłukała. Wodę wylała do dołka dwa metry od strugi. Szkoda truć rybki chemią. Zanurzyła się w rzeczce. Położyła w wodzie, pozwoliła by ją uniosła. Bliższy kontakt z mułem na dnie uznała za raczej niewskazany. Palce u stóp zaczęły drętwieć. A zatem koniec kąpieli. Wyskoczyła na pomost i starannie roztarła ręcznikiem. Zawiązała go na głowie w węzeł, lodowaty wiatr w połączeniu z mokrymi włosami może być niebezpieczny. Owinęła się w szlafrok i ruszyła do domku. Przyjemnie będzie dla odmiany zanurzyć się w ciepłe wnętrze... I w tym momencie ją dopadli.

Czterech osiłków o tępach gębach i mięśniach podhodowanych na sterydach. Wykorzystali krótką chwilę jej zamyślenia. Nie przewidzieli kilku szczegółów... Nie zdążyła sięgnąć po sztylet. Dwaj skoczyli jej na plecy, by przewrócić, wgnieść w trawę, wykręcić ręce. Cios łokciem w tył, w splot słoneczny. Trafiła, chrupnął mostek, co najmniej cztery żebra też poszły. Cios do przodu, drobną pięścią prosto w nalany dresiarzski ryj. Chciała trafić tak by zawiasy wyrwanej szczęki uderzyły w węzły chłonne za uszami, jednak żuchwa złamała się od razu. Ech, dzisiejsza młodzież, kości jak z tektury...

Kiedys w górach Kaukazu wpadła w ręce gruzińskiego księcia — rozbójnika Ilika... To był prawdziwy twardziel, dopiero czwarty cios powalił go na kolana. A ci — jak z łajna ulepieni.

Wyłamywane górne siekacze poraniły wierzch dłoni Moniki. Trzeci napastnik zdążył wykręcić jej przedramię. Szarpnął ostro do góry. Straciła równowagę. Krótki łuk i uderzyła czołem w kolano kolejnego. Aż ją na chwilę zamroczyło. Tymczasem ten najsprytniejszy ciągle trzymał jej nadgarstek. Jego kompan złapał podobnie. Na ułamek sekundy miała przed sobą udo napastnika. Za daleko dla zębów, ale chlasnęła go ssawką.

Cóż, końska skóra jest grubsza niż ludzka, nawet okryta błyszczącym dresikiem. Ssawką zawsze trafia w najgrubszą żyłę lub tętnicę. Pokrywający ją śluz powoduje błyskawiczne zasklepienie rany, gdy nie jest już potrzebna. Chyba że wyrwie się natychmiast z powrotem. Wtedy w tkance powstaje dziura wielkości mysiej nory. Splunęła z obrzydzeniem ludzką krwią i mięsem.

Podcięli ją jednocześnie, gruchnęła boleśnie na mokrą trawę. Coś jakby ciepły deszcz skropiło jej nagie plecy. Wiedziała, że wróg ma rozharataną tętnicę udową i krwawi jak świnia. Trzasnęły kajdanki na wykręconych do tyłu dłoniach. I jeszcze stukilogramowy byczek na plecach. Bywało gorzej.

Podciągnięcie nóg pod brzuch to niecała sekunda. Kolana boleśnie zaszorowały o ziemię, gałązki i kamyki. Gwałtownym ruchem zrzuciła napastnika i zerwała się na równe nogi. Ręce miała skute na plecach, ale nogi wolne. Dresiarz akurat gramolił się z ziemi. Cios stopą w bok. Zacharczał i opadł na podłoże. Krew z ust: widocznie złamane żebro przebiło płuco. Poczekała aż się wykaszle, po czym kopnęła go z drugiej strony — dla symetrii i żeby wybić mu z głowy wszelkie durne pomysły.

Zlustrowała pobojowisko. Pierwszy, zwinięty w kłębek, pluł krwią. Miał połamany mostek i część żeber, uszkodzone płuca, ale serce chyba nietknięte. Przeżyje. Drugiemu w zasadzie nic się nie stało, strzaskana szczeka wyrwana z zawiasów, wybite zęby, może lekko uszkodzone kręgi szyjne. Kilka tygodni pochodzi z szyną na zuchwie, miesiąc przevegetuje na samych zupkach... Nie docenił swojego szczęścia, wyje z bólu i szoku. Trzeci teoretycznie mógł się wykrwawić ale, szczwana bestia, otrząsnął się na tyle, by paluchami wbitymi w mięso zatamować krwawienie... Drugą dłonią wyciągał sznurek ściągacza z gatek, robi opaskę uciskową... To dobrze, że jakoś sobie poradzili, bo ze skutymi na plecach rękami nie mogłaby im pomóc nawet gdyby zechciała. Czwarty oberwał chyba najmocniej. No cóż, nieładnie damie włożyć kolanami na plecy...

A zatem po kolei. Najpierw trzeba się uwolnić od kajdanek. Potem ubrać, w szamotaninie zerwali z niej szlafrok. Furda, przynajmniej będą mieli co wspominać. Niewielu widziało kiedyś coś tak pięknego, jak naga księżniczka z rodu Stiepankowiców. Byli i tacy, którzy zapłacili za tę przyjemność życiem...

Ten ze złamaną szczęką wydał jej się najprzypadniejszy. Ruszyła w jego stronę boso po zroszonej krwią trawie. Poczula, że cała jest pochlapana posoką, diabli wzięli poranne mycie. Musi koniecznie wysuszyć włosy. Ręcznik też diabli wzięli, a wiatr jest chłodny, to grozi zapaleniem opon mózgowych...

Przetrącony na jej widok zawył. W oczach miał obłądny strach.

— No co jest? — warknęła. — Nie spodziewaliście się? Gdzie klucz od kajdanek?

Wybełkotał coś sfatygowaną mordą. Uniosła stopę i podrapała się dużym palcem po łydce.

— Rozkujesz mnie, to daruję wam życie — propozycja zabrzmiała chyba rozsądnie.

Pokiwał łbem, grube krople krwi rozbryznęły się ciężko na ziemi. Ruszył na czworakach w kierunku kompana.

— Kto was nasłał? — zagadnęła.

Świst rozprężającego się powietrza, poczuła uderzenie w pośladek. Ogarnęła ją nagła otępiająca fala senności. Zdążyła się odwrócić i zauważyć piątego. Stał koło jej szalasu i właśnie opuszczał strzelbę używaną przez weterynarzy do usypiania zwierzyny. Ziemia skoczyła do góry. Wszystko ogarnęła ciemność.

Dymitr spokojnie podszedł do leżącej na trawie dziewczyny. Otworzył jej oko i spojrzał na źrenicę. W porządku. Śpi. Zlustrował pobojowisko. Nieźle sobie poradziła. Miał rację, by na wszelki wypadek zabrać tę zabawkę... Chłopaki nie nadawali się już do niczego.

— Banda patalachów — warknął. — Do wozu i jedźcie do jakiegoś konowala, żeby was opatrzył...

Z trudem dźwignęli się na nogi. Kuśtykając ruszyli w stronę ulicy. Dziewczyna była lekka, mógł bez trudu przerzucić ją przez ramię i zanieść do samochodu.

* * *

Stanisława spostrzegła to, gdy tylko weszła do klasy.

— Gdzie jest Monika? — zapytała zaskoczona.

Odpowiedziało jej maślane spojrzenie piętnastu par oczu. Krótka obcięta brunetka rozejrzała się po sali.

— Nie ma jej — powiedziała bezradnie. — Może zasnęła.

Nauczycielka nie powiedziała nic, ale poczuła w sercu bolesne ukłucie. Przeczucia prawie nigdy jej nie myliły. Tego dnia była rozkojarzona. Uczennice wyczuwały to bezbłędnie i na swój sposób usiłowały wykorzystać. Wyłowiła szept. Twarz jej stężała.

— Nudzi wam się? — spojrzała podopieczne. — Macie tu ćwiczonka do zrobienia.

W czasie przerwy wyjęła z kieszeni telefon komórkowy i zadzwoniła. Jednak numer Moniki pozostał głuchy. Katarzyna miała w piątki tylko jedną lekcję, przychodziła na jedenastą.

— Gdzieś nam wcięło księżniczkę — poinformowała ją kuzynka w drzwiach szkoły.

— O do diabła... — zafrasowała się. — Próbowalaś na telefon?

— Oczywiście. I dlatego właśnie tak mnie to niepokoi...

Milczały przez dłuższą chwilę.

— W sumie to nie wiemy nawet gdzie mieszka — westchnęła alchemiczka. — Wspominała, że wyprowadziła się z Domu Dziecka...

— Nie mogła wyprowadzić się donikąd...

— Hmm. Myślę, że ulokowała się gdzieś w pobliżu łąki na Złocieniu, ostatnio przyszła do szkoły z siatką marchwi... Zwróciłaś uwagę na jej zapach?

— Zapach? — Katarzyna wytrzeszczyła oczy.

— Pachniała dymem. Na dziesięć metrów... To może oznaczać, że mieszka w kurnej chacie albo sypia, powiedzmy, w lesie, przy ognisku...

Zamyśliła się.

— Niemożliwe moja droga. Teraz w listopadzie? To absurd... Poza tym mieszkanie w lesie wpływa na wygląd... A ona nadal chodzi czyściutka i schludna.

Na twarzy kuzynki odmalował się wyraz politowania.

— Czystość to, przede wszystkim, stan umysłu, moja droga. Jeśli ktoś chce, zawsze może znaleźć dość wody, żeby się umyć... Nasi bezdomni łożą cuchnąc jak chlew, bynajmniej nie dlatego, że nie mogą utrzymać czystości. Im się po prostu nie chce, zatarcili tę potrzebę... Tak jak na wsi. Woda w studni, ale nogi myło się na świętego Jana...

— Czemu nic nie powiedziała? — kuzynka przerwała wywody. — Przecież bez problemu wygospodarowałybyśmy jej kawałek twojego mieszkania...

— Może nie lubi o nic prosić? Nasz błąd, że nie zaproponowałyśmy...

— Rany, w nocy było zimno, jeśli spała w lesie, to mogła umrzeć z wychłodzenia organizmu...

Stanisława tylko machnęła ręką.

— Nie przesadzaj, jeśli się żyje tyle czasu co ona, zna się tysiące metod przetrzymania nocnego chłodu. Na Kresach sypiałam kiedyś w zimie, w szczerym polu, nakryta tylko kożuchem.

— Ale mógł ją złapać, na przykład, atak wyrostka robaczkowego...

— A komórka?

— A jeśli się rozładowała? Zwalniamy się i w drogę. Dziesięć minut później jechały tak-sówką. Wysiadły na skraju łąki. Było wietrznie i zanosilo się na deszcz. Koni nie wyprowadzono tego dnia na pastwisko.

— Oho! — mruknęła Stanisława patrząc na kołujące nad ogrodzeniem „Telefoniki” ptaki.

— Co się stało?

— Gawrony, padlinożerne...

— Wypluj te słowa!

Przebyły szybko łąkę. Ścieżka zakręcała wzdłuż strumyka. Po drugiej stronie, za trzcinowiskiem, widać było zagajnik. Kładka wyglądała wręcz fatalnie, ale przebyły ją. Rozległa połąć stratowanej trawy. Katarzyna powstrzymała gestem kuzynkę i zaczęła badać odciski na ziemi ślady.

— Ktoś próbował to zamaskować — powiedziała wreszcie — ale doszło tu do ostrej bójki... — skrobnęła butem ruszoną ziemię. Odśloniła plamę. — Krew. Dużo krwi.

— Sądysz... — nagle Stanisława pochyliła się i podniosła mały medalik na zerwanym łańcuszku.

Teraz nie miały już żadnych wątpliwości. Po chwili znalazły szalas.

— Ładnie się mała urządziła — stwierdziła agentka. — Ale jakiś bydlak ją wyśledził i dopadł...

— Zabił?

— Sądę, że to raczej ona stawiała opór — Katarzyna podniosła ostrożnie łuskę dziwnego kształtu. — To od strzelby wyrzucającej lotki usypiające — wyjaśniła widząc zaskoczenie Stasi. — Ktoś ją dziabnął takim pociskiem. Chyba ma wrodzoną odporność, zdążyła go zdrowo poharatać zanim narkotyk podziałał.

Ruszyła przez zagajnik uważnie badając podłoże.

— Było ich pięciu — powiedziała wreszcie. — Czterej w sportowych adidasach, jeden w półbutach. Kurczę, nie jestem fachowcem od śladów, ale zobacz sama, jedną nogą zapadał się w błoto głębiej. Uśpił ją lotką, a potem niósł na ramieniu.

— Jasna cholera.

Wewnątrz szalasu poniewierały się rozrzucone książki i zeszyty. Laptop zniknął. Stanisława pozbierała wszystko do torby, drżącymi rękami dorzuciła na wierzch sweter i kurtkę Moniki.

— Jak się znajdzie, to jej oddamy... Jak myślisz, kto to mógł zrobić?

* * *

Alchemik spaceruje po antykwariatach, ogląda wystawione na sprzedaż stare książki. Skórzane grzbiety, pożółkły papier, mapy odbijane ze starodruków lub w technice akwaforty... Wspomina. Niewielka kamieniczka blisko murów miejskich, suto zaopatrzona biblioteczka, miła żonka u boku, czterech współpracowników i ta zabawna dziewczuszka do posług. Jak jej było? Ach, Stanisława. Przyjechał do Krakowa odszukać swoich ludzi. Dał ogłoszenie do gazet i czeka. Każdy w końcu wraca do tego miasta.

Jak odnaleźć ludzi, których nie widziało się od bardzo dawna? Metod jest wiele. W pierwszej kolejności sprawdził książki telefoniczne. Pudło. W sekretariacie szkoły wzniesionej na jego posesji zostawił kopertę z wizytówką na wypadek, gdyby ktoś o niego tam zapytał. W kilku gazetach dla świrów zamieścił artykuły na temat historii idei alchemicznych. Podpisał je imieniem i nazwiskiem, redaktorzy uznali to za wyjątkowo wymyślny pseudonim. Na końcu podał swój adres poczty elektronicznej. Dostał od tego czasu piętnaście postów, ale żaden nie pochodził od tych, których szukał.

Co dalej? Ma kilka pomysłów. Nogi same niosą go do klasztoru dominikanów. Sprawdza płytę z epitafium Setona. Karteczka tkwi na miejscu. A zatem czas odwiedzić przeora.

* * *

Monika ocknęła się i natychmiast całkowicie doszła do siebie. Otworzyła oczy. Wilgotny półmrok, zapach stęchlizny, betonowy sufit z nierówno odbitymi śladami szalunków. Piwnica. Wąskie, metalowe łóżko... Przywiązano ją bardzo starannie, zawinięto w koc i przypięto kilkoma grubymi, skórzanymi pasami. Kostki nóg i nadgarstki dodatkowo unieruchomiono kajdankami.

Kto ją porwał? Możliwości jest sporo. Wszystkie paskudne. Ten, kto to zrobił, ma jednak sporą wprawę w unieruchamianiu więźniów... I chyba właściwie ocenił jej możliwości. Wydostanie się z niewoli nie będzie łatwe. Po pierwsze, trzeba pozbyć się pasów. Po drugie, wyciągnąć z łóżka kawałek drutu lub sprężynę i otworzyć kajdanki. Po trzecie... Przetoczyła wzrokiem po pomieszczeniu. Cella dwa na trzy metry, o nierównej betonowej podłodze... Solidne, drewniane drzwi, zapewne po drugiej stronie zaopatrzone w zasuwę. Żadnych kamer. A więc po trzecie, trzeba sforsować drzwi. Albo poczekać w środku aż ktoś przyjdzie i skrócić mu kark.

Pasów jest siedem. Dużo. Najbliższy dwadzieścia centymetrów poniżej jej brody. Zębami nie sięgnie. A ssawką? W zasadzie można spróbować, tylko jest jeden problem. To działa na zasadzie czystego instynktu, przebija tkanę w poszukiwaniu żył. Dresiarza mogła załatwić, bo pod skórą płynęła krew. Pas jest martwy, chyba że... Pod pasem i kocem jest jej własne ciało. Wyciągnęła brodę do przodu i uderzyła. W skórze powstała okrągła dziura o średnicy centymetra. Poczula w ustach obrzydliwy smak starej walizki. Jeszcze dwa razy, lekkie szarpnięcie i udało się. Zostało sześć. A może zdoła się przekręcić na brzuch i zerwać? Szarpnęła, niestety nic z tego. Bydlak, który ją tak urządził, znał się na rzeczy. Zatem trzeba czekać. Wcześniej czy później pojawi się jakaś okazja... Przynajmniej ma taką nadzieję.

* * *

Alchemik zanurzył się w półmrok starego kościoła. Stary jak świat drewniany konfesjonał stał na swoim miejscu, tak jak sto lat temu... Był pusty. Sędziwój rozejrzał się czujnie, a potem wszedł do wnętrza. Uniósł deskę siedzenia i wsunawszy palce w szczelinę przesunął zapadkę. Tylina ściana otworzyła się. Zrobił krok naprzód, położył deskę, zatrzasnął drzwiczki. Nikt nie zauważył jego machinacji. Stał w absolutnych ciemnościach. Sięgnął na lewo; na wysokości jego głowy znajdowała się wnęka. Sądził, że namaca w niej świecę i krzesiwo, zamiast tego pod palcami poczuł obły kształt latarki. Cóż, postęp. Puścił mocny snop światła. Ksenonowa żarówka — stwierdził z uznaniem. Kilkadziesiąt schodów zaprowadziło go do podziemnego chodnika. Ściany naznaczone były gęsto otworami grubości ołówka, zaklajstrowanymi kitem. Mnisi osuszali mury kwasem fluorokrzemowym, który wnikając w pory starych cegieł, wiązał zawartą w nich wilgoć w krzemionkę.

Sędziwój uśmiechnął się w duchu. To on, przeszło cztery wieki wcześniej, odkrył kwas fluorokrzemowy. Miło czasem zobaczyć, jak własny wynalazek przynosi pożytek ludziom. Dno chodnika wylano betonem, miła odmiana: poprzednim razem musiał brodzić po kostki w cuchnącym szlamie. Przeszedł pod pierwszym dziedzińcem i teraz znajdował się w części klauzurowej. Mijał obojętnie odgałęzienia korytarzy, aż odszukał właściwe. Oświecił głaz wprawiony w ścianę. Schematyczny rysunek głowy byka. A więc to tutaj. Wspiął się po kilkunastu schodkach i stanął przed drewnianymi drzwiczkami, gęsto nabitymi żelaznymi ćwiekami. Gwoździe zalśniły czernią, były dobrze natarte woskiem, nie zardzewiały. Widok skrzętnej, mnisiej gospodarności uradował jego serce. Nacisnął klamkę, wszedł do sali. Ciut się zmieniła.

Kiedyś królowały tu alembiki i retorty, dziś ich miejsce zajmują piece i komory wysokich ciśnień. W instalacjach z miedzianych lub szklanych rurek leniwie cyrkulują ciecze. Tylko stary regał na odczynniki nie zmienił się.

Podszedł i ze wzruszeniem odczytał napisy na szklanych słojach. Vitrol, Hydrogenium, Spiritus, Natrium... Wspominał stare dobre czasy. I w tym momencie poczuł, jak coś wbija mu się pod łopatkę. Czyli w przejściu musieli sobie zainstalować jakiś sprytny alarm... Trzasnął bezpiecznik.

— Ładnie to tak gościa od razu traktować kałasznikowem? — warknął.

— Kim jesteś? — zapytał mnich.

— Przynoszę wam pochodnię prawdy.

Nacisk zelżał, z drgnięcia lufy Sędziwój odgadł, że stare hasło ciągle jest w użyciu. Szóstym zmysłem wyczuł kompletne zaskoczenie strażnika.

— Czym jest prawda? — padło pytanie.

— Wszystkie rzeczy wzięły się z jednego.

— Zatem rozdzielmy to, co w górze od tego, co na dole — mnich opuścił i zabezpieczył broń.

Alchemik odwrócił się przyozdabiając twarz uśmiechem.

— Zapytajcie opata czy mnie przyjmie.

— Kogo mam zaanonsować?

— Po co te formalności, powiedzcie opatowi, że Michał Sędziwój z Sanoka przybył z pielgrzymką...

* * *

Katarzyna wykonała kilka telefonów. Szpitale, ośrodki informacji o wypadkach, kostnice. Potem pion dochodzeniowy policji. Gdy odwieszała słuchawkę, na jej twarzy malował się wyraz obrzydzenia.

— Co ustaliłaś? — Stanisława, nie mogąc usiedzieć na miejscu, chodziła po mieszkaniu. Cóż, każdy ma inne metody na stres...

— Ano nasi dzielni stróże prawa szukają Moniki już kilka dni, od czasu gdy dyrektorka Domu Dziecka zgłosiła jej ucieczkę...

— I nawet nie sprawdzili szkół?

— Nasi uciekinierzy nie zwiewają po to, żeby chodzić do szkoły — mruknęła agentka.

Podeszła do komputera i uruchomiła go. Przyszedł mail od generała. Nareszcie. Lakoniczny ale wymowny.

Pobierz program. Hasła te same. Usuń po wykorzystaniu.

Poniżej widniał link do jednej ze stron CBS. Skopiowanie pakietu zajęło prawie godzinę. Uruchomiła program i zaklęła siarczyście

— Co się stało? — zaniepokoiła się kuzynka.
— Ci idioci zrobili wyjście z bazy na zewnątrz...
— Do Internetu?
— Właśnie. Każdy haker może się tam spróbować włamać... Dobrze, że przynajmniej dodali programy ochronne.

Postukała w klawisze i zalogowała się. Miała rację, że kazała zainstalować stałe łącze. Wpisała z pamięci kilka kodów. Baza stała przed nią otworem.

— No to do dzieła — mruknęła. — Sprawdzimy najpierw, gdzie w tym pięknym mieście znajdują się policyjne kamery...

Było ich osiemdziesiąt.

— Trudno ocenić, kiedy porwano Monikę. Prawdopodobnie między szóstą a wpół do ósmej rano. W szafasie zostały rolki, na których jeździła do szkoły i jej kurtka z biletem miesięcznym w kieszeni... To oznacza, że dopadli ją zaraz po przebudzeniu, gdy wyszła, aby się umyć. Prawie na pewno przyjechali samochodem... No to poszukajmy tego samochodu.

— Jak? — zdumiała się alchemiczka.

— Przy ulicy Półlanki wisi kamera rejestrująca natężenie ruchu ulicznego... — wystukała komendy i po kilku sekundach baza zaczęła pobierać film wykonany w godzinach odpowiadających czasowi porwania. Po dwudziestu minutach komputer Bazy zajął się identyfikacją wszystkich sfilmowanych pojazdów. Katarzyna tymczasem na przyspieszonym podglądzie przypatrywała się sznurowi aut.

— Szukam czegoś, co będzie wyglądało nienaturalnie — odpowiedziała na nie zadane pytanie Stasi. — Na przykład czegoś takiego jak to — zatrzymała klatkę. — Nowiutki mercedesik, do tego jeep. W sam raz, żeby przewieźć czterech byczków i wywieźć porwaną dziewczynę w bagażniku.

— Mamy ich?

— Nie wiem. To tylko jedna z możliwości. Równie dobrze mogli ją wywieźć w drugą stronę, albo w którąś z tych furgonetek... Cholera.

— Co się stało?

— System nie wychwycił numerów jeepa. Za to mamy właściciela mercedesa — palce przebiegły po klawiaturze z ogromną szybkością.

— CBS ma na niego furę materiałów — mruknęła. — Koleś nigdzie nie pracuje, a jeździ mercedesem. Jest podejrzewany o współpracę z gangiem...

— To by nawet pasowało.

— Nie możemy tego do końca założyć, ale może trzeba się będzie przejść i z ptaszkiem porozmawiać... Na razie sprawdzę jak inne filmy.

Trasę mercedesa można było prześledzić. Jeepa niestety nie. Wprawdzie kamery wychwyciły kilkanaście takich pojazdów, a system wyrysował ich trasy, ale nie było wiadomo, który jest tym poszukiwanym.

Zamyśliła się głęboko.

— Mogłybyśmy wykorzystać bazę do identyfikacji alchemika — powiedziała wreszcie. — Ale to po powrocie...

— Powrocie?

— Jest szesnasta. Nie wiem, czy zastaniemy naszego ptaszka w domu, ale można spróbować.

Wydrukowała sobie fotografię z dokumentacji, a potem wylogowała się z systemu i odłączyła komputer od stałego łącza.

* * *

Niewielka cela, półkoliście sklepiony sufit, okienko wychodzące na zamknięty dziedziniec. Po lewej stronie rząd portretów dawnych opatów i generałów zakonu. Po prawej ciężki, dębowy regał, zastawiony oprawionymi w skórę woluminami. Kilkaset ksiąg, najstarsze, sądząc po plecionych kapitałkach, pamiętają szesnaste stulecie. W kącie klęcznik z pulpitem, na nim otwarty brewiarz. Stare biurko z pociemniałego drewna orzechowego, wysokie renesansowe krzesło z rzeźbionym oparciem. Drugie składane dla gości. Ceglana podłoga, nierówna, wytarta przez tysiące stóp.

Mnich za biurkiem lustruje przybysza wzrokiem. Alchemik nie pamięta, że na ścianie naprzeciw okna wisi kilka portretów dobroczyńców i przyjaciół zakonu. W tym także jego... Wyblakłe oczy starca przenoszą się z twarzy gościa na portret i z powrotem. Podobieństwo jest uderzające. Gdy przed dwudziestu laty obejmował tę funkcję, przekazano mu kilka sekretów zakonu. Został też ostrzeżony, że kiedyś może nadejść dzień, gdy dawny przyjaciel powróci.

— Czego żadasz, synu? — zapytał, gestem wskazując krzesło.

— Zakon dominikanów zawsze był bliski mojemu sercu — Sędziwój nie odpowiedział wprost. — Czasy mamy ciężkie, więc jak to było w przeszłości, chciałbym wesprzeć was skromnym datkiem.

Półówka sztabki ze szwajcarskimi oznaczeniami spoczęła na blacie z cichym brzęknięciem.

— Czy wyznaczasz cel, na który mamy to przeznaczyć?

— Lepiej znacie swoje potrzeby...

Mnich w zadumie zważył kawałek metalu w dłoni.

— A więc ciągle żyjesz — mruknął — opowiadano mi o tobie. Jesteś alchemikiem...

— Owszem. Ale i wasz zakon zawsze parał się tą sztuką. Nawet kiedyś podpaliliście przy okazji miasto...

— Stare dzieje. Wypadek przy pracy — uśmiechnął się opat. — Zresztą sami też ucierpieliśmy, bo pożar strawił w pierwszej kolejności naszą siedzibę...

— Jak widziałem i dziś wasza pracownia nie stoi pusta. Obiło mi się o uszy, że istnieje tajna bulla papieska piętnująca „fałszywą naukę alchimistów”.

— Owszem, swojego czasu taka obowiązywała, jednak Jan XXIII ją uchylił na wieść, że mnisi prawosławni na świętej górze Atos podjęli prace. Nasz zakon, jako od wieków zgłębiający tajniki alchemii... Zresztą wiesz o tym.

— Wiem.

— Nie przybyłeś, synu, po to, aby nas oświecić?

— Jeśli wyrażicie takie życzenie.

Mnich pokręcił głową.

— Życie wieczne to zbyt duża pokusa — powiedział. — Duch ludzki jest zbyt słaby, by stawiać go przed takim wyzwaniem.

— Nie przesadzajmy z tą wiecznością... — skrzywił się.

— Kto wie, jak długo przeżyjesz? Może całe milenium... Zawsze byłeś naszym przyjacielem, więc będzie nam miło, jeśli nadal będziemy mogli świadczyć sobie nawzajem przysługi.

Sędziwój skłonił głowę, ale nie odrzekł nic.

— Jak możemy się zrewanżować za hojną ofiarę? — zapytał opat.

— Ofiary wręcza się z potrzeby serca. Jednak istotnie przybyłem, by prosić was o pewien drobiazg.

— Jeśli tylko będzie to w naszej mocy...

Milczał przez chwilę.

— Usiłowałem odnaleźć piątkę moich uczniów. Prawdopodobnie nie żyją, ale muszę spróbować.

— Jak możemy ci pomóc?

— Gdyby ktoś o mnie pytał, dajcie mu to — położył na blacie wizytówkę z numerem telefonu komórkowego.

— Spełnimy twoją prośbę...

— Jeszcze jedno pytanie. Widzę, że idziecie z duchem postępu i wasz mały arsenalik zaopatrzony został w broń automatyczną... Ale czy gdzieś pod ścianą nie znajdzie się skrzynka z kulami do króciцы? Potrzebuję kilku sztuk.

— Choćby i cały kilogram — na twarzy opata pojawił się uśmiech.

* * *

Mercedes parkuje na trawniku, a zatem ptaszek prawdopodobnie jest w domu. Czteropiętrowy blok w Nowej Hucie. Drzwi jak każde inne, dwa zamki gerdy.

Pokazała kuzynce, gdzie ma stanąć. Stanisława wyjęła z torebki nagana. Może się przydać. Katarzyna zadzwoniła i cofnęła metr od drzwi. Uśmiechnęła się słodko, żeby gangster, gdy spojrzy przez wizjer, zobaczył miłą wyglądającą dwudziestolatkę. Nie spojrzał, otworzył od razu. Na widok blondynki z warkoczem aż oblizał się w duchu.

I w tym momencie czubek buta trafił go między nogi. Gdy leciał do przodu, zainkasował dwa kolejne kopniaki: w splot słoneczny i szczękę. No dobrze, to ostatnie uderzenie trochę jej nie wyszło, za to złamała mu nos...

— Yyyy — zawył, gdy już mógł złapać oddech.

— Centralne Biuro Śledcze — pokazała mu legitymację.

A potem wepchnęła do mieszkania i weszła za nim. Stanisława szybko zlustrowała wszystkie cztery pokoje. Nikogo.

— Mam prawo do adwokata — wybełkotał.

— Gównu — powiedziała z przekonaniem i przyładowała mu jeszcze raz. — Gdzie byłeś dziś rano między szóstą a ósmą?

— W domu — odparł szybko i zaraz pożałował.

Umiejętnie zadany kopniak w kolano jest potwornie bolesny.

— Kłamiesz. Nie słyszałeś, że organom ścigania należy mówić wyłącznie prawdę? Co ci się stało w nogę?

Któreś z uderzeń musiało uszkodzić opatrunek; na dresie pojawiła się plamka krwi

— Skaleczyłem się...

— Kasiu — Stanisława pojawiła się w drzwiach kuchni z bułatowym sztyletem w ręce. — Miałaś rację.

— Gdzie jest dziewczyna? — agentka zwróciła się do byczka.

— Nie wiem.

Stanisława przeżyła czterysta lat, ale dotąd sądziła, że wyrażenie „wdeptać kogoś w podłogę” to tylko taka przenośnia. Efekt działań kuzynki był na tyle paskudny, iż cofnęła się do pokoju. Katarzyna skończyła. Dresiarz leżał na ziemi i charczał. Złamana ręka, potrzaskane żebra, zapuchnięte oko, zęby jak perły rozsypane po całym przedpokoju.

— Skłamiesz raz jeszcze i nie żyjesz — powiedziała spokojnym, rzeczowym tonem. — I zrobię to tak, żeby wyglądało na robotę psychopaty — zacytowała kwestię zasłyszaną w jakimś filmie.

Uwierzył natychmiast.

— Naprawdę nie wiem — połamany palcami zasłonił się przed kolejnym ciosem. — Poszliśmy ją porwać z chłopakami, pobiła nas czterech, wtedy szef użył strzelby usypiającej...

— Zaczął gadać — poinformowała kuzynkę. — Dalej. Gdzie ją zabrał?

— Nie wiem. Pewnie do siebie.

— Gdzie mieszka? — zainteresowała się Katarzyna.

— Nie wiem...

— Nie pasuje.

Kuzynka znowu musiała wyjść. Gdy wróciła, dresiarz był już gotów zeznawać dalej. Kasia myła ręce pod kranem w kuchni. Buty trzeba będzie kupić nowe. Takie plamy ciężko wywabić.

— Naprawdę nie wiem — wycharczał. — Przysięgam. Kontaktujemy się z nim na komórkę.

— Numer — warknęła.
— To on dzwoni do nas. Jak jesteśmy potrzebni. Czasem raz w miesiącu, czasem rzadziej...
Ale nie podaje nigdy swojego numeru.
Wzięła ze stolika jego telefon. Schowała do kieszeni.
— Po co ją porwał?
— Nie wiem, nie mówił nam.
Uniosła stopę do góry.
— A co dla niego robiliście? — zapytała.
— Włamania do mieszkań. Do kolekcjonerów; stare księgi, obrazy, dawna broń. Aż nas to zdziwiło. To nie była taka zwykła dziewczuszka — dodał wypluwając jeszcze jeden złamany ząb.
— Spuściła nam czterem łomot. Ona się tak szybko ruszała... Jakby nie była człowiekiem.
Ugryzła mnie w nogę jakoś tak, że wyrwała dziurę jak po strzale z obrzyna...
— Jak się nazywa wasz szef? — zapytała mrużąc nagle oczy.
— Kazał mówić na siebie Dymitr.
Agentka zamyśliła się na chwilę.
— Jakbyś sobie coś przypomniał — wycodziła, — to masz zadzwonić. Jeśli włos jej spadł z głowy, wróć, i cały blok usłyszysz, jak umierasz.
Pokiwał zdefasonowaną gębą. Wyszły na korytarz.
— Jej? — zapytała tylko dla porządku.
— Nie sądzę, żeby w Polsce znalazł się drugi sztylet z bułatu. Po co Dymitr porwał naszą księżniczkę?
— Może ma to być przynęta na ciebie? — spojrzała z troską na kuzynkę. — O ile to ten Dymitr, o którym wspominałaś...
— Ja mu dam przynętę — zakręciła bębenkiem nagana.

* * *

Usłyszała ich kroki, gdy byli jeszcze daleko na korytarzu. Dwu. No cóż, bywało gorzej. Nie, w sumie nigdy nie bywało gorzej. Zawsze były szanse się bronić. Nóż w rękę, szablą, czasem same pięści... Zakuwano ją w kajdany, wiązano, ale zawsze jakoś potrafiła się uwolnić. Łańcuchem od kajdan też można udusić lub rozbić strażnikowi głowę... A teraz leży związana jak baleron... Cholera.

Przymknęła oczy. W odzyskaniu wolności nie będzie się liczyła siła, czy nawet jej szybkość drapieżnika. Tym razem jedyną nadzieję może pokładać w swoim umyśle. Jak sprowokować porywaczy, by ją uwolnili?

Weszli nieoczekiwanie. Liczyła uważnie. Dwa rygle w drzwiach i zamek zamknięty na dwa razy. Nie jest dobrze. Zamknęli drzwi za sobą. Na klucz. Ale nie zostawili na zewnątrz wspólnika, który zasunąłby rygle. A zatem trzeba drani pozabijać, zabrać klucze i droga ku wolności stoi otworem. No cóż, łatwe to nie będzie...

— Wiemy, że nie śpisz — warknął jeden z mężczyzn.

Otworzyła oczy. Twarz, przystojna, choć szcziurawata, zdradzająca pewną nieuchwytną obcość. Coś się malowało w zimnych oczach. Rozwiązłość? Chyba tak. Pedofil? Niewykluczone. A zatem dobra nasza. Niech spróbuje ją zgwałcić. Wystarczy, że oplecie mu uda wokół ciała i wycisnie duszę, zanim gość zdąży mrugnąć... Przeniosła spojrzenie na drugiego. I zmartwiała. Sieklucki, nauczyciel biologii... Nie miał na twarzy maski, nie starał się w żaden sposób ukryć, a zatem zabija ją. Pozbędą się, żeby nie mogła drania rozpoznać.

Teraz? Chyba jeszcze nie. Gdyby chcieli ją zabić natychmiast, przynieśliby broń, plastikowy worek, rozłożyli gazety na podłodze; krew łatwo wsiąka w beton i nie sposób jej potem usunąć...

— Widzisz, przyjacielu, mamy tu do czynienia z bardzo ciekawym przypadkiem zoologicznym — odezwał się Dymitr. — Wampirzyca...

— Młoda wampirzyca — uzupełnił biolog oglądając ją z widocznym zaciekawieniem.

Pamiętała jego wzrok pierwszego dnia w klasie. Teraz było w nim coś nowego. Patrzył zupełnie zimno, jakby podziwiał preparat w formalinie.

— Nie sędzę. Może mieć na karku kilkaset lat... Może nawet więcej niż myślimy — dodał w zadumie.

— Jesteś pewien, że to wampirzyca? — zaciekawiał się Mikołaj.

— Oczywiście. Widziałem w życiu co najmniej dwie, na Kresach i w Rosji... — po twarzy przebiegł mu cień. — Zresztą nie musisz wierzyć mi na słowo.

— Zęby ma normalne.

Dymitr obszedł Monikę dookoła. Wbił palce za uchem i przemocą otworzył jej usta, blokując nożem wepchniętym między zęby. W drugiej dłoni miał metalową łyżkę. Odgiął brutalnie język do tyłu. Prawie się zadławiła.

— Zobacz sam — biolog pochylił się i natychmiast odskoczył, bo strzeliła ssawką, celując między jego oczy.

— Jezu... — mruknął, choć był ateistą. — Miałeś rację.

Jego współnik wyciągnął nóż i spokojnie wytarł go o spodnie.

— Zapamiętaj, te bydlęta mają wyjątkową odporność na urazy. Tkanka regeneruje im się w kilka godzin. Jest jednak parę ciekawych metod walki. Po pierwsze reagują na wszystkie znane narkotyki, choć słabiej niż człowiek. Są podatne na alkohol. Ale tym, co może im naprawdę zaszkodzić, jest srebro.

Monika nie drgnęła nawet, życie nauczyło ją, by nigdy nie okazywać strachu, zwłaszcza wobec wroga. Mimo wszystko, w duszy poczuła żal, że jej tysiącletnie przeszło życie zakończy się tak banalnie. Umrzeć w walce, tak jak wtedy w Kosowie... Ulec po zmaganiach, zostawić wrogom na pamiątkę blizny, które będą z dumą pokazywali wnukom. Skonać na świeżym powietrzu... Zamiast tego zarzną ją związaną jak baleron w jakiejś piwnicy.

Dymitr spokojnie opróżnił kieszenie, układając jakieś rzeczy poza jej polem widzenia.

— Srebro parzy ich skórę — podjął wykład. — Ten proces można porównać z bardzo silną reakcją uczuleniową. Oczywiście nie wygląda to tak widowiskowo, jak w durnych, hollywoodzkich filmach.

Nieoczekiwanie przytknął jej rant srebrnej monety do policzka. Szarpnęła się w więzach, ale zdołała powstrzymać krzyk bólu.

— Zobacz sam. Już pojawiło się zaczerwienienie, za parę minut będzie tu bąbel wypełniony płynem surowicznym... — A zatem, skarbie — po raz pierwszy zwrócił się bezpośrednio do niej, — Stasia nie ma już tynktury, zapas musiał się jej skończyć przed wiekiem, ale przybyła do Krakowa, zapewne po to, aby odnaleźć Sędziwoja. Skąd wie, że tu jest?

Wzruszyła ramionami.

— Szkoda takiej ślicznej buzi — mruknął i przejechał monetą po jej drugim policzku.

Zamknęła oczy. Zginie. Żywej jej z rąk nie wypuszczą. Ale była pewna, że obie kuzynki Kruszewskie pomszczą ją, gdy tylko dowiedzą się, kto był zabójcą. A zatem? Zatem niech się bydlak znęca. Gdy ból okaże się nie do zniesienia, zacznie kłamać. Nie powie jednak nic, co mogłoby narazić jej przyjaciółki.

— Ech, widać od razu, że nikt nie nauczył cię posłuszeństwa i dobrych manier...

Przyłożył jej monetę do czoła.

— Ładna była mała — zarechotał Sieklucki.

Z miejsca odgadła wszystko. Nie lubił znęcania się. Nie był sadystą. Był kimś gorszym. Akceptował tortury, jeśli jego zdaniem wiodły do zamierzonego celu. Katował ludzi nie z potrzeby serca, ale z nieludzkiej obojętności. Z dwojga złego wolałaby chyba mieć do czynienia z sadystą...

— Czy wampiry zarażają się czarną ospą? — spytał przyjaciela.

— Skąd mogę wiedzieć? — też wzruszył ramionami. — A co, chcesz sprawdzić?

— E, jeszcze trochę czasu minie, zanim kultury bakterii odpowiednio wyrosną — machnął ręką. — Zresztą nie ryzykujemy rozwleczenia zarazy...

Nie wiedziała o czym mówi, w tej chwili czuła tylko potworny ból zranionego czoła.

— Jak Kruszewskie chcą znaleźć alchemika? — zapytał Dymitr.

Pokręciła głową. Ból eksplodował nagle, bez ostrzeżenia. Dopiero po sekundzie, gdy zdołała złapać oddech, zrozumiała że rzucił jej monetę na prawe oko. Czuła krew spływającą po policzku.

— Powiesz wszystko, powiesz — warknął. — Co najwyżej minie trochę czasu zanim cię złamiemy. Ale możesz być pewna... Każda istota posiadająca układ nerwowy musi się wcześniej czy później poddać, a nam się nigdzie nie spieszy...

Odpiął najniższy pas i zerwał koc okrywający jej stopy.

— Jak chcą znaleźć alchemika? — zapytał.

Nie odpowiedziała. Wziął w dłoń cienki, srebrny łańcuszek.

— Wiesz, to fascynujące — zwrócił się do biologa. — Ich inne tkanki też reagują na srebro... Zresztą zobacz sam...

Gdy odpiłowywał jej pierwsze dwa palce, milczała. Przy trzecim nie zdołała powstrzymać dzikiego skowytu. Wrzasnęła, aż zadrżały szyby w oknach.

— Niezły głosik — pokręcił głową Dymitr. — Z osiemdziesiąt decybeli jak nic... Gardziołka szkoda...

— Dziwne, nie ma krwawienia. Prawie nie ma — Sieklucki zmarszczył brwi, patrząc na kikuty palców uroczej niegdyś stopki.

— Związki srebra są dla nich bardzo toksyczne. Żył się obkurczyły, by zablokować przenikanie szkodliwych substancji w głąb organizmu — wyjaśnił. — No to co, będziesz gadać?

— Nie wiem — jęknęła. — Nie mówiły, jak mają zamiar go znaleźć. Katarzyna pracowała przy identyfikacji komputerowej. Jakoś tak.

Najlepiej brzmia kłamstwa pomieszczone z prawdą...

— Szczegóły — zażądał krótko.

— Nie wiem.

— Jakich programów chce użyć? Co porównywać? Do czego ma dostęp?

— Nie wiem...

Uderzył łańcuszkiem w jej drugie oko. Zapadła ciemność.

— Cholera, przesadziłeś — syknął nauczyciel. — Oślepiłeś ją...

— I tak idzie na raki... Jak na pierwszą rozmowę uzyskaliśmy niewiele — mruknął. — Niech sobie poleży do rana, może nabierze rozumu... Jak nie, to niestety trzeba będzie pokroić na kawałeczki... Jest odporna na ból, ale nie wie jeszcze, co to jest prawdziwy ból... Jak jej wyciągniemy jelita z brzuszka, to zmięknie...

Wyszli. Trzasnęły drzwi, a potem rygle. Przechyliła gwałtownym ruchem głowę. Gruczoły łzowe ciągle pracowały, wypłukiwały związki srebra z ran. Niech to szlag. Faktycznie wypalił jej oczy. Wszystkie oparzenia bolały ją potwornie, teraz dopiero, gdy napięcie opadło, poczuła jak bardzo.

Powolutku przekreśliła się na brzuch. Teraz, gdy z siedmiu pasów zostało tylko pięć, mogła tego dokonać. A zatem podciągnąć nogi, a potem... Może uda się jej zerwać pasy? Wbiła skute dłonie w twarde materac, stopniowo zwiększała nacisk. Pompka. To tylko pompka z ciężarem na plecach... Coś cicho trzasnęło. Po chwili rozległ się drugi podobny dźwięk. Kości? Nie. Sprężyny? Też nie. Z czego jest łóżko? Stalowa rama, stalowa siatka. Na to materac, też sprężynowy. Co tak chrupnęło? Jak siatka trzyma się łóżka? Na śrubkach albo zaczepach. A może została przynitowana? Czy ten dźwięk to były odrywane łepki aluminiowych nitów?

Natężyła ponownie wszystkie siły. Kolejne trzaski i wreszcie materac puścił, zapadł się, odrywając z jednej strony od ramy. Stoczyła się pod łóżko, pasy zostały na górze, przytrzymując niepotrzebny już koc. Chropawy beton podłogi pod policzkiem. Głęboko odetchnęła kilka razy.

A zatem pierwsza przeszkoda usunięta. Teraz pojawiają się kolejne problemy. Dłonie i kostki nóg ma ciasno skute kajdankami, jest naga, zamknięta na cztery spusty i nic nie widzi. Zmusiła się do płaczu. Prawe oko będzie jej odrastać przez parę dni, ale lewe zostało tylko draśnięte po wierzchu. Może wystarczy kilka, kilkanaście godzin? Na razie musi płakać, wypłukać związki srebra z rany.

Kajdanki. Całe szczęście z sex shopu, skrajnie prymitywna konstrukcja. Monika wygryzła w materacu dziurę wsunęła ręce do środka. Wyszarpnęła jedną sprężynę, złamała o krawędź łóżka. Nawet nic nie widząc zdołała się rozkuć w kilka minut. Teraz nogi.

Wraz z kąpiącymi łzami ból odrobinę jej ustępował. Położyła się na zarwanym pościeliu i zawinęła w koc. Dotknęła czoła. Palce musnęły brzeg rany. Srebro w międzyczasie wżarło się bardzo głęboko, ale bąbel zaczynał już klęsnąć. Ciało miała rozpalone. Gwałtowny dreszcz przebiegł jej plecy. Nie miała termometru, ale policzyła sobie puls. Nie wyglądało to dobrze, czterdzieści stopni gorączki jak nic...

Kolana jej drżały. Pewnie z nerwów. Trzeba się uspokoić. A zatem spać. Skoro do jutra postanowili dać jej spokój, musi zregenerować siły... Nakryła się kocem razem z głową, usiłując własnym oddechem nagrzać przestrzeń pod pledem. Chwyciły ją jeszcze mocniejsze dreszcze. Ale powolutku zaczęła się odprężyć. Kilka godzin odpoczynku powinno dobrze jej zrobić. Wrogowie nie zdołają zaskoczyć jej we śnie. Usłyszysz huk zasuw i obudzi się. A wtedy... No cóż, w Kodeksie niejakiego Hammurabiego napisano: oko za oko. Wprawdzie im nie odrosną, ale nie pożyją wystarczająco długo, by się tym przejąć...

* * *

— W Krakowie mieszka czterdziestu siedmiu różnych Dymitrów. Z tego dwie trzecie w blokach. Tych, jak sądzę, możemy skreślić.

— Dlaczego? — nie rozumiała Stasia.

— To bardzo proste. Porwanie to dość skomplikowana sprawa. Więźnia trzeba gdzieś trzymać. Z tego co znam Monikę, będzie usiłowała się uwolnić, może krzyczeć, kopać w ścianę... Sąsiedzi mogliby usłyszeć.

— A jeśli będzie ją trzymał zakneblowaną?

— Kłopotliwe. Poza tym jest jeszcze jeden problem. Setki okien. W starym bloku tkwią w nich staruszki, dla których obserwowanie okolicy to jedyne zajęcie urozmaicające szare dni emerytury. Trudno wnieść związaną dziewczynę do domu tak, aby nikt tego nie zauważył. Zwłaszcza, że jest to rano, ludzie wychodzą do roboty, dzieci do szkoły. Musiałby podjechać blisko klatki. Sądzę, że ma willę z garażem, a z garażu bezpośrednie przejście do piwnicy... — stuknęła pośpiesznie w klawisze.

— A jeśli zamknął ją nie w pobliżu domu tylko, na przykład, w wynajętym lokalu?

— Miejmy nadzieję, że nie. Żaden z samochodów nie został zarejestrowany na człowieka noszącego to imię — mruknęła. — Zobaczmy jednak, czy ich właściciele nie mieszkają gdzieś w pobliżu któregoś z czterdziestu siedmiu wytypowanych adresów. Po Monikę mógł się wybrać wozem kumpla...

To też nic nie dało.

— Teraz przydałaby się lista willi i domów z garażami. Kaszana, nie mamy czegoś takiego. Zatem tylko wille.

— Jak odróżniasz bloki i wille? — zdziwiła się alchemiczka. — Tu są tylko gołe adresy, a nie znasz Krakowa na tyle dobrze, by wiedzieć, co się mieści przy której ulicy.

— Oj, to proste, jeśli mamy adres w rodzaju osiedle Kazimierzowskie 23 mieszkania 56, to oznacza, że jest to blok. W willach nie ma kilkunastu mieszkań.

— Sprytnie — oceniła kuzynka.

Kuzynka wypisała dwanaście adresów.

— To potencjalnie pasujące miejsca. Musimy zawęzić listę poszukiwań.

Ściągnęła dane na temat właścicieli posesji.

— W jakim wieku jest Dymitr?

— Sądzę, że ma około 430 lat...

— Cholera. Inaczej, na jaki wiek wygląda?

— Gdzieś między trzydziestką a czterdziestką.

Parę minut grzebała w danych.

— Pasują trzy adresy — powiedziała wreszcie. — Wszyscy trzej nie byli dotąd notowani.

Postukała długopisem w zęby.

— Musiał przybyć niedawno i załatwić sobie fałszywą tożsamość. Kurczę, jakie te dane są niekompletne... — warknęła. — Ale zobaczmy hipotekę. Jest częściowo skomputeryzowana... Dobra, mamy go — wskazała jeden z adresów. — Ta willa zmieniła właściciela trzy lata temu.

— Jesteś pewna?

— Nie do końca. Ale ten mężczyzna ma samochód odpowiadający opisowi, mieszka sam i jest w odpowiednim wieku. Trzeba zobaczyć na miejscu...

Z pawlacza ściągnęła sporą walizkę i ruszyła do wyjścia. Kuzynka zarzuciła na siebie kurtkę, po czym poszła za nią.

* * *

Alchemik lubi od czasu do czasu przejrzeć prasę. Z reguły kupuje sobie po jednym egzemplarzu każdego z dzienników i czytając porównuje wersje. Przeglądając polskie gazety czuje wzbierającą złość. Zdrada, afery, korupcja... Krajem rządzi najgorsza możliwa hołota. Nigdy dotąd nie było tak źle. Najgrubszy dziennik, pełen ogłoszeń, wziął do ręki po raz pierwszy i ostatni w życiu. Kto to, do diabła, wydaje? I dla kogo? Czy jest aż tylu zdrajców ojczyzny, by opłacało się utrzymywanie tego tytułu na rynku?

Rzucił gazetę z obrzydzeniem do kosza i odruchowo umył ręce.

Informator kulturalny. Kultura też upiornie zeszyła na psy, ale może znajdzie się coś ciekawego... Kartkował w zadumie i nagle... Zobaczył to kątem oka. Nieczęsto widuje swoje nazwisko na papierze.

— *Sesja naukowa w czterechsetną rocznicę opublikowania „Traktatu o rtęci” mistrza Michała Sędziwoja z Sanoka* — jego głos odbił się echem w rozległym mieszkaniu. — *Wstęp wolny.*

Przez dłuższą chwilę siedział w fotelu i wreszcie, nie mogąc się powstrzymać, parsknął serdecznym śmiechem. To może być ciekawe doświadczenie, do tej pory nigdy nie brał udziału w sesji naukowej poświęconej własnym badaniom... Godzinka czasu, akurat trochę się prze-spaceruje. W drogę!

Naraz zaświtał mu do głowy jeszcze jeden szalony pomysł. Otworzył szafę z ubraniami. Na tę okazję trzeba jakoś wyglądać... A zatem szeroki, skórzany kapelusz ze strusim piórem, biała kryza pod brodą, koszula z koronkami, skórzany pas, rapier u boku, obszerny płaszcz. Spojrzał na siebie w lustrze. I nagle poczuł jakby czas się cofnął. Znowu jest w Krakowie, znowu ubrany z cudzoziemska, jak przystało na uczonego męża... Położył dłoń na rękojeści rapiera, a potem z lekkim uśmiechem wsunął za pas nabitą króciwą. Zawsze chodził po mieście uzbrojony...

Wyszedł z kamienicy. Zapadał już wczesny, jesienny zmrok, ale było dość ciepło. Wicher strącał z drzew liście. Alchemik przeszedł na drugą stronę i ruszył Plantami.

Dlaczego sesja naukowa odbywać się miała w siedzibie Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii? Trudno powiedzieć.

Wszedł na salę. Impreza zgromadziła niewielu słuchaczy. Kilku luminarzy nauki w garniturach, kilkunastu emerytów, w których wiek nie zabił jeszcze ciekawości. Sporo studentów, zapewne przyszli na polecenie swojego promotora... Obrzucili wchodzącego spojrzeniami i kilku uśmiechnęło się serdecznie, sądząc widzieć, że człowiek przebrany za alchemika jest dekoracją zamówioną przez organizatorów. Na sali było też trzech mnichów z zakonu dominikanów, pod wodzą przeora. Przyszli ubrani „po cywilnemu”, ale rozpoznał ich. Wymienili ukłony. Na twarzach duchownych odmalowało się rozbawienie. Docenili finezję dowcipu.

Sędziwój siadł sobie grzecznie w kącie. Dwa godzinne wykłady. Trzeba przyznać, że od strony naukowej nic nie można było im zarzucić. Zreferowano dość dokładnie jego życiorys, myląc się tylko w drugorzędnych szczegółach. Wymieniono pisma. Cóż, stworzył i opublikował jeszcze dwa lub trzy traktaty, ale widocznie nie zachowały się...

Jeszcze pokaz slajdów: głównie drzeworyty pochodzące z tak zwanej „Niemej księgi” oraz rysunki i obrazy pracowni alchemicznych. Sesja skończyła się. Organizatorzy zaprosili na poczęstunek. Alchemik wyszedł na ciasny przedpokój.

— Witaj mistrzu.

Uniósł wzrok na stojącego przed nim mężczyznę. Minęło czterysta lat, ale poznał go z miejsca.

— Dymitr.

— Mistrzu, ileż to już lat się nie widzieliśmy — twarz dawnego pomocnika rozciągnęła się w uśmiechu.

W mózgu Sędziwoja zapaliło się ostrzegawcze światełko. Wyczuł fałsz.

— Co dobrego słysząc? — zapytał.

— Żyje się pomalutku — odparł uczeń. — Lubię to miasto... Mistrzu, może napijemy się lampkę wina z okazji spotkania?

Alchemik spojrzał na stół i lekko się skrzywił.

— Mam dobre w domu — wyjaśnił Dymitr. — Francuskie, pięćdziesięcioletnie. Dostałem od znajomych, winogrona ze stoków zamku Maria Serena. Nie do kupienia w sklepie.

— Daleko mieszkasz?

— Kawalek stąd, ale mam samochód...

Po chwili wsiedli do zaparkowanego nieopodal jeepa. Ruszyli przez ciemne miasto.

— Widzę, że się trochę dorobiłeś — mruknął Michał.

— Jak się żyje tyle czasu, człowiek uczy się dobrze lokować pieniądze, tak aby przynosiły zyski. Jeśli potrzebujesz, mistrzu, pieniędzy...

— Mam — uciął krótko.

Zatrzymali się przed niewielką, ciemną willą. Otaczały ją stare kasztanowce.

— No, nieźle się urządziłeś — ocenił Alchemik.

Weszli do holu, a potem do salonu. Na kominku dogasał żar.

— Siadaj mistrzu, a ja wszystko przygotuję...

Zapadł w głęboki fotel. Dymitr puścił muzykę, miał naprawdę wysokiej klasy sprzęt. W pierwszej chwili gość nie poznał melodii. Dopiero po kilku minutach zorientował się, że to chyba któryś z poematów symfonicznych Kontantinas Mikolajosa Ciurlionisa. Uniósł ze zdziwieniem brwi. Dymitr się ucywilizował?

Były uczeń nadszedł, niosąc na tacy dwa kieliszki i paterę z pokrojonym sernikiem. Siedli przy niskim stoliku.

— Za spotkanie — stuknęli się nad stołem.

Wino faktycznie było znakomite. Nie dopił do końca. Kieliszek wysunął mu się z ręki. Zdawał się lecieć w stronę podłogi całe minuty. Pozostawiał za sobą świetlistą smugę. Za dłońmi Dymitra również ciągnęły się jasne pasma. Wokół obrazów na ścianach pojawiły się fosforyzujące otoczki. Alchemik chciał wstać, ale poczuł potworne osłabienie.

— Tetraheksanol i odrobina LSD — powiedział uczeń z chytrym uśmieszkiem. — Wybacz mistrzu, ale przecież z własnej woli nigdy nie dałbyś mi tynktury. Przejrzałeś mnie już wtedy, w korytarzu. Ale ciekawość, ta twoja patologiczna ciekawość...

Przyskoczył do fotela i zaczął przeszukiwać kieszenie Michała. Alchemik z trudem zdołał unieść rękę, ale nie miał dość siły, by go odepchnąć. Po chwili Dymitr odskoczył w tył, z triumfem ściskając w dłoni niedużą, żółtą kulę.

— Piłeczka z kości słoniowej — zachichotał ucieszony. — Należała do Kelleya, jeśli się nie mylę? Pamiętam wszystko, pamiętam. Rozkręca się...

Usiadł w drugim fotelu i delikatnie otworzył puzderko. Wewnątrz znajdowało się kilkanaście gramów czerwonych kryształków.

— Tynktura, kamień filozofów... Mam zapas na trzy tysiące lat życia! — ucieszył się.

Alchemik usiłował coś powiedzieć, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Pokój kręcił się, głos dawnego ucznia docierał do niego jak przez watę.

— Inni — wykrztusił wreszcie.

— Twoi pozostali współpracownicy? Dwaj nie żyją, zadbałem o to osobiście, a ściślej rękami jednego młodego idioty. Przejąłem ich zapasy.

— Dawno?

— Jeszcze przed wojną. Janek żyje, chyba, nie widziałem go. I Stasia żyje. Ale nie martw się, już niedługo spotkacie się wszyscy w piekle... No, nie jestem bez serca, poczekam aż stracisz przytomność i dopiero wtedy cię zastrzelę... Nic nie poczujesz, zasłużyłeś na dobrą śmierć. Ale najpierw...

Pobiegł do kuchni.

Sędziwój przymknął oczy i skoncentrował się. Musi odzyskać władzę nad swoim ciałem. Musi. Zogniskował wzrok. Dłoń powoli zacisnęła się w pięść. Teraz druga. Jakoś to idzie. Uczeń wrócił z butelką.

— Eter lekarski — powiedział. — Jak wtedy go nazywaliśmy? Merkuriusz?

— Alkahest, nieuku... — wycharczał mistrz.

Dymitr dopił swoje wino i wsypał do kieliszka szczyptę proszku. Zalał odrobiną eteru z butelki. W powietrze buchnął upiorny, szpitalny smród. Zamieszał. Zatkanął nos i pospiesznie łyknął całą dawkę. Szybko zagryzł kawałkiem sernika. I dopiero wtedy złapał oddech.

— Eter jest niezły — westchnął. — Piłem go kiedyś tu, w Krakowie, z Przybyszewskim i Tadeuszem Boyem-Żeleńskim. My artyści...

Nagle złapał się za żołądek i bez słowa osunął na ziemię. Alchemik, walcząc z bezwładem, wstał. Zatoczył się, ale oparł o komodę i zdołał utrzymać na nogach. Dymitr wymiotował jak wulkan.

— Chlorek złota — warknął Sędziwój. — Podobny, prawda? Wiedziałem, że wcześniej czy później trafię na kogoś takiego jak ty.

Powietrze falowało jak zielonkawe morze, ale dobrze widział wroga ciągle skulonego na podłodze.

— Cholernie silna trucizna... — szepnął. — Ale nie martw się. Większość zdołałeś zwymiotować...

Dymitr spojrzał na niego z bezrozumną nadzieją.

— Dwa morderstwa, jedno usiłowanie i dwa planowane — głos mistrza stał się zimny. — I pewnie szereg innych sprawek na przestrzeni ostatnich czterystu lat.

Uczeń rzucił się konwulsyjnie i usiłował wczółgać pod stół. Alchemik wyjął zza pasa króci-
cę.

— Żegnaj, były przyjacielu. Dosięga cię ręka sprawiedliwości, tedy po chrześcijańsku wy-
bacz mi mój uczynek — zacytował starodawną rotę kata.

Wiele razy brali obaj udział w egzekucjach. W XVII wieku była to jedna z nielicznych rozry-
wek fundowanych obywatelom przez władze miasta...

Oczy Dymitra spoglądały na niego ze skrajnym niedowierzaniem.

To już? — zdawał się pytać wzrok. — Czy po to przeżyłem cztery wieki, by umierać jak pies,
na podłodze?

Mistrz stał nad nim z bronią gotową do strzału. Pistolet miał przeszło czterysta lat. Rękojeść
zrobiono z dębowego drewna, poczerniałego wraz z upływem czasu. Lufa i zamek lśniły oło-
wianą barwą starej stali. Rosyjski nagan robi niezapomniane wrażenie, ale daleko mu do króci-
cy. To straszna i piękna broń. Wzbudza szacunek od razu i na zawsze. Kaliber siedemnaście
milimetrów. Mniej więcej tyle ma irackie działko przeciwlotnicze. Ścianki lufy są grube na
sześć milimetrów. Wewnątrz drzemie ładunek czarnego prochu i ołowiana kula wielkości nie-
mał przepiórczego jaja.

Na wargi Dymitra wypełził pogardliwy uśmiech. Niedoczekanie. Mistrz nie zobaczy jego
słabości. Przeżył 430 lat. I wystarczy. Ale odejdzie z godnością. W oczach zabłyśły mu iskry
gniewu.

— Wybaczam ci panie, albowiem nie jesteś winien mej śmierci — pamięć podpowiedziała
mu stosowny cytat. — Ino uderzaj tak, abyś nie musiał poprawiać.

Alchemik pociągnął za spust. Dawno nie strzelał. Ogłuszający huk wstrząsnął willą. Jedna
z szyb w oknie pękła. Straszliwy odrzut poderwał mu rękę do góry. Nadgarstek zabolął jak
przetracony. Ale nie miał czasu o tym myśleć. Powietrze wypełnił gryzący dym. Zapachniało
siarką, prochem, śmiercią. Spojrzał na parkiet...

Kula trafiła ucznia w skroń. Dziura wlotowa wyglądała paskudnie. Wylotowej woli nie oglą-
dać. Iskry gniewu w oczach zabitego zgasły. Pierś poruszyła się raz jeszcze i opadła. Już nie
oddychał. Sędziwój wyciągnął zwłoki spod stołu i, dla pewności, opierając się na rapierze jak
na lasce, przyszpilił je do podłogi. Długo stał oparty o komodę i ciężko łapał powietrze. Zawro-
ty głowy powoli mu przechodziły.

Zza pasa wyjął rękawice i rzucił je na trupa. A potem, ciągle zataczając się, ruszył w stronę
drzwi.

* * *

Katarzyna i jej kuzynka wysiadły z taksówki na początku ulicy. Ostatni odcinek trzeba poko-
nać pieszo... Ruszyły po nierównym chodniku. Domy drzemały za parkanami z kutych metalo-
wych prętów. Granatowy jeep stał zaparkowany przed willą otoczoną starymi kasztanowcami.

— To tutaj — mruknęła Stanisława.

— Przynajmniej tak sędzę... — agentka wcisnęła guzik dzwonka na murze koło furki.

Odpowiedziało jej milczenie. Sądząc po nikłym poblasku na szybach, gdzieś wewnątrz domu paliło się światło. Stasia pchnęła kutą furtkę, a ta uchyliła się gościnnie. Drzwi były jednak zamknięte.

— Może wywalimy okno i wejdziemy do środka? — zaproponowała.

— Po co, zaraz sforsuję zamki...

— To gerda, sześć miliardów kombinacji!

— Trzy minuty roboty — prychnęła agentka. — Zresztą zobacz sama — wsadziła w zamek klucz. — To tak zwany urywek. Pasuje z grubsza do zamka, ale zrobiony jest z tytanu — wyjaśniła. — Teraz dźwignia — przez uszko przełożyła długi pręt z dobrej stali narzędziowej.

Uwiesiła się końca.

— Pomóż — poleciła.

Pociągnęły razem.

Zamek przez chwilę stawiał opór, a potem rozległo się głośnie chrupnięcie.

— Jak to działa?

— Łamie zapadki. Dzięki temu wewnętrzny trzpień obraca się bez przeszkód...

Otworzyła jak własnym kluczem i nacisnęła klamkę. Drzwi stanęły otworem.

— Gotowa? — zapytała kuzynkę.

Ta kiwnęła głową. Odbezpieczony nagan tkwił w jej dłoni. Ruszyły ostrożnie w stronę smugi światła sączącej się spod niedomkniętych drzwi na końcu holu wejściowego. Pchnęła, dobrze naoliwione zawiasy nie skrzypnęły. Stół, dwa talerze, na podłodze zwłoki. Wszystko przyprószone niedopalonymi resztkami prochu.

Ciało przybite rapierem do dębowych klepek wyglądało jak dziwaczny owad przytwierdzony szpilą entomologiczną do dna gablotki.

— Dymitr — Stasia pochyliła się nad ciałem. — Ktoś go zabił... Kat.

— Co ty bredzisz, jaki znowu kat? — zdziwiła się Katarzyna.

— Rękawice — wskazała na brzuch trupa. — To stary zwyczaj, kat zawsze wrzuca je do trumny skazańca po wykonaniu wyroku...

— Nigdy o tym nie słyszałam. Zresztą kary śmierci nie wykonuje się w Polsce od jakichś dwudziestu lat...

— Zabił go ktoś z naszych — oceniła Stanisława. — Strzelił mu w skroń z króciicy.

— Może z dubeltówki? — zamyśliła się agentka parząc na dziurę wlotową. — Hmm. Szybkość pocisku była mniejsza, skoro kość popękała wokoło... Może masz rację. Monika?

— Chyba nie... Na podłodze leżą dwa kieliszki. Pił z kimś, a potem dosięgła go śmierć. Ale identyfikacja domu okazała się prawidłowa. Poszukajmy naszej przyjaciółki. I ostrożnie, nie sędzę, żeby zabójca ciągle tu był, ale...

Parter. Obeszły wszystkie pomieszczenia. Pusto.

— Fatalnie. Moniki też tu nie ma — westchnęła Stanisława.

— Tu jest piwnica — pokręciła głową jej kuzynka. — Przy ścianach są ślady po kaloryferach. Musiał mieć gdzieś kotłownię. Pogrzeb po papierach, tylko uważaj, nie zostaw odcisków palców, a ja się rozejrzę.

Oglądała uważnie podłogę, gdy usłyszała zduszony jęk.

Alchemiczka położyła na stole pięć teczek. Na okładce każdej wyrysowano szkic twarzy. Dwa przekreślone były czarnym tuszem. Z pozostałych patrzyły oblicza jej, człowieka używającego obecnie nazwiska Skórzewski oraz starszego mężczyzny z kryzą pod brodą.

— Michał Sędziwój z Sanoka... — mruknęła Katarzyna.

— Jak żywy...

— Do plecaka, przejrzymy później — zdecydowała. — Szukaj, czy nie ma czegoś jeszcze.

Laptop księżniczki. Kilka siedemnastowiecznych traktatów alchemicznych oprawionych w poczerniałą ze starości skórę. Na rogach miały śliczne okucia. Alchemiczka bez żenady przywłaszczyła je sobie. Kuzynka penetrowała kuchnię.

— Mam kłapę — zaraportowała. — Spieszmy się.

Zejdźcie do piwnicy zamaskowano bardzo przemyślnie; stała na nim kuchenka gazowa. Tyle tylko, że rura przytwierdzona była na słowo honoru a urządzenie nie podłączone do instalacji.

Odsunęły je i poświeciły do środka latarkami. Schodki i piwniczka. Zeszły na dół. Okienka od strony ogrodu wpuszczały rozproszone światło latarni.

— Monika! — krzyknęła Katarzyna. — Jesteś tu?! To my!

Odpowiedział jej niewyraźny jęk. Drzwi zaopatrzone w solidne rygle. Raz jeszcze przydał się urywek. Wyłamały zamek. Księżniczka leżała na pryczy, naga, narzucona kocem, zwinięta w kłębek. Podniosła głowę. Jedno oko miała całkiem wypalone. Powieka drugiego, zlepiona ropą, drgnęła. Spojrzała na nie półprzytomnie. Plamy oraz rogowe płytki znaczyły rogówkę i tęczówkę. Żrenica była nienaturalnie rozszerzona. Zasychające już rany na czole i policzkach.

— O mój Boże... — syknęła alchemiczka. — Co się stało?!

— Srebro, biolog — jęknęła księżniczka, a potem straciła przytomność.

— Katarzyna odsunęła szorstko kuzynkę, przyłożyła dłoń do czoła dziewczyny.

— Ma bardzo wysoką gorączkę — powiedziała poważnie. — Bydlak torturował ją jakimś srebrnym przedmiotem. Zatrula się związkami tego metalu.

— A oczy?

— Poparzył jej tak samo. Ale przynajmniej trochę widzi... Zabierzmy ją stąd!

Wyniosła Monikę, nadal zawiniętą w koc, na górę.

— Wezwać taksówkę? — kuzynka wyjęła elegancki telefon komórkowy z torebki.

— Nie. Zabieramy samochód Dymitra — odparła twardo agentka. — Jemu już i tak nie jest potrzebny.

— A kluczyki?

— Trzeba sprawdzić w kieszeniach.

Po chwili wsiadły do jeepa. Księżniczkę położyły na tylnym siedzeniu. Katarzyna prowadziła bardzo pewnie, choć szybkość jaką rozwinęła, zaparła nieco jej kuzynce dech w piersiach. Wniosły Monikę na piętro i umieściły na łóżku. Stanisława pobiegła do apteki na rogu. Wróciła z zakupami.

— Srebro jest dla niej chyba bardzo toksyczne. Zobacz, w tych miejscach komórki usiłowały je otorbić. Sądzę, że mamy tu do czynienia głównie z chlorkami i siarczkami tego metalu...

— Co robimy?

— Daj sól fizjologiczną. Przemyjemy...

Starannie oczyściła szramy. Gorączka była nadal bardzo wysoka. Monika obudziła się.

— Księżniczko, jak możemy ci pomóc? — zapytała agentka.

— Oczy...

— Widzisz coś? — jej kuzynka przeszła na serbski.

— W lewym jak za mgłą. Odrosną... parę dni — wyszeptała. — Pić... Nie wiem... Srebrem po oczach nigdy... Biolog...

Znowu odpłynęła w gorączkowe majaki. Stanisława ostrożnie napoiła ją wodą. Katarzyna przepłukała oczy księżniczki.

— Jak to wygląda?

— Źle — mruknęła. — Lewego praktycznie nie ma, same skrzepy i coś jakby róg... Prawe w płamy. Może się i zregeneruje...

Zajęła się teraz jej stopami. Tu nie było problemu, wszystko zaschło i jakby skamieniało.

— Tkanka podobna do paznokcia — stwierdziła. — Trzy palce jej urznął... Cholerne ścierwo...

— Czego od niej chciał?

— Cholera go wie. Ale skoro użył srebra, wiedział że jest wampirem. Słuchaj, temperatura nie opada. Skocz po piramidon...

Pobiegła. Po zaaplikowaniu czopków gorączka nieco zelżała, a oddech dziewczyny uspokoił się. Obie kuzynki mogły przejść do drugiego pokoju. Przez uchylone drzwi spoglądały na śpiącą podopieczną.

— Może trzeba było ją jednak zawieźć do szpitala? — zastanawiała się agentka.

— I co im powiesz? Macie tu wampiryzę, zatruta się srebrem, oczami się nie przejmujcie, odrosną jej. Tylko nie podchodźcie znienacka, w zdenerwowaniu może ugryźć? — w głosie zabrzmiał sarkazm.

— Fakt.

Milczały przez chwilę.

— Pokaż te materiały — poprosiła Katarzyna.

Pięć teczek, przedwojenne, z tektury podklejonej szarym płótnem. Na każdej szkic, wewnątrz papiery. Dymitr odnotował starannie, gdzie kto mieszkał w jakich okresach, gdzie pracował... Tuż po pierwszej wojnie światowej dorwał Zygryda i Hanusza — dwu mieszkających w Kra-

kowie uczniów Sędziwoja. Kilkanaście lat później zdołał namierzyć Stasię, jednak zamach w szkole nie powiódł się... Teczka dotycząca alchemika była prawie pusta. Kilka kart z notatkami. Żadnego sensownego śladu. Skórzewskiego też nie zdołał na szczęście znaleźć.

— Nam też to nie pomoże — westchnęła alchemiczka.

— Ciekawe, swoją drogą, kto go zabił... Bo pomyślałam sobie właśnie...

— Że Sędziwój?

— Tak. Rapier, rękawiczki rzucone na zwłoki, kula z króciicy... Może wpadli na siebie jakoś przypadkowo? Zaprosił go do domu, wywiązała się walka...

— Niewykluczone. Na ile ten portrecik jest dobry?

— Bardzo dokładny...Chcesz go użyć zamiast zdjęcia?

— Nie, chyba nie da rady. Widzisz, fotografia to konkret. A tu rysował z pamięci. Nawet jeśli dobrze wyłapał podobieństwo, to charakterystyczne punkty mogą być w ciut innych miejscach...

— A nie możesz go wyszukać bazą? Przecież jeszcze cię nie odcięli? Jeśli znalazłaś ten dom po zaledwie kilku godzinach grzebania, to może...

— Nie mam punktu zaczepienia — pokręciła głową. — Wtedy mogliśmy się domyślać, że ma dom i jaki posiada samochód. Potem wystarczyło proste porównanie. Tu...

Zamyśliła się.

* * *

Mistrz Sędziwój włókł się noga za nogą. W głowie ciągle mu się kręciło, jakby za dużo wypił. Zawroty przychodziły falami, ale lodowate nocne powietrze powoli przyniosło mu ulgę. Na Plantach usiadł na chwilę na zroszonej ławce.

— Tetraheksanol — mruknął sam do siebie.

Tym zaprawił go Dymitr. Alkohol sześciowęglowy, z podwójnym wiązaniem i chyba trzema grupami wodorotlenowymi — jednak nauka współczesnej chemii nie poszła w las. Coś pamiętał. Wiedział też o czymś, co niechętnie wspominały podręczniki. Tetraheksanol działał podobnie jak pocziwy alkohol etylowy, tyle że siedemnaście razy mocniej. Jeden gram tego draństwa walił po głowie jak trzydzieści cztery gramy wódki. Ile Dymitr dolał mu do wina? Kieliszek był spory, a zatem teoretycznie efekt, jakby wytrąbił duszkiem trzy półlitrowki.

Alchemik poweselał

— Niezły ze mnie pijus — stwierdził.

Wstał. Nogi zaczęły go słuchać, wreszcie mógł iść nie zataczając się. Wymiotował po drodze kilka razy, więc niewiele trucizny przedostało mu się do krwiobiegu. Kilka głębokich wdechów i ruszył naprzód, z każdym krokiem coraz pewniej. Przy Barbakanie minął go patrol policji. Gliniarze obrzucili zaskoczonym spojrzeniem długi, brązowy płaszcz, szeroką, białą kryzę i cudaczne nakrycie głowy.

— Ale wariat — mruknął jeden, gdy oddalili się na tyle, że nieznajomy nie mógł ich już słyszeć.

— Nie wariat, tylko szlachciec — pouczył go surowo drugi. — Tu czasem się tacy po nocy szlają.

— A może duch? — trzeci obejrzał się, ale mistrza nie było już widać.

Kilkanaście minut później zapadał w głęboki sen na swoim strychu. Zanim rzucił się na materac, wysuszył duszkiem pół litra wody mineralnej. Kac to objaw odwodnienia, dehydratacji mózgu. Wprawdzie nie wiedział, jak działa to chemiczne draństwo, ale wolał się zabezpieczyć... Warto by się pomodlić, lecz dawno temu przyjął zasadę, że nie robi tego po pijanemu ani w te dni, gdy kogoś zabija. Za uratowanie życia podziękuje Bogu jutro.

* * *

Było dobrze po północy, gdy Katarzyna przyłożyła dłoń do czoła księżniczki. Wreszcie trochę chłodniejsze. Rany na twarzy wyglądały dziwnie, zasnęło je coś na kształt łuski, ale skóra wokoło przestała być czerwona.

— No, przydałaby mi się taka odporność — mruknęła alchemiczka.

Poszły spać.

* * *

Stasię obudził ruch. Odruchowo sięgnęła pod poduszkę i dopiero, gdy pod palcami poczuła chłodną kolbę nagana, otworzyła oczy. Księżniczka. Doszła, widać, nad ranem do siebie, bo teraz, zawinięta w koc, siedziała w kuchni przy stole i stołową łyżką wyjadała jogurt z opakowania. Na jednym oku miała gustowną, czarną przepaskę z lycry. Wyglądała jak młoda piratka.

— Wstałaś już? — zdziwiła się alchemiczka. — Może powinnaś poleżeć?

— Za parę minut bym was obudziła...

— Po co? Dziś sobota... — Katarzyna też wstała. Przeszła przez mieszkanie jak błędna i włączyła wodę na herbatę. Półlitrowy kubek liściastej był w stanie postawić ją na nogi. Zawsze. Otworzyła drzwiczki lodówki i brwi ze zdumienia powędrowały jej do góry.

— Odkupię — zaofiarowała się Monika.

— Moja droga, zjadłaś trzy litry jogurtu... Zaszkości ci.

Księżniczka tylko pokręciła głową.

— Jak oczy? — zapytała alchemiczka.

— Jedno już w zasadzie dobrze, tylko obraz trochę rozmazany. W drugim na razie widzę jasne i ciemne plamy... Dziękuję wam — wstała z szacunkiem. — Uratowałyście mi życie...

— Khm, drobiazg — mruknęła agentka. — Nie ma o czym mówić. Coś ci jeszcze potrzeba? Ja wiem, cielejącej krwi?

Wampirka uśmiechnęła się tylko.

— Nie... Trzeba dorwać Dymitra.

— Nie trzeba — odparła spokojnie alchemiczka. — Ktoś nas wyręczył. Gdy ty siedziałś w piwnicy, przyszedł do niego w odwiedziny i przypalikował do podłogi rapierem. Sądzymy, że to mógł być Sędziwej...

— Faktycznie. Może już jutro uda się go odszukać — na jej twarzy odmalowała się dziwna tęsknota.

— Jeszcze biolog — przypomniała Monika.

Spojrzały na nią zaskoczone.

— Właśnie — agentka zmarszczyła brwi, — wczoraj w gorączce mówiłaś coś o jakimś biologu... O co ci chodziło?

— Sieklucki. Torturował mnie razem z Dymitrem.

— Co?! — Stanisława zerwała się na równe nogi. — Zabiję to ścierwo!

— On coś kombinuje — powiedziała księżniczka. — Coś naprawdę grubszego. Wspomniał... — przymknęła oczy. — To było dziwne... Pytał Dymitra, czy wampiry zarażają się czarną ospą.

— Co to ma do rzeczy! — zdumiała się Katarzyna — Przecież... Przecież ospy już nie ma! Po tym zresztą cię rozszyfrowaliśmy, masz blizny po niej, a udawałaś, że urodziłaś się w die-
sięć lat po ostatnim odnotowanym przypadku...

— Mówił też coś o kulturach bakterii. Że jeszcze nie dojrzały.

— Pamiętasz te szklane baniaczki w pracowni biologicznej? — alchemiczka spojrzała na kuzynkę. — Sama powiedziałaś, że to kultury bakterii. A może...

— Ale po co? Po co komu galon zarazków i to tak zjadliwych?

— Kto wie? To ty miałaś do czynienia z kryminalistami. Może chce przeprowadzić atak terrorystyczny? A może sprzeda to komuś? Mało to świrów na świecie? Korea, Libia, Irak... może nawet wujaszek Osama...

— Nie jesteśmy w Klewkach... ale... — w oczach agentki błysnęło coś naprawdę wrednego. — Wiem już, jak go załatwimy.

Usiadła do komputera. Uruchomiła program, załogowała się do sieci CBS. Kilka minut stukała w klawisze, a potem napisała SMS-a i gdzieś wysłała.

— Co kombinujesz? — zaciekawiała się księżniczka.

— Kontrolowany przeciek dla naszego sojusznika — uśmiechnęła się. — Krakowska ekspozytura CIA dostała właśnie cynk o tym, że Mikołaj Sieklucki, członek polskiej sekcji Al-Quidy, przygotował osiem litrów zawiesiny czarnej ospy.

— Przecież nie uwierzą...

— Zakład?

Uruchomiła odbiornik i podłączyła go do komputera. Na ekranie pojawił się obraz ze wszystkich kamer. Powiększyła ten sprzed szkoły. Długo musiały czekać. Dopiero po dwudziestu minutach przed budynek zajechały furgonetka i czarny mercedes.

— A ten tu po co? — zapytała Stanisława.

— Akredytowany dyplomata dla ochrony akcji. W razie czego chroni go immunitet, ubezpiecza kumpli...

Dwaj agenci poradzili sobie szybko z drzwiami. Po kilkunastu minutach wynieśli ze szkoły kilka kartonów czegoś.

— No to chyba po kłopotcie — mruknęła księżniczka. — Tylko pytanie, czy dorwą nauczyciela... Mógł uciec.

— Nie sędzę. Skąd mógłby wiedzieć, że już jesteś wolna? A zatem problem z głowy. Co zjesz na śniadanie?

— A mogę jeszcze jeden jogurt?

* * *

Alchemik budzi się na swoim strychu. Co to dzisiaj? Sobota... Głowa boli go upiornie, ale poza tym czuje się już nie najgorzej. Pamięć poprzedniego wieczoru wróciła zaraz po przebudzeniu. Szkoda rapiera, choć i tak była to tylko współczesna podróbka... Sobota. W nocy wypogodziło się. Zabłocone buty, zabrudzone spodnie, utyłłany w błocie płaszcz... Nie do końca pamięta całą drogę powrotną, ale wypadki, które zaszły w willi, rysują mu się przed oczyma wyraźnie. Zabił Dymitra. Naprawił błąd popełniony cztery stulecia temu.

Nie, to na nic, głowa boli go, aż świece stają w oczach. Dwie tabletki odpowiedniego środka powinny pomóc... Nieźle uczcił czterechsetną rocznicę wydania swojego traktatu. Auć... Swoją drogą, wino było naprawdę niezłe, może trzeba było poszukać jeszcze jednej flaszki? Szkoda, że nie pomyślał. Teraz nie ma sensu tam wracać. Podobno zabójcę ciągnie zawsze na miejsce zbrodni. Alchemik parokrotnie odbierał ludziom życie. Nigdy jednak nie poczuł takiej potrzeby. Może dlatego, że zawsze zabijał wyłącznie tych, którzy na to naprawdę zasłużyli?

* * *

Katarzyna weszła do domu dziecka, skierowała się w stronę gabinetu dyrektorki. Zapukała i nie czekając na zaproszenie, nacisnęła klamkę. Baba na jej widok spłoszyła.

— Czego? — warknęła.

— Katarzyna Kruszevska, Centralne Biuro Śledcze — okazała legitymację.

— A pani w jakiej sprawie? — dyrektorka była harda do końca.

Dziewczyna, nie czekając na pozwolenie, usiadła sobie na krześle.

— Zgłaszała pani ucieczkę — udała że zagłada do notatnika — Moniki Stiepankovic.

— Tak. Złapaliście ją? — na twarzy kobiety odmalowała się sadystyczna radocha.

— Tak, ale już tu nie wróci.

— Jak to? — nie zdołała ukryć rozczarowania.

— Powiedzmy, że osoba pani nie wzbudza naszego zaufania.

— Jestem cenionym pedagogiem o nieposzlakowanej opinii — kobieta wciągnęła w płuca haust powietrza, a jej twarz poczerwieniała z oburzenia.

— Doprawdy? — wycedziła Katarzyna. — Ano rzućmy okiem na nasze materiały — z torby wyjęła teczkę. — Studia pedagogiczne zakończyła pani w 1978 roku. Napisała pani pracę o nowoczesnych metodach wychowawczych. W ciągu dwu następnych lat doczekała się ona trzech recenzji w periodykach naukowych. Wszystkie były negatywne, autor jednej wyrażał zdumienie, że tak fatalna praca, najeżona wręcz błędami, w ogóle mogła zostać obroniona. Recenzenci nie wiedzieli oczywiście, że od drugiego roku studiów, na zlecenie SB, badała pani nastroje wśród studentów.

— Jak pani śmie?! — ryknęła baba, ale w jej oczach pojawił się strach.

— Proszę, oto kopie pani meldunków... Zresztą to nieważne. Dostała pani posadę nauczycielki historii w jednym z warszawskich liceów... Wdrażała tam pani swoje nowatorskie metody wychowawcze, wzorowane zresztą na radzieckich, czego efektem było zbiorowe samobójstwo trójki pani uczniów. W pozostawionym liście obwiniają panią. Ale partia, bo w międzyczasie wstąpiła pani w jej szeregi, obroniła. Zresztą nie mam czasu referować tych świństw — trzepnęła o biurko plikiem papierów. — Proszę skreślić Monikę z ewidencji.

— Ale ja...

— Biorąc pod uwagę pani portret psychologiczny, doradzam zmianę pracy. Więzienie w Radomiu ogłasza nabór na strażniczki — rzuciła wydruk ulotki. — Myślę, że tam znajdzie pani możliwości samorealizacji... A o tej sprawie może pani zapomnieć. Monika jest już w naszych rękach. Przyda się jako nauczycielka serbskiego dla agentury.

Wyszła, grzecznie zamykając za sobą drzwi. Trzaskanie jest tak niekulturalne...

* * *

Sobotnie popołudnie, chmurzy się, ale przecież żal siedzieć w czterech ścianach. Ból głowy minął, a łyk świeżego powietrza nikomu jeszcze nie zaszkodził. Alchemik snuje się po Plan-tach. Przechodzi przez Bramę Floriańską. Po jej drugiej stronie malarze rozwiesili swoje prace. Podziwia koszmarnie bohomazy, ogląda obrazy, które jego zdaniem są nawet całkiem, całkiem, ale ciut za drogie. Dociera do Rynku.

Nurkuje w bramę i w dół do piwnic, w poszukiwaniu piwa. Po chwili w głębokim lochu siedzi nad szklanicą złocistego napoju. Przemyka oczy i oddaje się wspomnieniom. Kraków czasów jego młodości był inny. Niby nie zmieniło się tak wiele, sporo budynków nadal stoi, ale jednak... Cuchnące rynsztoki, nosiwody z cebrzykami na koromysłach, błotniste zaułki, konie i wozy przeciskające się między ścianami, bryzgi błota zdobiące mury... Sukiennice, niewielkie sklepiki na parterach kamienic oraz wozy, z których chłopci sprzedawali słomę na posłania i do sienników, kury oraz gęsi, śmietanę w siwakach, miód podebrany w lesie.

Wszędzie żywa krzątania, setki warsztatów ukrytych w zaułkach wokół Rynku... Gwar, odgłosy kucia. Dzisiaj Kraków jest sto razy większy. A przecież alchemikowi wydaje się, że miasto przypomina własnego trupa. Coś się zmieniło. Czegoś brakuje...

* * *

Monika Stiepankovic miała wyjątkowo twardy organizm, nawet jak na wampira. Do wieczora przeszło jej nawet osłabienie wywołane zatruciem. Rany zabliźniły się, ale jeszcze nie ode-
rwała pokrywającej ich zrogowaciałej warstwy. Niech się wszystko dobrze wygoi... Z okiem
gorzej. Oceniała, że będzie musiała jeszcze przez tydzień chodzić z opaską.

— Muszę jechać do szpitalu — powiedziała po obiedzie.

— Zamieszkaj z nami. Miejsce ci wygospodarujemy — uśmiechnęła się Stasia.

— Z przyjemnością — księżniczka w podzięcie skłoniła głowę. — Ale zostawiłam tam tele-
fon komórkowy. A już mnie pewnie klienci ścigają.

— Telefon jest tutaj — powstrzymała ją Katarzyna.

— Znalazłyśmy też twojego laptopa, zabrałyśmy wszystkie książki i zeszyty. Lepiej żebyś
tam nie wracała.

— Ee tam — machnęła ręką. — Tamci czterej nieprędko nabiorą odwagi, by wrócić na
łąkę...

Ale została. Rozłożyła się wygodnie na kanapie i uruchomiwszy komputer wróciła do prze-
rwanej pracy. SMS-y od klientów i przyszłych zleceniodawców zapchały całą skrzynkę. A ona
straciła już dwa dni.

— Jutro muszę na trochę wyjść — oznajmiła zamykając kolejny plik.

— Przecież nie będę cię trzymała na siłę — mruknęła alchemiczka. — Jeśli czujesz, że dasz
radę...

— Czuję się już dużo lepiej — powiedziała Monika. — Mleko pomogło...

— Przy zatruciach ołowiem i rtęcią też się je stosuje — zauważyła leniwie Katarzyna. —
Oczyszcza organizm z metali ciężkich.

Stanisława nie odpowiedziała. Zwinięta w kłębek na swoim tapczanie zapadała w drzemkę.
Obecność wampira we własnym mieszkaniu u większości ludzi wywołałaby niepokój. Ona wręcz
przeciwnie — poczuła się bardziej bezpieczna. Kto jej podskoczy, jeśli na straży domu stoi
szesnastolatka, zdolna porachować kości czterem byczkom równocześnie?

* * *

Rozpalenie samowara nie jest specjalnie łatwe. W środkową rurę sypie się węgiel drzewny,
do zbiornika wokoło wlewa wody. Nie można o tym zapomnieć, ponieważ mosiężne blachy
lutowane są cyną. Jeśli woda wyparuje, nagrzeją się do temperatury nieco ponad dwustu stopni i
urządzenie zamieni się w kupkę złomu.

Ogień podkłada się od spodu. Oczywiście węgiel drzewny nie złapie tak szybko płomienia,
a użycie rozpałki jest raczej wykluczone. W zamkniętej rurze efekty gwałtownego spalania
przypominają w pewnym sensie wybuch naboju dynamitowego. Stanisława bardzo lubi swój

nowy dywan. Dlatego preferuje metody tradycyjne. Pod dolny ruszt, przez otwory, wsuwa kilkanaście sosnowych drzazg. Przez chwilę, zanim drewno wypali się doszczętnie, a węgiel drzewny zacznie się żarzyć, samowar będzie dymił. Na to nic nie da się poradzić, ale przecież można uchylić okno.

Co poza tym będzie potrzebne? Zapalki. Można użyć zwykłych, ale po co, skoro kuzynka wypatrzyła w trafice specjalne, kominkowe. Jeszcze tylko chwilę trzeba podmuchać. W carskiej Rosji używano do tego celu miecha zrobionego z cholewki buta. Ale carska Rosja i jej obyczaje odeszły w otchłań zapomnienia. A zatem głęboki wdech... Herbata będzie za dwadzieścia minut, gdy welon białej pary okryje samowar, a w otworach pokrywy rozlegnie się charakterystyczny „śpiew”.

— Muszę się tego nauczyć — mruknęła Katarzyna obserwując kuzynkę spod półprzymkniętych powiek. — Bardzo sprawnie ci to idzie...

— No cóż, na dworze księcia namiestnika Konstantego pijało się dużo herbaty...

— Jaki on był?

— Ścierwo wyjątkowe. Troglodyta. Miał wielkie, płaskie zęby, które szczyrzył jak orangutan. Sypiał po obiedzie w butach na nogach... Nawet nieźle mówił po polsku i może wyobrażał sobie, że jest Polakiem — zamyśliła się, — ale zdecydowanie nim nie był. I co najgorsze, pijał herbatę ze szklanki. Tego mu nie mogli wybaczyć. Ale cóż, dzikus.

— Pijaś kiedyś herbatę ze szklanki? — zainteresowała się Kasia.

— Może ze cztery razy. I do tej pory się wstydzę...

* * *

Osiemnasta. Stanisława spojrzała na zegarek.

— Wychodzę — powiedziała do kuzynki. — Będę w domu około dwudziestej drugiej.

Katarzyna pytająco uniosła brwi.

— W Piwnicy pod Baranami zorganizowali wieczór etiopski. Chyba, że macie ochotę wybrać się ze mną?

Katarzyna zawahała się na chwilę, a potem zabezpieczyła samowar dławikiem.

— Idę z tobą.

— Ja jeszcze nie czuję się dobrze — westchnęła Monika. — Jeśli pozwolicie, zostanę...

Jesienny zmierzch, w powietrzu wiszą kropelki deszczu. Czy może być lepsza pora na oglądanie slajdów z rozpalonego słońcem, afrykańskiego kraju? Mokry bruk krakowskich ulic, światło latarni z trudem przebija się przez wodną zawiesinę. Chodniki puste, za to w lokalach i sklepach pełno ludzi. W podziemnych kafejkach i pubach ścisk taki, że szpilki nie wsadzi. Rzeźbiony portal, schodki w dół... Aby wejść na imprezę, trzeba wykupić bilety. Nie są tanie, ale warto.

Zespół muzyczny przyjechał ze świętego miasta Aksum. Wykonali trzy religijne pieśni pod rząd. Pięć minut przerwy.

— Sistrum — Katarzyna zidentyfikowała instrument w ręce jednego z muzykantów. — Jak na staroegipskich freskach...

— Owszem — potwierdziła Stanisława. — W Etiopii jest jeszcze używane.

Odrobina poezji. Czarni studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego deklamowali ustępy z Khebra Nagast i wiersze współczesnych poetów. Ktoś tłumaczył je na polski. Stasia ożywiła się. Wyraz melancholii zniknął z jej twarzy.

Nastąpiła przerwa na poczęstunek: ostro przyprawione placki z ziarna amarantu, do popicia parzona szalwia z kardamonem. Do pełni szczęścia brak tylko wódki z daktyli. Ciekawe, czemu nie postawili jej na stół...

Na szesnastowiecznych ścianach lochu zawieszono fotografie, etiopskie krzyże procesyjne, obrazy malowane na wyprawionej skórze. Obie dziewczyny wędrowały sobie niespiesznie, podziwiając kolejne. Przystanęły przed dużym malowidłem. Obraz był dość dziwaczny. Przedstawiał siedzącego na krześle mężczyznę, przystawiającego sobie do czoła pistolet. Przed nim stał na baczność i salutował biały człowiek w mundurze.

— Cóż to takiego? — zdziwiła się Katarzyna.

— To, można powiedzieć, mój stary znajomy — mruknęła Stanisława. — Cesarz Teodor II Kasa. Sympatyczny gość, choć mocno ścirowaty.

— A na tym obrazie...?

— To dłuższa historia. Widzisz, w połowie XIX wieku Etiopia zaczęła wychodzić z izolacji. Gdy na tron wstąpiła królowa Wiktorja, cesarz otrzymał jej portret i zakochał się bez pamięci.

— W kobiecie, którą znał tylko z obrazka? Faktycznie ścirowaty...

— Postanowił za wszelką cenę ją poślubić, w związku z czym wysłał swój portret i list miłosny do Londynu. Załączył też notę dyplomatyczną w sprawie ślubu. Ambasador po pewnym czasie przekazał mu odpowiedź odmowną. W Etiopii był paskudny zwyczaj, że człowieka, który przynosi takie wieści, należy niezwłocznie zgładzić. Cesarz jednak był nieco bardziej cywilizowany niż jego poprzednicy. Tylko uwięził ambasadora i planował, po ucięciu mu ręki, wypuścić na wolność. Nie przewidział jednego. Anglikom bardzo się nie spodobało jego podejście do sprawy. Wyszadzi silny desant i ruszyli odbić dyplomację siłą. Cesarz ufał swojej armii, więc zabarykadował się w twierdzy... Niestety artyleria szybko rozwalila gliniane mury. Widząc, że jego żołnierze giną, postanowił się poddać. Wydał więzionego, potem zaprosił angielskiego dowódcę, lorda Napiera, do swoich apartamentów, po czym, w obecności najwyższych dostojników państwowych raz jeszcze wyznał swą miłość do królowej Wiktorji. A potem wyciągnął pistolet i strzelił sobie w głowę.

— Cholera... Twardy zawodnik — skomentowała Katarzyna.

— Owszem. To był wielki człowiek, gotów oddać życie, aby chronić swój lud...

— Mówisz to jakbyś...

— Miałam zaszczyt znać go osobiście — ucięła. — A tu mamy cesarza Hajle Selasje... — mruknęła stając przed następnym portretem. — Bardzo ciekawy typek. Miał fenomenalną pamięć, a przy tym prawie nie umiał czytać... Ale dokonał rzeczy wielkiej. Zlikwidował tradycyjne sądownictwo.

— A co, było niedobre?

— Było fatalne. Metody dochodzeniowe zwłaszcza. Jeśli w wiosce ktoś coś ukradł, ludzie szli do czarownika. Ten brał dzieciaka, odurzał go opium i wypuszczał na ulicę. Do kogo malec podbiegł, albo do czyjego domu wpadł, tego uznawano winnym. Złodziejom zaś ucinano ręce lub nogi.

— U... Wesoły kraik. Znaczy, siedzę w domu i jem obiad, a pięć minut później mogą mi odrąbywać rękę albo nogę?

— Coś w tym guście. Dlatego zawsze podpierałam drzwi krzesłem, a chodząc po ulicach dobrze patrzyłam na wszystkie strony — uśmiechnęła się. — Byłam tam trzy razy i pewnie jeszcze kiedyś wrócę...

Kolejna grupka stanęła na estradzie. Trochę zupełnie współczesnej muzyki. Ot, takie etiopskie disco-polo, tylko bez dresów i adidasów. Na stoły wjechały kolejne placki. Obie dziewczyny jadły w zadumie. Stanisława przypominała sobie smak. Mogli wprawdzie lepiej przyrządzić, ale i tak niezłe. Katarzyna próbowała dania z ciekawością.

Z zespołem przyjechał jego kierownik i przy okazji główny sponsor, Mapete. Teraz stoi za zasłoną w drzwiach prowadzących na zaplecze. Ciemne oczy spokojnie lustrują salę. Na występ jego kapeli przyszli głównie studenci orientalistyki i afrykanistyki, w sumie kilkadziesiąt osób. Jest kilku dziennikarzy, kilkunastu przypadkowych mieszkańców Krakowa, którzy postanowili zobaczyć trochę egzotyki.

Ale on wpatruje się w ciemnowłosą osobkę siedzącą przy stole. Dziewczyna skubie zębami kawałek placka, od czasu do czasu wymieniając kilka słów z siedzącą obok blondynką. Przez chwilę odwraca się do niego twarzą. Nie widzi go, ale na wszelki wypadek cofnął się krok. To ona. Nie ma wątpliwości. A jednak to prawda... Nie widzieli się dwanaście lat, a nie postarzała się ani o miesiąc. Na jego przedramieniu jasnym brązem odznaczają się cztery blizny.

Było ich pięciu, gdy w górach Sieman płukali piaski w poszukiwaniu samorodków irydu. Zaskoczyła ich nieduża grupka bandytów, niedobitki rozbitej przez powstańców komunistycznej gwardii. Męty szukające drogi przez góry... Kumple zginęli od razu. Urobek był jednak dobrze schowany, więc komuniści rozpalili solidne ognisko, by przypalić mu stopy.

Pojawiła się nieoczekiwanie, na stoku wzgórza nad wąwozem. Biała dziewczyna o twarzy osmaganej afrykańskim wiatrem, siedząca na małym, bułanym koniku. Fakt, wzięła ich z zaskoczenia, ale rozwalenie siedmiu bandziorów z karabinami w dwie minuty to i tak wyczyn godny najwyższej pochwały. Nieznajoma opatrzyła Mapete i odtransportowała do najbliższej wsi. Szamanowi dała sto pięćdziesiąt dolarów na koszty leczenia. Zadziwił go ten wielkopański gest.

Wiele tygodni leżał w malignie. Czarownik opowiedział mu, kogo spotkał. W Etiopii przyjęła arabskie imię Sadia. Widziano ją dwa razy. Była damą na dworze cesarza Teodora, doradzała cesarzowi Selasje podczas wojny z Włochami. Teraz wróciła po raz kolejny. Przez co najmniej wiek nie postarzała się wcale...

Mapete chciał zrewanżować się za uratowanie życia. Dwa lata temu dowiedział się, że dwudziestoletnia Europejka o imieniu Sadia prowadzi interesy w południowym Sudanie. Przemysł broni dla chrześcijańskich powstańców, szmugiel srebra, wielbłądów... Nim dotarł do jej kryjówki, okazało się, że sprzedawała interes i wyjechała. Dokąd? — Nikt nie potrafił powiedzieć. I teraz spotykają się znowu...

Kurtka dziewczyny wisi na wieszaku. Zajęta podziwianiem fotografii nic nie zauważy. Wystarczy zrobić kilka kroków i wpuścić w jej kieszeń skórzany woreczek irydowych samorodków. Wie, że gdyby próbował wręczyć jej dar osobiście, nie przyjęłaby... Chciałby jeszcze coś dla niej zrobić. I nawet wie co. Ukryła się tutaj, więc nikomu nie powie, że ją spotkał.

* * *

Godzina dwudziesta. Deszcz stał się rzęsy, ochłodziło się. W czasie, gdy jedni kończą się bawić, inni dopiero zaczynają. Szlachta łomocząc butami, wtarabania się do lochu przy Rynku. Barman bez słowa wskazuje gestem wejście do bocznej sali, zabezpieczone szarfą i tabliczką „zarezerwowano”. W piwnicy przy stole siedzi mężczyzna w brązowym płaszczu. Na blacie kamionkowe dzbany z miodem oraz piwem, kubki i talerze.

— Zapraszam do stołu, waszmościowie — uśmiecha się spod wąsa.

Król Polski, Jacek Komuda, ogląda się zaskoczony na barmana.

— Wynajęliśmy... — zaczyna.

Ten wzrusza ramionami.

— Powiedział, że jest z wami, zapłacił z góry za całą grupę...

Poczęstunku się nie odmawia. Zasiadają do stołu.

— Kim pan jest? — towarzyszący bandzie pisarz w haftowanej, ukraińskiej koszuli spogląda na fundatora. — Chcielibyśmy wiedzieć, komu zawdzięczamy...

Ten uśmiecha się ponownie. W jego oczach widać dziwny błysk. Są jasne i świetliste, a jednocześnie lśni w nich rozbawienie.

— Możecie nazywać mnie alchemikiem.

— Zacny zawód — mruczy pod nosem wydawca w stroju szwedzkiego oficera. — Jak się domyśliliście, panie?

— Dziś święto biskupa Marcina. Jeśli szanujecie stare tradycje, musieliście się tu zjawić.

— Święty Marcin — wzdycha Komuda. — Faktycznie, z tej okazji zeszliśmy się tutaj... Nie sądziliśmy, że ktoś poza nami obchodzi jeszcze to święto.

— Dzień, w którym tradycyjną potrawą winna być pieczona gęś — pisarz odrywa spojrzenie od kubka z miodem.

— Ba, tylko skąd ją wziąć? — mruczy król.

Alchemik wyciąga zza pasa króciwą. Strzał ponuro huknął w sufit. Wsypał jedną czwartą normalnego ładunku. Ale i tak zagrzmiało zdrowo. Na ten znak barman i kelner wnoszą tacę. Na srebrzonej blasze spoczywa wielka, kilkunastokilogramowa gęś. Upieczono ją na rożnie, nie

żałując masła z czosnkiem i cynamonem. Skórka jest złocista, niebiański zapach, wypiera woń spalonego prochu, wierci w nosie... Szlachta wbija zdumione spojrzenia w gospodarza. Ten uśmiecha się skromnie. Odkłada pistolet na blat. Siedzący naprzeciwko król jest z wykształcenia historykiem. Pisarz ukończył archeologię. Obaj wpatrują się w broń zaskoczeni. Króciça jest autentyczna, na oko sądząc, siedemnastowieczna.

* * *

Zapach pieczonej gęsiny czuć aż na schodach. Księżniczka widać zabrała się za odgrzewanie w piekarniku potrawy. Weszły akurat w chwili, gdy zaglądała do kuchenki. Nie ma wprawdy w używaniu gazu, ale nie przypaliła. Stół został już nakryty ukraińskim obrusem. Postawiła najlepsze talerze i położyła najładniejsze sztućce.

— Skąd wiedziałś, że dziś święto? — dziwi się Stanisława.

— To nie jest codzienna potrawa — uśmiecha się księżniczka. — Poza tym to dzień świętego Marcina. Gdy mieszkałam jakiś czas wśród Madziarów, obchodziliśmy ten dzień bardzo uroczyście.

Oczy Katarzyny ciemnieją. Jej kuzynka i przyjaciółka niekiedy zaskakują ją wiedzą o rzeczach, o których ona nie ma pojęcia.

* * *

Impreza w piwnicy dogasa. Pieczona gęś to już tylko wspomnienie, pozostała po niej kupka starannie ogryzionych kości. Niewielka, złocista plama znacząca blachę, to ślad jabłkowego farszu... Wypili przy stole z dziesięć litrów miodu trójniaka. Rozmowy toczą się leniwie. Pisarz przekomarza się z wydawcą. Maniakalny grafoman nawet w czasie wolnym rozmyśla, co by tu jeszcze napisać. Gawędzi z siedzącą obok drobną blondyneczką. Król referuje kilku ciekawym dzieje słynnego warchoła i infamisa Stadnickiego, zwanego Diabłem Łańcuckim. Rosły szlachcic w jasnożółtym żupanie zwraca się do milczącego gospodarza.

— Alchemiku, czy masz jakieś imię?

Uśmiech i błysk oczu.

— Możecie mnie nazywać Sędziwojem.

* * *

— Dzień świętego Marcina oznaczał dawniej zakończenie wszystkich prac polowych — wyjaśnia Stanisława. — Aż do wiosny zajęcia gospodarskie ograniczały się do prac w obejściu. Rąbało się drwa, lepilo na zapas pierogi, potem nadchodziły długie wieczory, kiedy kobiety zbierały się razem, by drzeć pierze lub tkać, a przy okazji opowiadały sobie rozmaite, najczęściej straszne historie...

— Pierogi na zapas? — brwi bylelej agentki unoszą się do góry. — Jak to?

— Lepiło się je przez kilka dni, lekko suszyło, żeby się nie posklejały i wieszalo w worku na strychu. Zimy przychodziły wtedy wcześniej i były mroźne, bez tych głupich odwilży już w styczniu. Worek pierogów, czasem dwa, obok wisiały szynki, oprócz tego półcie wędzonej słoniny... Było co jeść aż do wiosny...

— Dlaczego w tym dniu jadało się gęsinę? — zaciekała się kuzynka.

— Legenda mówi, że święty Marcin, gdy chciano go wybrać papieżem, ukrył się wśród stada gęsi... Inna, że gdy był papieżem, w Rzymie wybuchł straszny głód. Ptaki te miały w wiecznym mieście status nieomal jak święte krowy w Indiach. Od czasu, gdy gęganiem zbudziły strażę na kapitolu, żyły sobie spokojnie, pielęgnowane i dokarmiane przez mieszkańców. Papież, aby ratować głodujących biedaków, kazał wytluc to pierzaste tałatajstwo... Tylko nie pasuje tu jeden szczegół — uśmiechnęła się. — Święty Marcin nigdy nie był papieżem. Był nim inny Marcin, po śmierci także kanonizowany. Z czasem dwie tradycje zlały się w jedną...

— Byłam kiedyś w Rzymie — chwali się Monika. — W roku świętym tysiąc sześćsetnym. Widziałam wówczas z daleka cudowną relikwię, chustę Świętej Weroniki...

— Pora spać — mruczy Stanisława; po wypiciu połowy butelki wina czuje się bardzo zmęczona.

* * *

W niedzielę rano Katarzyna i Stanisława poszły do kościoła. Księżniczka czuła się już lepiej, ale rany nadal wyglądały dość paskudnie. Stanisława położyła na tacy mały, skórzany woreczek, wypełniony czymś ciężkim.

— Co to było? — zapytała kuzynka, gdy msza dobiegła końca.

Alchemiczka odgadła natychmiast.

— Pozdrowienia z Etiopii — powiedziała zagadkowo.

W drodze powrotnej wpadły na Rynek, gdzie oddały pięć dyskietek i zainkasowały pieniądze od leniwych studentów.

— Nieźle sobie dorabia mała — mruknęła Katarzyna, chowając do wewnętrznej kieszeni prawie sześćset złotych.

— Trzeba jej założyć konto w Internecie — zauważyła Stanisława, — to nie będzie musiała z dyskietkami ganiać.

Brwi Katarzyny uniosły się z uznaniem. Kuzynka szybko nadrobiła cywilizacyjne opóźnienia.

Niedzielny obiad został przygotowany przez księżniczkę. Szaszyk lepszy byłby z baraniny, tylko gdzie ją dostać? Mięso namokło przez noc i poranek w marynacie z ziół, korzeni, oliwy i odrobiny octu balsamicznego. Stanisława położyła na stole najładniejszy, ręcznie haftowany, ukraiński obrus. Kosztował sporo, ale widać ogromny trud włożony w jego wykonanie. Beziemienne hafciarki musiały pracować nad nim przez wiele tygodni.

Poustawiała talerze ze złożonym brzeżkiem i położyła te ładniejsze sztucce o platerowanych rączkach. Tylko przy nakryciu książniczki zostawiła zwykłe. Mała miała ostatnio aż za dużo kontaktów ze srebrem. Krótka modlitwa i można zasiadać do obiadu. Jeszcze tylko lichtarz z trzema czerwonymi świecami. Dziewczęta posilały się w milczeniu.

Po zjedzeniu obiadu i deseru trzeba zabrać się do pracy. Katarzyna ma dwadzieścia sześć filmów sprzed kościołów. Trzeba wszystkie przejrzeć. Oczywiście to robota na wiele godzin, ale ma ciągle jeszcze aktywne łącze z bazą. Superkomputer da sobie radę. Zadanie proste. Rozbić tłum na poszczególne postaci, zidentyfikować, odsiać dzieci, kobiety i młodzież. Mężczyzn w przedziale wiekowym 35-55 lat zidentyfikować, odrzucić wszystkich, których personalia da się ustalić... Pozostałych wyświetlić w postaci portretów... Szkoda, że jakość filmów przy tym standardzie zapisu nie jest nadzwyczajna. Wreszcie system kończy pracę. Osiemset zdjęć, w większości przypadków mocno zamazanych. Program rekonstruujący przybliżony wygląd Stanisława przegląda je po kolei.

— Do niczego — mówi wreszcie. — Nie ma go tu.

Powtarzają oględziny; tym razem sprawdzają prawie dwa tysiące rozpoznanych. Może jednak zalegalizował jakoś swój pobyt? I znowu bezskutecznie. Zeszło im do późna.

O wpół do ósmej książniczka wzięła niewielkie lusterko i swój sztylet. Odsłoniła opaskę i długo badała oko.

— I jak? — zainteresowała się Katarzyna.

— Odrasta, tylko kolor się nie zgadza — westchnęła.

Oderwała wzrok od lusterka i popatrzyła na agentkę. Faktycznie, lewe oko po wygojeniu się pozostało niebieskie, a prawe... Cóż, zrobiło się jasnobrazowe...

— W dodatku ciągle jeszcze nie mam pełnej ostrości dodała pośpiesznie. — Miejmy nadzieję, że jeszcze kilka dni i się poprawi.

Delikatnie podważyła rogową łuskę na policzku i oderwała ją od skóry. Rana zabiłła się idealnie, tkanka była jednak jeszcze bardzo wrażliwa. Książniczka ostrożnie przetarła blizny wacikiem namoczonym w wodzie utlenionej.

— Zostanie wgłębienie, jak to przy uchu, po ospie — powiedziała.

— I tak będziesz bardzo ładna — uspokoiła ją Stasia.

Katarzyna uruchomiła kartę telewizyjną w komputerze. Wiadomości jak co dzień, zdrajcy ojczyzny znowu uchwalili szereg ustaw utrudniających ludziom życie. Sprzedawczyki z rządu popchnęli swój nieszczęsny kraj kawałek głębiej w ramiona Unii. Korupcja, malwersacja, zło-dziejstwo, afery, przestępczość, aż rzygać się chce... Obok innych informacji drobna, ale cieka-wa wzmianka.

— Kontrwywiad, przy współudziale amerykańskich służb specjalnych, ujął Mikołaja S., domniemanego szefa polskiej sekcji Al-Quaidy. W jego mieszkaniu oraz w szkole, w której pracował, zabezpieczono kultury baterii chorób zakaźnych, gotowe do natychmiastowego użycia.

— Na stanowisku nauczyciela biologii chyba pojawia się wakat — powiedziała Stanisława i ziewnęła dyskretnie.

Niestety, żadna z nich nie ma uprawnień...

* * *

Nocny pekaes z Krakowa bladym świtem wtoczył się na dworzec w Pułtusk. Z wnętrza wysiadł tylko jeden pasażer. Dopiął kurtkę z goreteksu na polarowej podpince. Na ramię zarzucał szary, wojskowy plecak. Buty na solidnej podeszwie, miękki zamszowy kapelusz na głowie.

Niełatwo rozpoznać w nim alchemika. Wszedł do budynku dworca, popatrzył na obskurne wnętrze hali. Rozkład jazdy autobusów ułożył jakiś kretyn. Przybysz spojrział na zegarek i podjął decyzję. W pobliżu widział postój taksówek.

— Chcę się dostać do Starego Sielca — zadysponował sadowiąc się na tylnym siedzeniu.

Przejechał ponad dwanaście kilometrów. Wysiadł pod krzyżem na rozstajnych drogach i zapłacił umówioną kwotę. Z plecakiem na ramieniu ruszył na południe. Starorzecza Narwi, dziś płytkie stawy zarastające trzciną, odcinają od lądu wyspę o powierzchni około trzech kilometrów kwadratowych. Bagna, łąki, na wysoczyznach pola, brzoźowe zagajniki... Na pierwszy rzut oka okolica wydaje się ponura, niegościnna i jałowa. Ziemia to mazowieckie piaski, niewiele na nich wyrośnie... Alchemik maszerował równym, dziarskim krokiem. Wreszcie dotarł na skraj lasu. To miejsce jest równie dobre jak każde inne. Najpierw jednak trzeba przegryźć jakieś śniadanie.

Wyjął z plecaka pół bochenka chleba, puszkę tuńczyka i otwieracz. Od strony niedalekiej rzeki ciągnęło chłodem. Pola zostały zaorane... Mistrz Sędziwój spokojnie konsumował kolejne pajdy chleba z rybą. Gdzieś tutaj ukrywa się to, czego szuka... Gdzieś w zasięgu wzroku spoczywa skarb. A zatem pora go wydobyć.

W styczniu 1868 roku nad okolicą eksplodował bolid. Na ziemię spadło około siedemdziesięciu tysięcy meteorytów. Uczni zaklasyfikowali je jako chondryty H5. Najmniejsze ważyły 4 gramy, największy — ponad siedem kilo. W tym miejscu leżało ich najwięcej: średnio jeden co trzydzieści metrów. Wiele wybierali chłopię; utłuczone na proszek meteoryty zażywano jako lekarstwo. Ale alchemik liczy, że i dla niego coś zostało... A zatem do dzieła.

Chondryty H5 to jasnoszara skała nadziana ziarenkami srebrzystego metalu. Po wierzchu pokryta jest szklistą, opaloną warstwą, zwaną naukowo skorupą obtopieniową. Zawierają tyle żelazoniklu, że reaguje na nie — choć słabo — wykrywacz metali. Alchemik wyjął urządzenie z plecaka. Złożył cewkę, zamontował kable, założył słuchawki na uszy. Teraz był gotów podjąć poszukiwania.

Dyrektor, stojąc na progu szkoły, zauważa, że Monika przyszła w towarzystwie dwu nauczycielek. Widocznie spotkały się gdzieś po drodze. Wygląda nie najlepiej, wzrok jej trochę przysgał. Na jednym oku ma opaskę z lycry. Może jest chora? Grypa sieje ostatnio straszne spustoszenie...

Pierwsza lekcja, fizyka. Kompletny bezsens, robią jakieś idiotyczne zadania, z których nic nie wynika. Księżniczka wykonuje kilka z nich, a potem przymyka oczy i odpływa. Coś jej umknęło. Ale co? Ach tak, w szałasie zostawiła szynkę moknącą w solance. Trzeba po nią pojechać i uwędzić. Ile czasu mokła? Trzy dni. Od biedy starczy. Hmmm. Na łące rósł pojedynczy, uschnięty krzak jałowca. A zatem jest i dobry wsad...

Kolejne lekcje mijają jak we śnie. W czasie długiej przerwy wyskoczyła do sklepiku i kupiła litr jogurtu. Czuje, że jeszcze nie do końca oczyściła się z trucizny... I wreszcie koniec zajęć. Żegna się z nauczycielkami i wsiąka.

W powietrzu wisi wilgoć. Przed chwilą padało. Monika przypina rolki. Po chwili pędzi Plantami, omijając co większe kałuże. Chciwie wciąga w płuca chłodne, wilgotne powietrze. Po sześciu godzinach spędzonych w szkole jest jej to bardzo potrzebne. Wygrzała się, teraz dobrze jest poczuć dotknięcia wilgotnej bryzy na twarzy. Przy Barbakanie siedzą dwie Cyganki. Zazwyczaj wróżą przechodniom, ale teraz deszcz wypłoszył potencjalnych klientów. Księżniczka mija je, rzucając tylko jedno obojętne spojrzenie. W jej źrenicach zapalają się na ułamek sekundy czerwone ogniki. To wystarczy. Obie kobiety żegnają się zamasyście. Cyganie to lud jeszcze ciągle bardzo dziki. Nie ucywilizowali się na tyle, by zatracić zdolność dostrzegania pewnych zjawisk, na które my od dawna nie zwracamy uwagi. Dobrze wiedzą, że nie jesteśmy sami na tej planecie.

- Widziała nas — szepcze starsza, odprowadzając jasnowłosą dziewczynę spojrzeniem.
- Może nic z tego nie będzie? — zęby młodszej szczękają i to bynajmniej nie z zimna.
- Nie ryzykujemy. Za pół godziny mamy pociąg do Warszawy.
- Nie nasz teren.
- Wiem. Ale wolę narazić się na nóż w brzuchu, niż raz jeszcze spotkać to coś...

Monika jedzie autobusem do pętli. Pół godziny później idzie przez łąkę. Koni już nie ma, zaprzestano już wypasu. Aż do wiosny będą stały w ciepłych stajniach, melancholijnie żując siano, a od czasu do czasu wyjdą na padok rozruszać kości. Księżniczka wędruje po przywiedłej od chłodu trawie, mija kładkę, dociera do szałas. Nic się tu nie zmieniło od czasu, gdy się wyprowadziła. Czuje się, jakby wróciła do domu... Szynka dobrze nasiąkła, teraz trzeba zabrać się za jej wędzenie. Najlepiej „na lasach”...

Saperką szybko kopie dół głęboki na przeszło metr. Obok drugi, nieco płytszy. Oba łączy ukośny kanał. Piach trochę się osypuje, ale Monika nic na to nie może poradzić. Płytszy dół nakrywa kratą z leszczynowych prętów. Podwiesza pod spodem szynkę. W głębszej jamie roz-

pala ogień. Opodał, tuż pod murem „Telefoniki”, leży zwalony przez burzę buk. Dziewczyna szybko obcina cieńsze gałęzie. Wybiera te, które już dobrze wyschły. Tymczasem nad zagłębieniem unosi się pierwsza, nieśmiała strużka dymu. Szynkę można wędzić albo w zimnym dymie, albo w ciepłym. Monika nie ma wyboru — wędzenie w zimnym zajęłoby co najmniej dwadzieścia cztery godziny. W ciepłym idzie to szybciej: czasem sześć, czasem osiem... Płomień, podsycany co jakiś czas nową szczapą, pełga leniwie. Siadła opodał ogniska, narzuciła na ramiona owczą skórę z szałas. Nie czuje chłodu, choć to przecież listopad. Jej oczy odbijają czerwony żar. Założyła słuchawki i słucha kolejnej książki. Szynka zaczyna wydzielać delikatny zapach. Ech, wegetariańcy, nie wiecie co tracicie...

* * *

— Nie mam już żadnych pomysłów, jak go odszukać — oświadcza Katarzyna. — Nie wiem nawet, czy jest w Krakowie.

— Myślisz, że mógł wyjechać po tym, jak rozprawił się z Dymitrem?

— Właśnie. Coś nie widać naszego wampirka...

— Pojechała do szałas wędzić szynkę. Możemy wpaść do niej. Dotrzymamy jej towarzystwa...

* * *

Niełatwo znaleźć meteoryt. Nawet w miejscu, gdzie powinny leżeć gęsto jak grzyby po deszczu. Minęło ponad 130 lat. Ziemia została wielokrotnie zaorana. Niejeden raz przez wyspę przetaczały się fale powodzi. A i miejscowi chłopcy przecież nie są głupi. Umieją odróżnić kawałek kosmicznego śmiecia od przywleczonych przez lodowiec otoczków. A kolekcjonerzy dają za meteoryty niezły grosz.

Alchemik rozłożył karimatę. Wyjął gruby koc z polaru. Noc zapowiada się chłodna ale przywykł do spania pod gołym niebem. Wyszukał sobie zagajnik nad wodą, postawił ukośny daszek, by zabezpieczyć legowisko przed kroplami rosy. Komarów o tej porze roku nie musi się już obawiać. Rozszczylił długą kłodę, poddłubał jej wnętrze lekką siekierką, a następnie zapalił. Górną część oparł na klinach i nakrył podłużne palenisko. Będzie się żarzyć przez wiele godzin, ogrzewając jego posłanie. Nauczył się tego dawno temu, na Syberii, gdy w ciężkich latach wojny domowej miesiącami polował po lasach na bolszewickich zwiadowców.

Patrzył w czerwony żar i wspominał...

* * *

Trzy dziewczyny siedzą na kawałkach desek, patrząc w żar dogasający na dnie dołu. Ziemia była nieco wilgotna, stoi nad nią słup pary i oczywiście dymu. Panuje cisza, na niebie pojawiają się jesienne gwiazdozbiory... Piwo, zagrzane w miedzianym kociołku zawieszonym obok szynki, rozgrzewa. Zjadły chleba ze smalcem. Myśli płyną im leniwie.

* * *

Szósta rano, wstaje kolejny jesienny dzień. Alchemik wygrzebuje się z posłania. Trochę zmarzł, ale nie decyduje się na ponowne rozdmuchanie ognia. Wyjmuje saperkę i zasypuje kłodę wilgotnym piachem. Nieoczekiwanie coś zgrzyta mu pod ostrzem łopatką. Kamień? Owszem, ale nie taki zwyczajny. Czarna powierzchnia, naznaczona jakby odciskami kocich łapek, połyskuje lekko jak spalony plastik. Słabe uderzenie ostrzem noża odsłania warstwy wewnętrzne. W szarym cieście skalnym jak robaczki świętojańskie połyskują drobinki kosmicznego żelaza.

* * *

Nad Krakowem blady, jesienny świt. Monika wyciąga szynkę z dołu. Skórka stała się jednolicie czarna i połyskuje lekko. Stanisława odcina trzy grube, soczyste plastry. Katarzyna wraca z pobliskiego osiedla, niosąc pachnący, gorący jeszcze, bochenek chleba...

— W sobotę piwo powinno być gotowe — mówi Stanisława.

— Spróbujemy... — uśmiecha się Katarzyna. — To już tylko kilka dni...

* * *

Plan dziewcząt opiera się na wyjątkowo chwiejnych podstawach. Założyły, że Sędziwój jest ciągle jeszcze w Krakowie. Założyły, że będzie chciał napić się piwa, takiego jakie warzono w czasach jego młodości. Założyły, że bywa na Rynku i czyta gazety, że informacja o zorganizowaniu w jednym z lokali wieczoru staropolskiego go zainteresuje... Dużo tych założeń, a wystarczy, iż jedno będzie błędne... i cały plan rozsypie się jak domek z kart.

Wieczór staropolski nie wzbudził powszechnego zainteresowania mieszkańców Krakowa ani turystów. Jednak zważyło się około pięćdziesięciu osób, wystarczająca liczba, by lokal nie poniósł strat... W zasadzie nigdzie nie było powiedziane, że trzeba się odpowiednio przebrać, ale uczestnicy zrozumieli to jakby sami z siebie. I bardzo dobrze. Monika i Katarzyna zajęły miejsce przy barze. Przebrały się w piękne suknie; dwa dni przyszywały koronki i upinały materiał. Stanisława niewiele mogła im pomóc. Owszem, w młodości leczyła nerwy haftując, ale na kroju i szyciu nie zna się... Mimo to efekt przeszedł wszelkie oczekiwania. Wyglądają znakomicie.

Miejsce przy szynkwasiu jest idealne. Widać stąd wszystkich wchodzących i wychodzących. Stanisława, także ubrana zgodnie z XVII-wieczną modą, krąży po sali zbierając puste kufle. Agent CBS stojący za barem przebrał się wyjątkowo malowniczo, w czarnym chałacie z doczepionymi pejsami pasuje tu znakomicie... Przez pierwsze pół godziny okrzyki „Żydzio, miodu!” nieco go peszyły, ale potem jakoś się przyzwyczaił, zwłaszcza że szlachta zamawia sporo.

Chętnych na tradycyjne piwo nie ma zbyt wielu, nie nawykli do takiego, nie smakuje im... Kolor i brak przejrzystości też nieco odstrasza. Ale zwykłego tankują ile wlezie, czyli średnio kufel na godzinę. Zamówili kaszę ze skwarkami i teraz zmiatają ją z misek drewnianymi łyżkami. Łamią pęta suchej kiełbasy, rwą bochny chleba. Z drewnianymi miskami pomysł był bardzo dobry, agenta tylko niepokoi, czy wytrzymają kąpiel w zmywarce...

Do piwnicy schodzi facet o chytrym spojrzeniu. Gdy zauważy wywieszkę o możliwości nabycia tradycyjnego piwa domowej roboty, jego wąskie wargi wykrzywia wredny uśmieszek. Kieruje się wprost do baru. Drewniane miski, drewniane sztucce... Najwyraźniej złamano tu szereg przepisów, w tym normy ISO, obowiązujące zastawę stołową w restauracjach. Każdy kolejny dostrzeżony szczegół wprawia go w coraz większe zadowolenie.

— Sanepid, kontrola — wyklada legitymację na kontuar. — Proszę opróżnić lokal i naszykować faktury na to coś — wskazuje gestem szklany gąsiorek z mętną zawartością.

Facet ma pecha. Nie skończył jeszcze mówić, gdy poczuł, że coś wbija mu się boleśnie w plecy. To Król dźgnął go końcem szabli pod łopatkę. Stojący obok Wielki Grafoman w haftowanej ukraińskiej koszuli nic jeszcze nie wyciągnął, ale wyraz jego oczu nie wróży nic dobrego. Facet z sanepidu nie wie, że to prawdziwy wariat, potrafiący napisać książkę w dwanaście dni. Ale patrząc na tych dwu przebiezańców, traci nieco pewności siebie.

— Pod stół, chamie, zeżresz ten papier, a potem treść jego odszczekasz — proponuje uprzejmie władca.

Poprawia chwyt na szabli. Nie żartuje. Reszta kompanii, zaciekawiona zajściem, odwraca głowy w tę stronę. Zaraz będzie jatka...

— Spokojnie, waszmościowie — barman osadza ich jednym spojrzeniem. — Wracajcie na miejsca. Ja to załatwię...

Spogląda na inspektora miazdzącym wzrokiem. A potem kładzie na ladzie swoją legitymację wystawioną przez CBS.

— Spadaj, cwaniaczku, zanim zawalisz nam akcję — syczy. — Jeśli przez ciebie się spieszy, to postaramy się, żebyś odsiedział trzy lata za utrudnianie śledztwa, a do pudła trafił na wózek inwalidzkim i z wyrokiem za pedofilię...

Nim skończył mówić, faceta już nie było. Można warcholić dalej. Stanisława wzdycha z ulgą. Szlachta się bawi. Ktoś próbuje ściąć świecę szabłą... Król pokrywa zakup nowego świecznika. Ale jeszcze trzy na stole zostały. Potężny szlachcic w jasnożółtym żupanie chwyta za swoją broń... Szkoda zastawy.

Stanisława powstrzymuje go gestem. Jego szabla nigdy nie była ostrzona. Kuzynka podaje jej starą batorówkę, nieco cięższą niż obecnie kute zabawki. Jest ostra jak brzytwa. Rękojeść dobrze leży w dłoni, błękitne turkusy chłodzą skórę... Alchemiczka uderza raz, znienacka, jednym płynnym ruchem. Ścięta część świecy nadal pali się, leżąc na blacie. Podmucha ostrza prowadzonego idealnie poziomo nie był wystarczający, by ją zgasić. Spokojnie chowa szablę do pochwy. Wszyscy umilkli, potem ktoś nieśmiało klaszcze.

— Gdzie się pani tego nauczyła? — pyta wydawca, ale dziewczyna nie musi odpowiadać.

Ktoś jeszcze wchodzi do lokalu. Poznała go po sylwetce. I oni go z miejsca poznali. Kroczy pewnym, twardym krokiem, zamiatając podłogę długim, brązowym płaszczem. Szeroka kryza pod szyją, oczy jak lśniąca kawałki brązowego lodu.

Pozdrowia gestem cisnących się przy stołach. Wydawca wskazuje krzesło, dotąd nakryte skórzanym, szerokoskrzydłym kapeluszem. Przybysz dziękuje skinieniem głowy.

— Macie tradycyjne piwo — zagaduje barmana — warzone według dawnych receptur?

— Oczywiście — potwierdza agent za barem. — Tylko nie wszystkim smakuje.

Alchemik patrzy na szklany gąsior z płynem i uśmiecha się lekko.

— Macie litrowe kufle? Jeśli dobre...

— Receptura nie zmieniła się przez ostatnie czterysta lat, chyba że zapomniałam dodać jakiegoś składnika, mistrzu Michale.

Znajomy głos... Choć po tylu stuleciach silny kresowy akcent poważnie się już zatarał. Może nawet nie zdołałby rozpoznać tego szeptu, ale tu nikt nie zna jego imienia... Bez zaskoczenia patrzy na swoją uczennicę. Minęła prawie połowa milenium, ale nie zmieniła się. Na jego twarzy pojawia się lekki uśmiech.

— Witaj Stanisławo. Miło cię znów zobaczyć...

— Ciebie również — skłania głowę.

Wyobrażała sobie to spotkanie od lat, za każdym razem inaczej. Tymczasem wyszło jakoś tak normalnie, naturalnie, jakby rozstali się trzy dni temu.

— A więc udało ci się przeżyć — stwierdza. — Zaskakujące, zważywszy ile czasu upłynęło... Z pewnością masz sporo do opowiedzenia. Podobnie jak ja... Ty to warzyłaś?

— Ja. Cała ta impreza to też po części moje dzieło — dodaje.

— Jeśli to piwo tej damy, wezmę od razu dwa kufle — zwraca się do barmana.

— A może od razu trzylitrowy dzban? — proponuje agent. — I chyba na koszt firmy — spogląda spod oka na Katarzynę.

Ta kiwa głową.

— Pozwól, mistrzu, moja kuzynka Katarzyna Kruszewska.

— Bardzo mi miło... — z kurtuazją całuje ją w rękę.

— A to nasza przyjaciółka, księżniczka Monika Stiepankovic — przedstawia dalej.

— Śliczny wampirek — alchemik przechyla głowę. — Nie gryzie, mam nadzieję?

Na jego twarzy gości uśmiech. Jakim cudem od razu poznał? Zresztą, czy to ważne?

— Dobrze że wreszcie na siebie wpadliśmy — zwraca się do uczennicy. — Dymitr wspominał, że zapas tynktury skończył się wam definitywnie.

— Dymitr... — jej oczy ciemnieją. — Mistrzu, to ścierwo...

— Nie martw się. Nic nam nie grozi. Zabiłem go. Popełniłem wielki błąd, wtedy. Powinienem był przewidzieć skutki. Hmmm, w sumie, właśnie to naprawiłem.

— Tynktura?

— Niewiele zostało — wzdycha, — ale też potrzebuję, więc trzeba będzie trochę zrobić. Wybacz, muszę chwilę porozmawiać z przyjaciółmi... Dosiądźcie się? A na wszelki wypadek... — podaje jej wizytówkę z numerem telefonu.

Barman przynosi z zaplecza trzy składane krzesła. Siadają do stołu. Alchemik czyni honory gospodarza, przedstawiając wszystkich. Kogo tu nie ma: pisarze, wydawcy, miłośnicy fantastyki. Stanisława rozgląda się zafascynowana. Niegłupie sobie hobby wymyślili, jednak gdy usiłują mówić po staropolsku, musi zaciskać zęby, żeby nie parsknąć śmiechem. Cóż, trylogia Sienkiewicza przyniosła polszczyźnie więcej szkód niż sto lat rusyfikacji...

Do bladego świtu trwa bal. Miód i piwo leją się rzeką. Księżniczka skupia spojrzenia wszystkich. Nawet przebarwienia na skórze nie zgasiły blasku jej urody. Ten i ów wzdycha w duchu. Żeby tak miała choć ze dwa lata więcej, bo na razie to niestety jeszcze straszne ciele...

* * *

Niedzielny poranek był jasny i świetlisty. Stanisława z Katarzyną poszły na mszę do Kościoła Mariackiego. Został kilka lat temu odnowiony, z ceglanych murów zdjęto wielowiekową warstwę kopcia, witraże rozmontowano po kawałku. Każdy kawałek szkła starannie oczyszczono z grubej warstwy kurzu oraz patyny, zabezpieczono powłoką ochronną i wmontowano na miejsce. Tylko najbardziej uszkodzone płytki wymieniono na nowe.

Wypucowano też wszystkie złoceń. Po tych zabiegach świątynia wygląda dziwnie. Można odnieść wrażenie, że dopiero co ją zbudowano... Ksiądz wygłosił piękne kazanie o trądzie grzechu. Alchemik, stojący po drugiej stronie nawy, słuchał w skupieniu. Śmierć Dymitra trochę mu doskwiera, ale nie mógł postąpić inaczej.

Wyszli na Rynek. Gołębie, istna pierzasta plaga, łążą po nagrzanym asfalcie.

— To do wieczora — mistrz uśmiechnął się do dziewcząt.

— Do wieczora — Katarzyna skłoniła głowę.

Pojawiła się Monika. Wprawdzie msza w cerkwi skończyła się wcześniej, ale ona postanowiła jeszcze przejrzeć książki w Empiku. Do wieczora zostało sporo czasu, w sam raz, żeby zrobić małą rundkę po muzeach. Alchemik poszedł do klasztoru dominikanów. Musi pożyczyć pewne urządzenie nieodzowne do procesu produkcji. Wprawdzie zbudowanie atanatora nie stanowi problemu, ale po co się męczyć, jeśli przyjaciele mogą mu pomóc?

Wdrapały się na poddasze po wąskich, skrzypiących schodach. Nie było światła, mieszkańcy kamienicy znowu pokradli żarówki, jedynie od podwórza padał słaby poblask. Monika szła przodem. Przynajmniej w jednym powieści brukowe nie kłamały: widzi w ciemności jak kot. Wreszcie strych. Delikatny zapach świeżego drewna, impregnatu i kurzu. Ściana z grubych belek, szpary uszczelnione warkoczami słomy. Przez małe okienko w solidnych dębowych drzwiach pada światło. Księżniczka zapukała. Alchemik otworzył po chwili.

— Zapraszam — ruchem ręki zachęcił, by przekroczyć próg.

Wygodnie się tu urządził. Lekko pochylone ściany, jasne panele na podłodze, ukośne okna, wmontowane w płaszczyznę dachu, zaciągnięte roletami. Kilkanaście halogenowych lampek napelnia wnętrza strumieniami złocistego światła.

Na solidnym, niskim stole stoi dziwacznie wyglądający piecyk. Pod nim leży koc azbestowy — tak na wszelki wypadek. Na sąsiednim stole znajdują się flaszki, butelki i słoiki pełne rozmaitych odczynników. Worki z węglem drzewnym i bukowe szczapy położył koło kominka. Strop nie jest gruby, słychać wyraźnie jak porywisty, jesienny wiatr gwizdże pomiędzy antenami.

Stanisława podeszła do urządzenia i dotknęła poczerniałej blachy końcami palców.

— Jak za starych, dobrych czasów — mruknęła.

W sąsiednim pokoju — stolik nakryty na cztery osoby. Na ścianie wisi całkiem dobra, ręcznej roboty reprodukcja obrazu Jana Matejki. Na płótnie alchemik Sędziwój, klęcząc koło pieca, podaje królowi Zygmuntowi III kawałek sztucznego złota. Gospodarz ma poczucie humoru, lubi patrzeć na scenę z własnej przeszłości, choć postać na obrazie niezbyt go przypomina.

Alchemik nie miał własnego samowara, ale i herbatę pija nieczęsto. Stasia postawiła na stole butelkę dobrego wina. Złociste robaczki gruzińskiego alfabetu zaśniły w świetle lamp. Sędziwój przygotował kanapki z serem i łososiem, kupił też kawał sernika i, nie mniejszy, szarlotki.

Zasiedli do stołu nakrytego haftowanym obrusem.

— Trudno jest zrobić kamień filozoficzny? — zainteresowała się Katarzyna.

Błysnął zębami w uśmiechu.

— Wymaga to odrobinę wprawy, ale trudniejsze było poznanie receptury... Seton dopiero na łożu śmierci zdecydował się ją podać. Nie byłem pewien, czy nie zamówić z rzeźni butelki cielejącej krwi — spojrzał na Monikę.

Pokręciła przecząco głową.

— Co robiłeś, mistrzu, przez te wszystkie lata? — zagadnęła uczennica.

— To samo co wy, starałem się przeżyć — powiedział. — Byłem kupcem w Norwegii, widziałem jak umiera Hanza, potem wyruszyłem do Nowego Świata... Mam w górach Boliwii hacjendę. Gdybyście chciały odpocząć parę lat albo stulecie... W każdym razie zapraszam.

I wreszcie wybiła godzina wielkiego dzieła. Gaszą światło: barwy substancji, a tym samym przebieg reakcji, określa się przy blasku świec i żaru płonącego węgla. Katarzyna i Monika nie są tu do niczego potrzebne, pozwolono im jednak przyglądać się pracy. Siedzą w fotelach pod ścianą, a Sędziwój i Stanisława przeprowadzają rytuał oczyszczenia przez ogień.

Mosiężny puchar oparty jest na drewnianym trzonie i napełniony pakułami nasączonymi spirytusem. Alchemik zapala zawartość. Staje twarzą na wschód. Rysuje w powietrzu gwiazdę Dawida, cytuje po hebrajsku ustęp z Sefer Jecirach. Kolej Stanisławy. Wypowiada dwanaście sefirot. Sędziwój zakreśla wokół siebie sześć kręgów, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Podaje kielich dziewczynie. Ona wykonuje sześć obrotów w kierunku przeciwnym. Krąg to najdoskonalsza z figur matematycznych. Ogień wypali złe myśli oraz dziesiątki negatywnych energii, o których lubią wspominać bioenergoterapeuci.

Katarzyna była przygotowana na to, że zaczną od rozpalenia atanatora, ale trochę się rozczarowała. Nieduży palnik gazowy, na to blaszana miednica wypełniona popiołem. W popiele alchemik umieszcza szklaną retortę.

— Magnezja — mówi.

Stasia bierze ze stołu słoik z metalowymi wiórkami. Z wprawą lepi z nich jakby sople, zawiąza każdy w bawełnianą szmatkę i podaje mu z ukłonem. Alchemik umieszcza je w retorcie, po czym zalewa gęstą substancją z kolejnego słoja. Uruchamia palnik.

— Teraz trzeba będzie trochę poczekać — zwraca się do widowni.

Odstępują od stołu. Z szyjki naczynia unosi się delikatna para. Stanisława przynosi z kuchni szybkowar. Sprawnie wymontowuje zaworek bezpieczeństwa, a na jego miejsce wprawia miedzianą rurkę.

Alchemik zagląda do gęstej masy.

— Wydziela się olej — mówi spokojnie. — Jeszcze chwila — wyjmuję z kieszeni niedużą klepsydre i stawia ją na stole. Piasek został nafosforyzowany, w ciemności na dnie zegara rośnie nieduży, błyszczący stos.

Wreszcie przesypał się do końca. Mistrz gasi płomień. Masa zaczyna stygnąć. Stanisława przynosi z kuchni dwa wiadra wody. Jedno zawiesza u sufitu, drugie stawia na podłodze. Przygotowuje kilka metrów plastikowych rurek, kupionych w sklepie z częściami do samochodów. W oczach alchemika poblask od kominka zapala iskierki.

Zdejmuje ostrożnie retortę i przelewa jej zawartość do szybkowaru.

— Kiedyś destylacja była dużo trudniejsza — zwraca się do obserwatorek.

— Wiem — uśmiecha się Monika. — Robiłam palonkę.

Pokrywa, dwa imadła do doświadczeń chemicznych. Rurkę wybiegającą z szybkowaru łączy z chłodnicą. Deflegmator nie jest w tym przypadku potrzebny. Nie będą oddzielać oleju fuzlowego, nie pędzą przecież bimbru...

Pod szybkowarem mocny ogień. Górne wiadro ma wspawany w dno zaworek. Kolejna rurka; woda, cyrkulując wokół wewnętrznej spirali, będzie chłodzić pary... Inny przewód odprowadza ciecze do wiadra na podłodze. Wydajny system chłodzenia, który spotkać można w szopach, stodołach, piwnicach i wszędzie tam, gdzie ludzie zajmują się produkcją smacznej, niedrożej i nielegalnej przy tym gorzałki...

Minęła może godzina, gdy olej wewnątrz szybkowaru zawrzał. Do szklanej menzurki zaczyna spływać czerwony płyn.

— Likwor — wyjaśnia alchemik.

Jedną trzecią wlewa do słoika. Teraz dalsze przygotowania. Stanisława już wcześniej w porcelanowym moździerzu utarła trochę złotych opiłków na miazgi proszku.

— Uncja złota, cztery uncje merkurysza, osiem uncji siarki — poleca alchemik.

Dolewa rtęć, miesza. Płynny metal skleja się ze złotem, powstaje amalgamat... Teraz siarka.

— Kiedyś czystą rtęć uzyskiwaliśmy przecierając ją przez skórę wołową — wspomina Stanisława.

— Na szczęście obecnie jest łatwiej — uśmiecha się Michał.

Mieszaninę umieszcza w tyglu, tygiel stawia na palniku.

— Opary rtęci są trujące — zauważa Katarzyna.

— Owszem — alchemik odsuwa się w tył.

Masa powoli ulega wyżarzeniu. Po następnej godzinie na dnie naczynia zostaje tylko trochę grubego, białego popiołu.

— Tlenek siarki powinien być czerwony — zauważa agentka.

— Nie próbuj przykładać do tego współczesnej wiedzy — poucza ją mistrz. — To może być siarczan rtęci. Tej nocy przekroczymy granice zwykłej nauki...

Wrzuca popiół do naczynia o długiej szyjce, zalewa przygotowanym wcześniej likworem. Wstawia znowu do misy z piaskiem i podkłada ogień. Wokoło rozmieszcza cztery czarne bryłki — kawałki meteorytu.

— Powstały daleko stąd — odpowiada na nie zadane pytanie. — Są anomalią i poważnie wpływają na nasze losy. Dzięki ich obecności zakłócić możemy prawa, którymi rządzi się chemia... Mamy jakieś cztery godziny.

Przechodzą do dalszych pomieszczeń. Na regale, obok starych, oprawionych w skórę ksiąg, leżą skrzypce.

— Mogę? — pyta Monika.

Alchemik kiwa głową. Dziewczyna bierze instrument i oparłszy go na ramieniu, pociąga smyczkiem po strunach.

— Pięknie grasz — ocenia po chwili Stanisława.

Katarzyna, w przeciwieństwie do niej, nie jest pozbawiona słuchu muzycznego. Wyłapuje drobne niedociągnięcia, które wynikają z braku ćwiczeń w ciągu ostatnich lat.

— Do kogo strzelałeś? — pyta mistrz Michał.

Drgnęła. Melodia utonęła w dysonansach i ucichła.

— Skąd...

— Widać — mówi Katarzyna. — Masz na policzku ślady niedopalonych ziarenek prochu...

— Bośnia — wyjaśnia niechętnie. — Przed kilku laty. Ty tego możesz nie zrozumieć — spogląda na agentkę, — ale ja ciągle jestem bośniacką księżniczką. To daje przywileje, lecz również obowiązki. Feudał musi dbać o swój lud... Szkoda tylko, że w ten sposób, karabin snajperski to broń tchórzów. Wrogowie mieli zbyt dużą przewagę — jej oczy ciemnieją.

Alchemik nic nie mówi. Wspomina, jak na Lubelszczyźnie, ze starą kuszą w dłoni, polował na hitlerowskich żołdaków. Czasem nie da się uniknąć zabijania, choć nigdy nie strzelił nikomu w plecy.

Mieszanina w naczyniu zakończyła swoje reakcje. Na dnie szklanej butli znajduje się substancja wyglądem przypominająca czerwony budyń.

— Oto Vitrol, żywe złoto, nasienie metalu i duch materii — wyjaśnia alchemik. — Teraz, gdy wszystkie substancje zostały zgromadzone, przystąpimy do wielkiego dzieła.

Z koszyka z pakułami wyjmuje szklane jajo o bardzo grubych ściankach. Zaopatrzone je w gwintowany korek. Cała kula opleciona jest gęsto metalową siatką. Musi wytrzymać potworne ciśnienie.

— To specjalne szkło — mówi Stanisława do dziewcząt. — Uzyskiwaliśmy je z miazdżonych kryształów, czysta krzemionka. Bardzo trudno było je stopić, ale za to ma znacznie lepsze właściwości. Wygląda niemal jak to jajo, którego użyliśmy wtedy — zwraca się do mistrza.

— Bo to to samo — uśmiecha się. — Opuszczając Kraków zostawiłem wyposażenie mojej pracowni dominikanom. Przechowali je w stanie idealnym...

Pora napęlić naczynie. Wsypuje biały popiół, uzyskany wcześniej (alchemik nazywa go wapnem), likwor, odrobinę rtęci...

— Alkahest — przypomina Stasia.

Podaje mu solidną, stalową butlę, wypełnioną oleistym płynem.

— Azoth mędrców, cudowna substancja, która trawi i pożera każdą materię... — uśmiecha się mistrz widząc pytające spojrzenia agentki i księżniczki.

— HNO_3 — wyjaśnia kuzynka. — Kwas azotowy po naszymu.

Sędziwój wlewa dobre pół litra. Zakręca szlifowany korek i zabezpiecza go metalową sztabką. Umieszcza jajo wewnątrz atanatora, obsypuje wokół popiołem tak, że wystaje tylko niewielki kawałek. Pół worka węgla drzewnego ogrzewać będzie je od spodu. Odrobina podpałki z supermarketu, zapalki...

Zakładają ochronne gogle kupione w sklepie ze sprzętem BHP. Wrzący kwas pod wysokim ciśnieniem to nie przelewki.

— No to z Bożą pomocą — mistrz żegna się trzymając płonącą szczapkę w palcach.

Jego uczennica powtarza rytuał. Podkładają ogień. Jednocześnie.

— Rozdzielmy to, co na górze od tego, co na dole, oddzielmy wodę od ognia, ziemię od powietrza. Oddzielmy to, co pochodzi ze wschodu od tego, co narodziło się na zachodzie — deklamuje alchemik.

— Albowiem wszystkie rzeczy wzięły się z jednego — Stanisława kończy inkantację cytatem z Tablicy Szmaragdowej.

Wewnątrz szklanego jaja unosi się mleczny opar. Substancja wewnątrz buzuje, aż wreszcie staje się szara. Tylko delikatne czerwone i zielone nitki przecinają jej ciągle wrzącą powierzchnię.

— Królestwo Merkurego — melduje alchemiczka. — Jeszcze sześć — odpukuje na wszelki wypadek w niemalowany blat stołu.

Za oknem zgrzyta ostatni tramwaj, zbliża się północ. Gdzieś w oddali wyje pies. Jego skowyt zaraz cichnie zagłuszony przez krople deszczu bijące o szyby okien.

Na poddaszu jest cudownie ciepło i przytulnie. Mistrz zapada w wygodny, głęboki fotel. Odsuwa z twarzy ochronne okulary.

— Zagrasz nam coś jeszcze? — patrzy na księżniczkę.

Monika uśmiecha się i drepcze po skrzypce. Gdzieś przez ceglane stropy przebija się głuchy pomruk. W którejś z melin trwa impreza... Czerwone nitki znikają, zielone stają się coraz szersze, aż cała masa przybiera brudnoszmaragdową barwę. Plamią ją liczne czarne punkty.

— Głowa wrony — głos Stanisławy jest spokojny.

Monika przykładą skrzypce do brody i gra „Serenadę” Schuberta. Mistrz uśmiecha się do swoich wspomnień.

Nasienie złota obumiera, substancja w jajku staje się jednolicie czarna, osiągając trzeci etap: królestwo Saturna. Upływają godziny. Monika przestała grać, zjedli jeszcze po kawałku ciasta. W zasadzie nie mają nic do roboty. Od czasu do czasu mistrz lub alchemiczka dorzucają do paleniska kilka kawałków węgla drzewnego. Masa staje się brązowa, opiekę nad nią przejmuje Jowisz. Czerwone pary skraplają się w górnej części naczynia i po ściankach ściekają w dół. Nagły błysk oślepiająco białego światła wewnątrz. Gaz zaczyna świecić.

— Plazma? — Katarzyna odruchowo szarpie się z fotelem w tył.

— Królestwo Diany — szepcze kuzynka.

Jasny blask zapala w jej tęczęwówkach ogniki. Wreszcie wszystko przygasa. Oczy też ciemnieją. Masa szarzeje, zielenieje, przez turkus przechodzi do głębokiego granatu. Potem powoli robi się fioletowa, purpurowa, wreszcie czerwona. Królestwo Wenery. Jeszcze dwa. Ponownie pojawiają się wiśniowej barwy opary, nadchodzi panowanie Marsa, na powierzchni cieczy rozlewają się tęcze plamy — alchemicy nazwali ten etap ogonem pawia. Wreszcie całość zamienia się w czerwone, wrzące błoto. To już królestwo Apollina.

— Koniec — mówi Sędziwój, zamykając dyymnik piecyka. — Dokonałszy wielkiego dzieła. Teraz niech sobie stygnie...

Przestało padać, więc otwiera okno, wpuszczając wilgotny i chłodny jesienny wiatr. Podmuch wiruje wokół atanatora, a oni przenoszą się w głąb mieszkania. Druga w nocy. A przecież trzeba wcześniej rano wstać...

* * *

Katarzyna stoi w oknie poddasza spoglądając na księżyc zachodzący z wolna nad dachami Starego Miasta. Czwarta nad ranem. Jesień, powietrze jest klarowne i zimne. Tylko pomiędzy drzewami na Plantach snuje się wilgotny opar mgły, jakby dawno zasypane fosy oddawały resztki wilgoci. Gdzieś w oddali zgrzyta pierwszy tramwaj. To dziwne że tak wcześnie, zaczynają przecież jeździć koło piątej. Może przejazd techniczny po remoncie? Buty pierwszych przechodniów stukają na bruku. Po całonocnej ulewie bardzo się ochłodziło, ale na poddaszu jest ciepło i przytulnie.

Księżniczka Monika Stiepankovic drzemie zwinięta w kłębek na szerokim tapczanie koło kominka. Nakryła się tylko cienkim pledem, pod grubszym okryciem po prostu się dusi... Śpi niespokojnie, co kilkanaście minut budzi się i spogląda w płomienie. Stary odruch typowy dla ludzi, którzy przywykli pilnować ogniska. Sprawdza instynktownie, czy nie trzeba dołożyć drewna... Stanisława, zajmująca druga połowę tapczanu, zasnęła jak zabita pod grubą, pikowaną kołdrą.

Katarzyna wbija się pomiędzy nie. Naciąga na siebie owczą skórę. Księżniczka z boku grzeje jak mały piecyk. Kto wymyślił, że wampiry są zimne? Kuzynka jest nieco koścista. Pora spać, zdrzemnąć się choć na te trzy godziny. Poniedziałkowy poranek zbliża się nieubłaganie...

Z sąsiedniego pokoju dobiega rytmiczne stukanie. Alchemik pisze coś, jego palce wybijają ciche werble na klawiaturze laptopa... Parę minut temu rozkręcił ostudzone jajo. Wewnątrz, pomiędzy popiołem i wyżarzonymi żużlami odnalazł kilkanaście gramów grubego, czerwonego proszku, który, gdyby nie barwa, przypominałby cukier. Przesypał go na lustro i niczym narkoman przygotowujący działkę, podzielił żyletką na cztery jednakowe porcje. Jedną wyśle do Warszawy, resztą się podzieli. Monice też trochę da, może kiedyś potrzebować złota. Teraz uśmiecha się do swoich myśli przelewając resztę wina do wysmukłego kieliszka.

Gdy na poddasze pada pierwszy promień słońca, alchemik wznosi samotny toast za kolejne cztery stulecia. Patrzy z czułością na pogrążone we śnie dziewczęta. Słońce odbija się w szkle, znaczy refleksami powierzchnię wina, pada na cztery porcje tynktury, wyłącza włosy księżniczki Moniki, lekko prześwieśla ucho Katarzyny i wyzwala refleksy rubinów na krzyżyku Stasi.

Sędziwój, pijąc lekkie, gruzińskie wino, spogląda w przyszłość z radością i nadzieją, bo podobnie jak trzy dziewczyny śpiące na tapczanie wie, że życie jest świętem.